ZIEMKIEWICZ O WYŻSZEJ SZKOLE OBŁUDY

Atak na Zaradkiewicza, czyli hipokryci z „Wyborczej" w akcji

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 20/373 11–17 MAJA 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Rządy zamykają kościoły – a wierni nie protestują

W CZYM EKOLOGOM PRZESZKADZAJĄ KOTY

Dlaczego benzyna wciąż tak droga, skoro ropa tak tania

Nocny zwrot

JAKĄ PRZYSZŁOŚĆ MA KOALICJA ZJEDNOCZONEJ PRAWICY

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 20>

Nakład: 59 000 egzemplarzy

Jesteśmy blisko Ciebie

Dbamy o bezpieczeństwo energetyczne Polaków

Zapewniamy niskie ceny gazu dla gospodarstw domowych

PGNiG | DOBRA ENERGIA TANI GAZ

spotka.pl/c4e9f02f92

Sprawdzaj wiarygodne źródła: www.pfr.pl/tarcza

KPRM

Tarcza Finansowa PFR

Ponad miliard zł dziennie na utrzymanie miejsc pracy

W ciągu 6 dni od uruchomienia Tarczy Finansowej PFR z subwencji skorzystało już dziesiątki tysięcy polskich firm, które zatrudniają setki tysięcy pracowników (a to dopiero początek, bo po drodze była majówka). To wsparcie finansowe ratuje polskie miejsca pracy i pozwala przetrwać polskim przedsiębiorcom kryzys wywołany przez koronawirusa. Dziękujemy wszystkim osobom i instytucjom zaangażowanym w uruchomienie Tarczy Finansowej - programu zarządzanego przez Polski Fundusz Rozwoju.

Efekty (stan na 05.05.2020)

37 545 firm

zatrudniających od 1 do 249 pracowników otrzymało już środki na utrzymanie miejsc pracy i poprawę swojej sytuacji finansowej.

374 000 pracowników

zatrudniają firmy, które otrzymały już wypłatę subwencji z Tarczy Finansowej PFR. Środki te mogą być przeznaczone na wypłatę wynagrodzeń.

7 851 520 625 zł

otrzymały już polskie mikro, małe i średnie firmy, które wypełniły prawidłowo wniosek o subwencję, dostępny w kanałach bankowości elektronicznej.

38 godzin

średnio tyle czasu mija od wysłania prawidłowo wypełnionego wniosku do przelewu subwencji na konto pracodawcy.

5 minut

tyle zabiera czasu wypełnienie wniosku online, jeśli pracodawca ma wszystkie potrzebne dane pod ręką.

Proste i przyjazne zasady

75 mld zł dla firm
od 1 do 249 pracowników

Oprocentowanie 0%
Żadnych opłat i prowizji

Możliwość umorzenia
75% wartości subwencji

Na oświadczenie
Żadnej papierologii

Wniosek online
w Twoim banku

Spłata pierwszej raty
dopiero po roku

Więcej informacji na: **www.pfr.pl/tarcza** oraz na stronie internetowej Twojego banku.

KPRM PFR Polski Fundusz Rozwoju

eprasa.pl c4e9f02f92

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Zwycięstwo rozsądku

Ducunt volentem fata, nolentem trahunt – powolnego prowadzą losy, opornego ciągną siłą. Tak, wiem, łacińskie cytaty do dobrego tonu nie należą. A co zrobić, kiedy akurat te słowa jak żadne inne doskonale oddają to, co wydarzyło się w Polsce w środowy wieczór? Co najmniej od końca marca, czyli od chwili, kiedy rząd ogłosił ostre, nigdy wcześniej niepraktykowane kroki w walce z epidemią koronowirusa i zamknął Polskę na cztery spusty, było wiadomo, że organizowanie wyborów prezydenckich 10 maja nie ma sensu.

RYSUNEK TYGODNIA

Pisałem o tym kilka razy w tygodniku, mówiłem też publicznie w debacie zorganizowanej na początku kwietnia przez wp.pl. Nie sądzę, żeby było to wybitnie przenikliwe spostrzeżenie: po prostu uważna obserwacja sytuacji wskazywała, że społeczeństwo – znajdujące się w stanie psychozy, zamaseczkowane, zamknięte w domach, przerażone wizją armagedonu, przekonywane raz po raz, że za każdym węgłem czai się wirus, a każdy człowiek jest potencjalnym nosicielem choroby – wyborów, mimo że zgodnych z prawem, nie chciało. Gdyby do nich doszło – jak domagali się tego bezkompromisowo najbardziej radykalni poplecznicy władzy – konsekwencje mogły być fatalne. Bardzo niska frekwencja musiałaby prowadzić do kolejnego kryzysu politycznego. Nawet gdyby Andrzej Duda wygrał, jego zwycięstwo byłoby powszechnie i radykalnie kwestionowane – zarówno w Polsce, jak i za granicą. Powtarzam: nie widzę w tej opinii niczego odkrywczego. Wystarczyło po prostu chwilę się zastanowić i rozejrzeć wokół siebie, żeby takie wnioski wyciągnąć. Dlaczego zatem PiS konsekwentnie aż do środy zdawał się tego nie zauważać? Dlaczego mimo oczywistych znaków na niebie i ziemi z takim uporem przekonywano Polaków, że do wyborów 10 maja dojść musi? Bóg raczy wiedzieć.

W każdym razie zawarcie kompromisu między Jarosławem Kaczyńskim a Jarosławem Gowinem jest jedną z najlepszych od dłuższego czasu informacji, jaką mogę komentować. Tak, w ostatniej chwili przed zderzeniem ze ścianą udało się im zatrzymać rozpędzony pojazd – ot, taka metafora. Dzięki temu po pierwsze będzie można przygotować wybory w taki sposób, żeby ich prawowitość nie była powszechnie podważana. Po drugie można zakładać, że w lipcu, który jest najbardziej prawdopodobnym terminem, można będzie liczyć na normalną frekwencję, bo Polacy już się z niebezpieczeństwem epidemii oswoją i trauma ustąpi, co oznacza, że wybrany w ten sposób prezydent będzie miał prawdziwy mandat społeczny. Po trzecie udało się uniknąć rozpadu większościowej prawicowej koalicji – a to byłoby w obecnej sytuacji prawdziwą klęską. Nieustanne lawirowanie, kupowanie głosów, powolne wykrwawianie się PiS było – w sytuacji możliwego, coraz bardziej pogłębiającego się kryzysu gospodarczego – scenariuszem realnym i skrajnie niekorzystnym dla Polski. Po czwarte wreszcie, co też jest ważne, zawierając kompromis, obaj liderzy pokazali, że dla dobra interesu społecznego potrafią się wznieść ponad osobiste ambicje. Jarosław Gowin zachował twarz, a Jarosław Kaczyński kolejny raz udowodnił, że gęba, którą codziennie doprawiają mu autorzy popierający opozycję (a jest ich tak wielu, że aż nie chce mi się cytować poszczególnych nazwisk), wizerunek arbitralnego tyrana, który nie licząc się z niczym ani nikim, wprowadza w życie swe zachcianki, to właśnie wykwit niedojrzałej wyobraźni emocjonalnie rozdygotanych propagandystów.

Ciekawe, jak teraz zachowa się opozycja. Teoretycznie powinna docenić porozumienie w sprawie wyborów. Jednak szczerze mówiąc, spodziewam się, że zachowa się tak jak zawsze do tej pory, czyli beznadziejnie. Znowu będę słyszeć o końcu demokracji, dyktaturze, zdradzie konstytucji, autorytaryzmie itd., itp. Żałosne to wprawdzie, ale, jak widać, niektórzy nie umieją już od tej retoryki się uwolnić. Ci sami ludzie potrafią jednocześnie wzywać do przesunięcia terminu wyborów i ogłaszać, że przesunięcie jest nielegalne. Domagać się lepszych gwarancji uczciwości głosowania i w chwili, kiedy ich postulaty są spełniane, nazywać to zdradą stanu. Wzywać do wprowadzenia stanu wyjątkowego i nazywać takie projekty zamordyzmem. Niestety, w Polsce opozycja coraz częściej przestaje pełnić przypisaną jej funkcję racjonalnego krytyka władzy i przemienia się w grupkę z miesiąca na miesiąc coraz bardziej rozhisteryzowanych krzykaczy. Można mieć tylko nadzieję, że liczba dostrzegających to Polaków będzie rosła i że znajdzie to wyraz w najbliższych wyborach prezydenta. ©℗

eprasa.pl c4e9f02f92

TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR SEMKA
ZDERZAK W ZDERZAK
Jaką przyszłość ma koalicja Zjednoczonej Prawicy

20 ROZMOWA Z PROF. GENOWEFĄ GRABOWSKĄ
WĄTPLIWOŚCI ROZWIEJE SĄD NAJWYŻSZY

22 ŁUKASZ WARZECHA
CO DALEJ Z „500+"?

KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
MORALNI INACZEJ
Z dziejów hipokryzji w Polsce

28 WOJCIECH WYBRANOWSKI
FURIA GRABOWSKIEGO

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
CZY WYSCHNIEMY?

32 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
JAK POMÓC RODZICOM BOHATEROM

KULTURA

34 TOMASZ ROWIŃSKI
MSZA (WCIĄŻ) PO SARMACKU SIĘ ODPRAWIA
O książce Jacka Kowalskiego

36 PIOTR GOCIEK
ZAMTUZ HOLLYWOOD

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 ROZMOWA Z JAKUBEM ZGIERSKIM, ZAŁOŻYCIELEM BLOGA „MŁOT NA MARKSIZM"
PANDEMIA TO SZCZĘŚCIE W NIESZCZĘŚCIU
Eurofederalizm pod pretekstem walki z wirusem

46 WOJCIECH GOLONKA
MIĘDZY BOGIEM A CEZAREM

48 FRAGMENT KSIĄŻKI „SZALEŃSTWO TŁUMÓW. GENDER, RASA, TOŻSAMOŚĆ"
NOWA WARSTWA UPRZEDZEŃ

HISTORIA

50 SEBASTIAN LIGARSKI
NIESPOKOJNY MAJ
Demonstracje i starcia z władzą

54 PIOTR SEMKA
WŁODZIMIERZ ILJICZ I ZIELONE LUDZIKI

56 ROZMOWA Z TOMASZEM BONKIEM
INDIANA JONES Z BEZPIEKI

ŚWIAT

58 JACEK PRZYBYLSKI
ZŁY DOTYK WUJKA JOE?
Wielki skandal w Ameryce

62 WITOLD REPETOWICZ
KLĘSKI ERDOĞANA

64 PIOTR WŁOCZYK
RYCYNA OD PUTINA

66 TERESA STYLIŃSKA
EKOLODZY NA WOJNIE Z KOTAMI

EKONOMIA

68 TOMASZ CUKIERNIK
NAFTODESTRUKCJA CZY NAFTOROZWÓJ?
Dlaczego benzyna wciąż tak droga, skoro ropa tak tania

STYL

72 JOANNA BOJAŃCZYK
OTYŁY ŚWIAT
Im mniejszy rozmiar, tym większy apartament

O ZDROWIU

74 ROZMOWA Z MICHAŁEM KĘPOWICZEM
ZWALCZYĆ WIRUSA I POPRAWIĆ SYSTEM
Technologie medyczne pomagają zwalczyć epidemię

76 ROZMOWA Z DR JOLANTĄ SMOK-KALWAT
ONKOLOGIA NIE JEST ZAMKNIĘTA

77 KATARZYNA PINKOSZ
ZMNIEJSZYĆ RYZYKO

FELIETONY:

SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (14), ZYCHOWICZ, KOPER (53), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (70), KOMUDA (78), ZALEWSKI, MAKOWSKI (81), SIEDLECKA (82)

eprasa.pl c4e9f02f92

Drodzy Czytelnicy!

Przypominamy nasz adres e-mailowy – listy@dorzeczy.pl – i zachęcamy do przesyłania korespondencji.

„Wolność odchodzi po cichu", „DRz" 19/2020

Bardzo się cieszę, że jest jeszcze w Polsce tygodnik, który potrafi czasem zboczyć z utartych ścieżek i być miejscem ścierania się poglądów i opinii, czego przykładem była ostatnio publikacja listu do redakcji p. dr. Andrzeja Fleszara. Może nie ze wszystkim w tym liście się zgadzam, ale z pewnością prowokuje on do myślenia. Podobnie jak artykuł „Uczona niewiedza koronawirusa. Wielka pandemia czy największa pomyłka?" opublikowany na portalu DoRzeczy.pl, do którego to list się odnosił. W dobie autocenzury i przesadnej poprawności politycznej nie dziwią mnie milionowe wyświetlenia tego artykułu. W każdym razie gratuluję autorom i redakcji odwagi. Miło poczytać coś, czego próżno szukać gdziekolwiek indziej.

Czytelnik

Tatarzyn

Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma! I zapewne każdy z nas mniemał, że to Kaczyński jest Tatarzynem... Wszystko na odwrót. To Gowin okazał się pełnokrwistym Tatarzynem, który – tak jak ten Rejent Milczek – wygrał wszystko, co chciał, w tym sporze partyjnym wewnątrz koalicji tworzącej rząd. Nie tylko storpedował wybory 10 maja, lecz także w ogóle je utrącił z agendy sejmowej. Odbędą się, tak jak się upierał, zapewne dopiero w sierpniu, i to już być może w odmienionej sytuacji społecznej, gdy w stale pogarszającej się sytuacji gospodarczej i społecznej PiS może łatwo w 100 dni stracić obecnie dominującą pozycję. [...]
Czy nie byłoby lepiej podjąć ryzyko głosowania w sprawie wyborów 23 maja, w terminie jednak konstytucyjnym, było nie było? [...]

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Wyborcy w kolejce

Drodzy państwo, zdaje się, że socjologom i politologom uciekła niedawno sprzed nosa szansa na bardzo ciekawe badania. Tuż po „zluzowaniu" przez rząd koronawirusowych obostrzeń Polacy tłumnie ruszyli na podbój galerii i sklepów z artykułami, umówmy się, nie pierwszej potrzeby. Uderzyło mnie zdjęcie gigantycznej, ciągnącej się przez cały wielki parking kolejki przed sklepem meblowym. Stało tam pewnie co najmniej kilkaset albo i ponad tysiąc osób, grupa choć nie reprezenatywna, to jednak na tyle liczna, że warta zbadania. Ja bym im wszystkim zadał pytanie, czy są za przeprowadzeniem wyborów 10 maja (rzecz działa się w czasie najgorętszego o to sporu). Czy wolą tryb normalny, czy korespondencyjny. I jaki wpływ na ich poglądy ma epidemia koronawirusa. Ciekawym wyników.
I gdy patrzę na takie obrazki, to sobie jednak myślę, że te wybory w maju powinny się odbyć. I nie jakieś korespondencyjne łapu-capu, tylko normalne wybory, oczywiście z zachowaniem środków bezpieczeństwa. Chyba daliśmy się nastraszyć, a Naczelnik, który tak parł „po trupach" „wbrew rozumowi" etc., etc. jednak miał rację.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Brukselа)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Blanka Aleksowska**, **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express").

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **M. Włodarczyk/Forum, A. Iwańczuk/REPORTER; oprac. graf.: JAN**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

FIRMA RODZINNA

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 59 tys. egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY — ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl c4e9f02f92

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Co wolno wojewodzie...

Niemiecki Trybunał Konstytucyjny odrzucił orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Chodziło o werdykt TSUE, który uznawał za legalne krytykowane w RFN działania Europejskiego Banku Centralnego (EBC) sprzed pięciu lat. EBC ratował wtedy strefę euro przed rozpadem i wskutek, jak się zdaje, czysto politycznych nacisków skupił wówczas wyceniane na prawie 3 bln euro obligacje państwowe. Było to świeżo po kryzysie, w wyniku którego Grecy odkrywali, że bankomaty przestają wypłacać banknoty, a na ulicach miast Hellady wymachiwano portretami Angeli Merkel z wąsikiem Hitlera.

Decyzja EBC trafiła na wokandę TSUE, ale ten wydał werdykt, że wszystko odbyło się zgodnie z normami unijnymi. W Niemczech, mimo werdyktu, tej sprawy nie zostawiono w spokoju. Orzeczenie Trybunału wzięli pod lupę sędziowie Bundesverfassungsgericht. I oto przewodniczący Trybunału Michael Vösskuhle ogłosił, że orzeczenie TSUE zatwierdzające decyzję ECB „wykracza poza jego kompetencje".

Szczerze mówiąc, czekałem od dłuższego czasu, kiedy taki przypadek zaistnieje. Gdy gra toczyć się będzie o tak ważne zasady i tak duże pieniądze, że ktoś TSUE da po nosie. Że radosna twórczość Trybunału, który chce decydować o coraz większej liczbie spraw, zderzy się z konkretnymi interesami Berlina lub Paryża.

Dotychczas unikano takich ostentacji. Albo spory łagodzono, albo TSUE unikał wchodzenia na obszary interesów traktowane jako wrażliwe przez dwóch wielkich unijnych graczy. Teraz do krótkiego spięcia doszło. Nic dziwnego, że w Polsce będącej obok Węgier ulubionym chłopcem do bicia europejskich sędziów przyjęto to jako potwierdzenie zasady, że kompetencje Trybunału nie są bezdyskusyjne.

Po chwilowej konsternacji natychmiast do głosu wyrwało się stowarzyszenie MEDEL, czyli Europejscy Sędziowie dla Demokracji i Wolności – wierny i pewny przyjaciel naszego stowarzyszenia sędziów Iustitia. „Chcemy podkreślić, że decyzja Niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego (NTK), który jest wysoce szanowanym sądem, nigdy nie może być postrzegana jako jakiegokolwiek rodzaju usprawiedliwienie dla ataków na praworządność i niezależne sądownictwo, czego dopuszczono się w niektórych państwach członkowskich, takich jak Węgry i Polska" – brzmi fragment oświadczenia MEDEL.

Niektóre zachodnie gazety ze zgrozą doniosły swoim czytelnikom, że „decyzja Trybunału w Karlsruhe już skłoniła prezes polskiego TK Julię Przyłębską do stwierdzenia, że to sądy krajowe, a nie TSUE mają w Unii »ostatnie słowo«".

Niełatwo się zdecydować, czy czytając takie słowa, podziwiać szczerość w jasnym stawianiu sprawy – to, co dobre dla Niemiec, nie może być stosowane w krajach Europy Środkowej. Przypomina się stosunek niemieckiej prasy do lustracji. Za Odrą była ona traktowana jako obowiązkowa procedura o istotnym znaczeniu dla bezpieczeństwa państwa. Gdy do lustracji dochodziło w Polsce, niemieccy korespondenci pisali o „politycznych czystkach" i „polowaniach na czarownice".

No cóż. To taki nieoficjalny prawnopolityczny apartheid. Nie łudźmy się, że szybko wyparuje z wielu umysłów. Zarówno u nas, jak i tam. ©℗

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

PROTEST PRZEDSIĘBIORCÓW

Przedsiębiorcy z wielu miast Polski przyjechali do Warszawy, aby zaprotestować przeciw „zamrożeniu gospodarki" z powodu pandemii koronawirusa. Protest zorganizował jeden z kandydatów na prezydenta Paweł Tanajno. Protestujący początkowo jeździli po Warszawie, a następnie utworzyli „miasteczko" pod kancelarią premiera. Policja zatrzymała 37 osób, w tym Pawła Tanajno. Funkcjonariusze wylegitymowali też ponad 150 osób, wobec których będą skierowane wnioski do inspekcji sanitarnej. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl c4e9f02f92

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Popatrzcie na mnie

Mamy w telewizji takie określenie „mistrz drugiego planu" – ktoś, kto pojawia się w tle i przyciąga uwagę. Doskonałym niedawnym przykładem mistrzyni drugiego planu jest ta pani z bijącego w sieci rekordy nagrania, która za plecami dziennikarza, komentującego przez Skype'a dla telewizji, zrobiła sobie kawę, bez ubrania i na dodatek nie będąc jego żoną.

Hołownia zyskuje tym, że jest „bardziej". Rozumiem, że aby wydobyć się z drugiego planu, trzeba szarżować

Przypadek Szymona Hołowni nie jest aż tak przebojowy, ale przyznać trzeba, że za plecami Małgorzaty Kidawy-Błońskiej odegrał rolę podobną. Jego nocne, internetowe filmiki, na których miota się, krzycząc albo płacząc, zyskują po wielekroć więcej odsłon niż kanał „Kidawa TV" – choć każdy przyzna, że występy kandydatki największej partii opozycyjnej też obfitują w atrakcje.

Hołownia zyskuje na tym, że jest „bardziej". Kiedy krzyczy na „klasę polityczną", krzyczy niby to samo co kiedyś Kukiz, ale z obcą tamtemu, fascynującą piskliwością. Z kolei wyznając swe uwielbienie dla konstytucji, niby powtarzał banały doszczętnie wyświechtane w ostatnim pięcioleciu przez wszystkich celebrytów, ale zdołał przebić ich wszystkich ekspresją, roniąc z oczu ślozy tak rzęsiste, jakby znienacka sztachnął się skrętem ze starego siennika. Co tam o konstytucji powiedział, tego nikt nie pamięta, ale jego płacz solidnie podkręcił internetowe liczniki. Co prawda, dalsza część tej udanej parodii, jaką było upieranie się ze śmiertelnie poważną minką, że właśnie takie rozchwianie emocjonalne od pokrzykiwania do wybuchów płaczu znamionuje prawdziwych mężczyzn, wydała mi się już nieco przeszarżowana. Rozumiem, że aby wydobyć się z drugiego planu, trzeba szarżować. Uwieńczenie zatem tej sekwencji zmiennych nastrojów oświadczeniem w stylu Stefka Burczymuchy ze znanej bajeczki, w którym ogłosił Hołownia, że Andrzej Duda i cały PiS śmiertelnie się go boją i że idzie po zwycięstwo, wydaje się logicznym dopełnieniem kreacji „kandydata obywatelskiego".

Zabrakło tylko pointy – finalnego zareklamowania wszystkim, których uwagę udało się ściągnąć na nowy telewizyjny show, tym razem dla tych, którzy nie mają talentu (dobry pomysł i świetnie dobrany prowadzący – odnieść sukces, gdy się talent ma, to żadna sztuka). Bo przecież, jak się domyślam, o to w „projekcie »Hołownia«" szło. O cóż by niby innego? ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Sztuka dyfamacji

Smartfonowe aplikacje pobierające dane o użytkownikach stały się naszą codziennością. I codziennie budzą sporo kontrowersji co do możliwości inwigilacji. Burzę wywołała niedawno w Polsce przygotowana przez rząd aplikacja ProteGO Safe pozwalająca na wstępną samokontrolę stanu zdrowia w kontekście zarażenia koronawirusem. W Wielkiej Brytani rozpoczęto testy podobnej aplikacji. A we Francji mimo ryzyka inwigilacji dopuszczono do stosowania aplikację StopCOVID. Pozostaje pytanie o granice między bezpieczeństwem i komfortem życia a utratą prywatności.

Casus Polski pokazuje jednak jeszcze coś innego, a mianowicie to, jak skutecznie działają grupy lobbingu związane ze środowiskami politycznymi i z wielkim biznesem. Pisaliśmy w „Do Rzeczy" o błyskawicznie zorganizowanej – po wylądowaniu antonowa z zakupionym przez rządowe spółki w Chinach sprzętem medycznym – akcji części środowisk medialnych i politycznych, które serią fake newsów próbowały to zdyskredytować. Powtórzyło się to wraz z wypuszczeniem przez rząd aplikacji „antycovidowej". Zaangażowana agencja, uruchomione anonimowe konta w mediach społecznościowych przekonują o „totalnej inwigilacji". Publikacje na blogach powielające fakenewsowe ostrzeżenia…

Podobnego rodzaju akcje dyfamacyjne w społecznościówkach w zasadzie przechodzą niezauważone przez służby. Teraz wykorzystali je polityczni lobbyści. Ci mówiący z nieco bardziej wschodnim akcentem od dawna wiedzą, jakim skarbem jest ulegendowanie w nich kilku „ekspertów". ©℗

eprasa.pl c4e9f02f92

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Z zapisków germanofoba

Niemiecki opór wobec emisji koronaobligacji, która pokryłaby koszty zapaści spowodowanej pandemią, to wyraz braku solidarności, skąpstwa i tchórzostwa. Zamiast uczciwie powiedzieć Niemcom, że w ogromnym kryzysie, w jakim znaleźliśmy się, nie ma alternatywy, rząd kanclerz Merkel insynuuje, że w tych obligacjach jest coś podejrzanego i cuchnącego; że w ostatecznym rozrachunku zapłacą za to pracowici podatnicy niemieccy, bo Włosi nigdy nie umieli się obchodzić z pieniędzmi. Pani kanclerz często sięgała po tę retorykę.

Te haniebne słowa nie mają nic wspólnego z rzeczywistością i mogą prowadzić do rozpadu Unii Europejskiej. W tej sytuacji pozowanie na strażników finansowej cnoty to ciasnota umysłowa i podłość. Przydałoby się w tym miejscu przypomnieć, kto współfinansował odbudowę Niemiec po drugiej wojnie. Nadszedł czas, by skończyć z aroganckimi pouczeniami i pomóc we wspólnym wyjściu z tej katastrofy, drogi Herr Schaeuble [Wolfgang, przez lata minister finansów Niemiec i architekt niemieckiej, a właściwie unijnej polityki zaciskania pasa, która rzuciła Italię na kolana – przyp. P.K.]. Nie jesteśmy w cyrku, ale w bardzo poważnym kryzysie. Czas ukręcić łby tej hydrze. Koronaobligacje to symbol wspólnego, europejskiego przeznaczenia, jak wspólna waluta. Jeśli ich nie będzie, to Unia Europejska nie będzie Unią. A przecież na tej Unii Niemcy pobudowały swój dobrobyt. Unio! Obudź się!!!

Tych bluźnierczych słów nie napisał żaden włoski kryptofaszysta ani narodowiec. To streszczenie dwóch tekstów z „Der Spiegel", jednego z najbardziej postępowych, liberalnych i prounijnych tygodników w Europie. Jeden napisał redaktor naczelny Steffen Klusmann, a drugi komentator Thomas Fricke.

Co więc zrobią Niemcy i Unia, a szczególnie Komisja Europejska, by ratować Italię? Koronaobligacji nie będzie. Pełni obaw Włosi przypominają żart Romana Prodiego, wybitnego znawcy tematu. Był premierem Włoch i szefem KE. „Co to jest wielbłąd? To koń zaprojektowany przez Komisję Europejską". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Okulary w pomidorowej

Zanim zaczniemy, proszę sobie wyobrazić, że następne dwa zdania czyta Krystyna Czubówna. (Tutaj następuje chwila na radosną muzykę klasyczną). Wiosna w pełni i pomimo pandemii to naturalny czas transformacji przyrody oraz zmiany barw. Co ciekawe, jeśli przyjrzymy się uważnie, to podobne zjawiska można zaobserwować również w życiu społecznym. „Dzisiejsza Konwencja Programowa to niewykorzystana szansa PAD. Statyczne ponad godzinne One Man Show. Trudno utrzymać uwagę przy tak długim monologu bez przerwy, bez klipów, z niekorzystnym oświetleniem. Non sit diu prudenter" – napisała Jolanta Turczynowicz-Kieryłło.

I teraz już na poważnie, bez entourage'u przyrodniczego, Konrad Piasecki. „Były już różne zwroty i wolty w polskiej polityce. Łącznie z lewicową kandydatką na prezydenta, która okazała się fanką prawicy. Ale szefowa kampanii, która w ciągu miesiąca zwątpiła w kandydata, którego miała prowadzić do zwycięstwa, jest nawet na tym tle ciekawostką". Prawda?

À propos ciekawostek. Gdyby interesowały państwa przemyślenia prezydenckie znanego na opozycji profesora, proszę zobaczyć, jakie intrygujące wyznanie. „Prezydent Polski moich marzeń, stworzony z dumy i podziwu: 1. Donald Tusk, 2. Radosław Sikorski (ex aequo). Potem długo, długo nic i (pragmatycznie i przyjaźnie): Małgorzata Kidawa-Błońska, Władysław Kosiniak-Kamysz, Robert Biedroń" – wyznał Wojciech Sadurski. Na szczerość polityczną zdobył się również Tomasz Lis. „Jesteśmy prawie tak śmieszni jak Izrael, gdzie po trzech wyborach będzie dwóch premierów. To polscy Żydzi wyeksportowali tam nasze tradycje?" – zastanawiał się na głos. Dobry Bóg sprawił, że nie zrobił tego nikt na prawicy. Wtedy to by był antysemityzm.

Zamiast roztrząsać „co by było, gdyby", zostańmy do końca w nastroju satyrycznym. „Kolega poseł z PiS siedzi i zajada pomidorową z sejmowego bistro (zestaw na wynos). Zapytałem: – Jak pan sądzi, do której potrwa dziś posiedzenie? – Kto wie? Może do rana... heheheh! Gdy tak rechotał, okulary wpadły mu do pomidorowej. Karma wraca. Czasem szybciej, niż myślimy..." – zdradził poseł PO Franek Sterczewski. Śmiechom nie było końca. ©℗

eprasa.pl c4e9f02f92

FOT. PAWEŁ GRONIADA

TO TAKIE NIEISTOTNE

Maciej Stuhr znany jest z krytycznego nastawienia do obecnie rządzących. Dawał temu wyraz wielokrotnie w chętnie udzielanych wywiadach. Teraz znów ubolewa nad losem kraju, tym razem pochylając się nad wyborami prezydenckimi. – Mało mnie całe te wybory obchodzą, podobnie jak to, kto w nich wygra – stwierdził w rozmowie z portalem Dziennik.pl. – Dla mnie wybory prezydenckie są tak nieistotnym faktem, że nie chce mi się nawet o nich myśleć. Tylko szaleniec może w tej chwili podniecać się faktem jakiegoś plebiscytu i pseudowyborów – dodaje. Tak bardzo nie obchodzą go te wybory, tak bardzo się nimi nie podnieca i o nich nie myśli, że aż udzielił na ich temat wywiadu. Nas przekonał.

KTO JEST ODREALNIONY?

Przy okazji Maciej Stuhr ponarzekał też sobie na to, że w czasach zarazy państwo nienależycie się nim opiekuje. A właściwie, że wcale się nim nie opiekuje, a przecież powinno. Tymczasem on musi żyć z oszczędności. Po prostu nie do wiary. – Nie czuję się dobrze zaopiekowany. Właściwie opiekuję się sam sobą. Jeszcze mam resztkę oszczędności – mówi. Po czym, jakby nigdy nic, snuje opowieść o tym, że winien wszystkiemu jest Jarosław Kaczyński, który jest „mocno odrealnionym człowiekiem". Tak, mówi to gwiazdor, który chwilę wcześniej narzeka, że państwo się nim nie opiekuje, a on biedny musi żyć z oszczędności. Od razu widać, że jest blisko ludzi, nie to, co ci odrealnieni politycy!

MYDŁO W GŁOWIE

Tymczasem Edzia Górniak wpadła na genialny pomysł zażegnania światowej pandemii koronawirusa. Niestety, postanowiła podzielić się nim na Instagramie. Niestety dla siebie, nie dla wirusa, żeby była jasność. „Tak się zastanawiam, co to za wirus, że zabija go mydło, ale żaden lek go nie zwalczy. Może, zamiast czekać na szczepionkę, warto zjeść kawałek mydła?" – napisała. Czekamy na pierwsze efekty tej nowatorskiej terapii, którą – jak rozumiemy – Edzia właśnie testuje. A może to ten wpis jest jej pierwszym efektem?

ZŁOTE RADY KASI

Kasia Tusk, blogerka modowa i córka byłego premiera, udzieliła wywiadu magazynowi „Vogue", w którym to zaapelowała do czytelników pisma o to, by w czasie suszy oszczędzali wodę. – Mamy suszę na wielką skalę, więc warto wprowadzić drobne zmiany w prowadzeniu domu, aby wodę wykorzystywać na wiele sposobów. Ja na przykład do zlewu wstawiam dużą miskę i jeśli nie używam detergentów (choćby w trakcie mycia warzyw czy owoców), to całą zawartość miski wykorzystuję później do podlewania roślin. Warto też przemyśleć to, czy zamiast zielonego dywanu w ogrodzie, który wymaga hektolitrów wody, nie lepiej zasiać łąkę. No i nastawiać zmywarkę i pralkę dopiero, gdy są pełne – poradziła. Co my byśmy poczęli bez Kasi Tusk i jej złotych rad! Nastawialibyśmy pewnie te niepełne pralki i zmywarki z jednym kubkiem. Aż strach pomyśleć!

WODA SODOWA

15-letnia Roksana Węgiel, odkąd wygrała dziecięcą Eurowizję, poczuła się prawdziwą gwiazdą. I niestety zaczęła się tak zachowywać. Jak donosi portal Pomponik, Roksana chciałaby, aby powstał o niej film. Pomysł zaczerpnęła po obejrzeniu filmu o karierze innej piosenkarki, Ewy Farnej. – Ostatnio oglądałam film o Ewie Farnej i chciałabym, żeby powstało coś podobnego o mnie. To jest moje marzenie – powiedziała w rozmowie z portalem. – Chciałabym tam przekazać, że mój zawód to jest ciężka praca. Wiele osób nie zdaje sobie z tego sprawy. Dodatkowo zawarłabym tam ciekawostki dla fanów – zapowiada Roxie. Zaczynamy się bać, że znajdzie się ktoś chętny, by taki film zrobić. I że znajdą się chętni, by chcieć go oglądać. Nie wiadomo, co gorsze.

ROCZNICOWE REFLEKSJE

Monika Richardson-Zamachowska z okazji rocznicy ślubu znów postanowiła poopowiadać tabloidom o swoim małżeństwie ze znanym aktorem. – Zbyszek to piękny człowiek, wielki artysta. I jak każdy wielki artysta to bardzo skomplikowany, nadwrażliwy, łatwy do zranienia człowiek – stwierdziła w „Fakcie". Opowiedziała też, z jakimi trudami wiąże się codzienne życie z nim. – Życie z nim to jak stąpanie po bardzo cienkiej tafli. Gdy pęka, pęka mi serce. Dlatego tak bardzo się staram – wyznała. – Obłudnym ludziom trudno znieść, że się kochamy. Za to naszymi najwspanialszymi fanami są ci, którzy sami odważyli się na zmianę swojego życia, wbrew światu, wbrew konwenansom, mimo tego, co ludzie powiedzą – dodała. My od początku pozostajemy fanami tego małżeństwa. Gdyby nie ono, Monika pewnie dawno zniknęłaby z show-biznesu, a my zostalibyśmy trwale pozbawieni jej opowieści na tematy wszelakie. To byłaby niepowetowana strata dla ludzkości! ©℗

eprasa.pl c4e9f02f92

Życie trwa!

Tak jak każdego dnia od wczesnych godzin porannych zaczyna dzwonić fundacyjny telefon. Jeden z nich to wesoło brzmiący głos z pytaniem, czy można dziś przywieźć pieluszki i kilka drobiazgów dla dziecka, inny, wzruszony, dziękuje za kartkę wielkanocną i osobliwe życzenia, kolejny smutny, bo dzieje się coś złego i potrzeba natychmiastowej reakcji. Jednak coś się zmieniło…

Kilka miesięcy temu świat zwolnił i stanął w obliczu nowego wroga. Słynny już wirus zagroził bezpieczeństwu ludzi na całym świecie. Wyhamowała gospodarka, zamknęliśmy szkoły i sklepy, pozostaliśmy w domu. Nowa sytuacja, z którą przyszło się zmierzyć, przyniosła wyzwania, również dla Fundacji Małych Stópek. Potrzeba było konkretnych działań!

Wystosowaliśmy do wszystkich ludzi dobrej woli, każdego stanu i wieku, apel o zbiórkę funduszy na zakup respiratorów. Spotkał się on z ogromnym odzewem. Choć w planach było znacznie mniej – bo przypomnijmy, że jeden respirator kosztuje 86 400 zł – to dzięki zaangażowaniu Polaków, w tym wielu księży, udało się zebrać środki na zakup czterech respiratorów (dwa zakupione dzięki darczyńcom, dwa ufundowane przez księży). Po respiratorach przyszedł czas na maseczki. Zakup materiału, pracowite dłonie na pokład, maszyny w ruch i po niedługim czasie kilka tysięcy maseczek trafiło do domu samotnej matki, bezdomnych i osób najbardziej potrzebujących. Wspólna mobilizacja pozwoliła również na zakup środków ochrony osobistej i do dezynfekcji dla najbardziej potrzebujących.

Wszystkie te aktywności idealnie wpisują się w naszą działalność statutową. Ochrona życia w każdym jego wymiarze. Niestety w dobie panującego wirusa ludzie nadal muszą stawać twarzą w twarz ze swoimi codziennymi kłopotami. Nie zniknęły nagle kobiety potrzebujące pomocy, które dowiadując się o nieplanowanej ciąży, spotykają się z odtrąceniem, niechęcią, samotnością, brakiem motywacji do walki o życie swoje i swojego dziecka. Telefony z prośbą o pomoc nadal dzwonią, a my robimy wszystko, aby wspólnie z dobroczyńcami Fundacji ratować kolejne zagrożone życie ludzkie.

Obserwując naszą rzeczywistość, trudno uciec od stwierdzenia, że obecnie na świecie większość działań jest ukierunkowana na ratowanie życia. Nikt nie ma odwagi powiedzieć, że to nie ma sensu i należy pozwolić umierać naszym bliskim, rodzicom, rodzeństwu, dziadkom. Kto może, ten walczy na swój sposób. Szukając lekarstwa, szczepionki, wspierając w niedoli, służąc w szpitalach, domach opieki, szyjąc maseczki, zbierając fundusze. To wszystko dla Życia człowieka! Czyż nie jest to dowód na to, że wartością największą, której pragnie każdy, której należy bronić czasem na przekór wszystkiemu… jest Życie?!

Pragniesz Życia, wybierz Życie!

ks. Tomasz Kancelarczyk
prezes Fundacji Małych Stópek

eprasa.pl c4e9f02f92

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, przyszło nam do głowy, iż jak zakończy się ta izolacja, to na ulice wylegną tłumy bladych, otyłych, nieogolonych, zarośniętych i skacowanych Polaków.

W Hiszpanii już widzimy na ulicach tłumy roześmianych osób, uprawiających aktywność fizyczną i nawiązujących przyjaźnie. W tym kraju będą natomiast wyścigi do biedry po promocyjne czteropaki i kolejki do fryzjerów i lekarzy specjalistów.

Niby lepiej siedzieć w domu i tego nie oglądać, ale im dłuższy lockdown, tym bardziej zapuszczeni ludzie wyjdą na ulice. Sami nie wiemy, co gorsze.

Obejrzeliśmy debatę prezydencką i nasuwa się jedno zasadnicze pytanie: Dlaczego 90 proc. uczestników to byli biali, w zdecydowanej większości heteroseksualni, mężczyźni?

Ktoś, kto zorganizował tę debatę, w ogóle nie zadbał o poszanowanie praw mniejszości do przedstawicielstwa. Wygląda na to, że po Oscarach i Noblu wybory na prezydenta Polski to kolejny festiwal ku czci archetypu białego i heteroseksualnego fallusoosobnika.

I spośród takich kandydatów będziemy musieli wybierać. Na szczęście jest przynajmniej osobokidawa, chociaż ona, będąc waginoosobą, jest w pewien sposób przedstawicielką większości, tyle przynajmniej, że dyskryminowanej.

Mamy nadzieję, że te wybory tak prędko się nie odbędą, bo na analizowaniu, na kogo wypada nam oddać głos, spędzimy pewnie jeszcze sporo czasu.

Na szczęście tuż po debacie okazało się, iż jednak wyborów 10 maja nie będzie. To świetna wiadomość, iż można będzie przygotować kolejne debaty, w których nie dość, iż możemy zadbać o większą różnorodność w doborze kandydatów, to jeszcze zadać im pytania, na które udzielą naprawdę interesujących nas odpowiedzi:

Kogo bowiem obchodzi wiek emerytalny, bezpieczeństwo itp.? Kaman, to jakieś boomerskie tematy. Nas bardziej obchodzi, kiedy będą jakieś dopłaty do Netflixa, żeby antykoncepcja była darmowa i dostępna pod każdym blokiem i żeby ktoś wreszcie uregulował kwestię duchowej adopcji krów mlecznych (of kors w duchu świeckim, iżbyście nie myśleli).

Chcielibyśmy też się dowiedzieć, jakiego kandydaci mają ulubionego mema, iż to wiele mówi o osobowości (ulubiony mem Kidawy!), oraz czy zjadają piętkę od chleba. To są tematy naprawdę ważne, ciekawe i pozwalające lepiej nam ich poznać od codziennej, ludzkiej strony. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Ja ci zrobię, jak będzie trzeba

No to mamy umowę, Jarku. Tylko jedna rzecz mnie trochę niepokoi: czy Sąd Najwyższy zrobi tak, jak potrzebujemy.

No ale jak to?

Zastanawiam się, czy po prostu anuluje nam te wybory. W konstytucji to nie jest tak prosto napisane.

Oj tam, konstytuta... i tak dalej, jak mówił Marszałek. Od konstytucji to jest Julka. Jak jest jakiś problem z konstytucją, to Julka odpowiednio nam orzeknie. Będę u niej jutro na obiedzie, to mogę o tym wspomnieć.

Ale to jednak Sąd Najwyższy decyduje.

To ta nowa izba, prawda?

Tak.

No właśnie. Tam przecież nasi siedzą, tak? No to w czym problem?

Ale to chyba jednak tam tak nie działa jak w TK. Ta sędzia, która izbą kieruje, mówiła, że sędziowie są niezawiśli...

Jak to? Kiedy tak mówiła?

Już po naszej konferencji.

Niektórym to się naprawdę w głowach przewraca od tego dobrobytu. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jesteśmy prawie tak śmieszni jak Izrael, gdzie po trzech wyborach będzie dwóch premierów. To polscy Żydzi wyeksportowali tam nasze tradycje?".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl c4e9f02f92

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl c4e9f02f92

dwaj panowie g

No i stało się – zły PiS, który chciał skrzywdzić Polaków, przeprowadzając wybory 10 maja, skrzywdzi ich, nie przeprowadzając wyborów 10 maja. Tak przynajmniej mówią tefauny i Eine Totalopposition. Cóż, PiS krzywdzi Polaków samym swoim istnieniem – to wiemy z powyższych źródeł od dawna. Rację miał premier Mateusz, gdy zapowiadał, że partia Kaczora Dyktatora będzie rządzić do 2031 r. Po chryi wokół wyborów korespondencyjnych dorzucilibyśmy nawet do tej prognozy ze dwie kadencje.

Dotąd w świecie najsławniejszy był J.J. Abrams. Teraz powinni być to J.J. Kaczyński-Gowin. Dlaczego? Ponieważ są lepsi. Abramsowi nie udało się uratować nawet „Gwiezdnych wojen", a Dwaj Panowie J. uratowali wybory, demokrację i konstytucję.

Odnotujmy jeszcze jedną ważną rzecz. Dokonanie duetu Dwaj Panowie J. jest pierwszym w dziejach dealem politycznym opartym na trudnej sztuce prekognicji: „Spodziewamy się, że Sąd Najwyższy uzna wybory za nieważne".

Mamy jednak złą wiadomość dla Jarosława Długiego. Rozmaite typy na Nowogrodzkiej mają do niego pretensje nie tylko o kryzys kopertowy, lecz także o tarcze antykryzysowe. Wiewiórki twierdzą, że suflowane przez Gowina i Emilewicz rozwiązania w tarczach są zanadto biurokratyczne i nie rozumieją ich nawet najstarsi księgowi. Za to Tarcza 2.0, którą wymyślił premier Mateusz, jest prosta i zrozumiała.

Tymczasem Zły Donald z Brukseli przypomniał o sobie żarcikiem porównującym polską demokrację do Białorusi. Mamy dla niego żarcik jeszcze zabawniejszy. Przychodzi Tusk w Wigilię do przygłuchego sąsiada, by złożyć życzenia, i puka do drzwi. – Kto tam? – pyta przygłuchy sąsiad. – To ja, Donald, mąż stanu! – mówi Tusk. – Heniek, kto tam się tłucze po nocy? – woła z kuchni żona przygłuchego sąsiada. – Hela, nie uwierzysz! – woła przygłuchy sąsiad. – Przyszedł do nas wąż stanu!

Jesteśmy zaniepokojeni. Czyżby zdrada zalęgła się w sercu zdrowej polskiej armii? Na płocie okalającym wojskowy szpital przy Szaserów, tam, gdzie nie tylko bije medyczne serce polskiej armii, lecz także leczony jest Kaczor Dyktator, wisi banner promujący kandydata Krzysztofa Bosaka. To więcej niż zdrada – to prowokacja!

Apropos banerów – w Warszawie pojawił się także ciekawy przedwyborczy plakat kontestacyjny. Widnieje na nim wizerunek typowego janusha z kucykiem. I napis: „Kandydat niegłosujących: Bogusław. Nie kandyduję. Tak se wiszę". Podpowiadamy: to byłoby dobre hasło dla Małgorzaty Kidawy-Błońskiej.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

W telegraficznym skrócie. Warszawa. Stop. Odbyła się debata prezydencka. Stop. W formule „Jeden z dziesięciu". Stop. Debata pokazała, kto tu jest poważny, a kto dla jaj. Stop. Odpowiedź na to pytanie zawiera się w tytule „Jeden z dziesięciu". Bez odbioru.

Wydarzenia minionego tygodnia i nagłe rozwiązanie kryzysu rządowo-kopertowego sprawiły, że w niepamięć poszły wydarzenia majówki. Niesłusznie, gdyż był to czas cudów i niezwykłości. Dulczessa gdańska, Aleksandra Dulkiewicz, by uczcić Konstytucję 3 maja, złożyła kwiaty pod pomnikiem Jana III Sobieskiego „w hołdzie tym, którzy tę konstytucję wywalczyli". W przyszłym roku oczekujemy, że dulczessa pójdzie z wieńcem pod statuę Bolesława Chrobrego.

Musimy wyznać: jesteśmy cynikami i bezdusznymi typami. Tylko takie kreatury bowiem, wedle gen. Różańskiego, są zaskoczone tym, że Szymon Hołownia tak się wzruszył, nagrywając przedwyborcze wystąpienie, aż się popłakał. Nie wiemy, za co dokładnie odpowiada u Szymona gen. Różański, wygląda trochę na oficera prowadzącego. Biorąc jednak pod uwagę delikatność kandydata, powinien przede wszystkim powstrzymać Szymona od lektury Broniewskiego, bo jak panowie razem dojdą do „Hej! ty, brzozo, hej ty brzozo-płaczko / smutno szumisz nad jego tułaczką", to będzie fontanna.

Są na świecie kraje, gdzie w czasach pandemii ludzie malują murale z wdzięczności dla lekarzy. Szymon Hołownia kazał namalować z tej okazji w Warszawie mural, który jest pomnikiem jego Szymonowego ego. Przedstawia on wielkie drzewo – Polskę – w którego cieniu jest miejsca dla wszystkich. Przy okazji odsłonięcia nadszedł czas na filozofię. „Zasadziliśmy tym aktem drzewo w naszych sercach" – mówił Hołownia. „Drzewo, o którym za 100, za 1000 lat nikt nie będzie pamiętał, kto je zasadził, ale będzie przynosiło komfort, cień kolejnym pokoleniom, które pod nim usiądą". Aż dziwne, że nie płakał. ©℗

eprasa.pl c4e9f02f92

FOT. ADOBE STOCK

W obronie chrześcijan

Chrześcijanie są najbardziej prześladowaną grupą religijną na świecie, a liczba ataków na nich rośnie z roku na rok – alarmują autorzy kolejnych raportów. Ministerstwo Sprawiedliwości więc aktywnie działa, aby objąć ochroną wyznawców Chrystusa i bronić wartości chrześcijańskich. Zarówno w Polsce, jak i na świecie

Chrześcijanie to najbardziej prześladowana grupa religijna na świecie" – zauważyli w 2019 r. autorzy raportu przygotowanego przez Papieskie Stowarzyszenie Pomoc Kościołowi w Potrzebie.

Do takiego samego wniosku doszli autorzy raportu powstałego w ubiegłym roku na zlecenie MSZ Wielkiej Brytanii: jedna trzecia populacji świata cierpi z powodu dyskryminacji ze względów religijnych, a aż 80 proc. tej grupy stanowią chrześcijanie.

Do wzmożonych ataków na wyznawców Chrystusa dochodziło w ostatnich latach w niemal 40 krajach, w tym zwłaszcza w Korei Północnej, Arabii Saudyjskiej, Nigerii, Afganistanie, Erytrei, Somalii, Pakistanie, RPA, Maroku, na Sri Lance, w Indiach czy na Filipinach. Prześladowania, o których piszą autorzy obu cytowanych raportów, przybierają różną formę – od dyskryminacji w szkole i pracy aż do aktów ludobójczych. Te ostatnie wcale nie należą do rzadkości. W XXI w. każdego roku z powodu wyznawanej wiary życie traci ponad 4,2 tys. wyznawców Jezusa Chrystusa. W niektórych krajach za samo posiadanie czy dystrybucję Biblii można trafić do obozu pracy lub zostać skazanym na śmierć. Każdego roku tysiące kobiet i młodych dziewcząt pada też ofiarą porwań i przymusowego „nawracania" na islam. Na celowniku są też świątynie chrześcijańskie – tylko w 2018 r. zaatakowano lub zniszczono niemal 2 tys. z nich.

– Wielu chrześcijan zabija się i prześladuje ze względu na ich miłość do Chrystusa. Oddają życie w milczeniu, bo ich męczeństwo nie zyskuje rozgłosu. A dziś jest więcej chrześcijan męczenników niż w pierwszych wiekach naszej ery – wielokrotnie przypominał papież Franciszek. Na problem współczesnych męczenników chrześcijańskich uwagę zwracał też św. Jan Paweł II.

CHRYSTIANOFOBIA JAK ANTYSEMITYZM

– Musimy przyznać, że istnieje problem prześladowań związanych z chrześcijaństwem, który wykracza poza zwykłą promocję wolności religijnej – oznajmił w ubiegłym roku szef brytyjskiej dyplomacji Jeremy Hunt. Autorzy brytyjskiego raportu zauważają, że do prześladowań chrześcijan dochodzi na każdym kontynencie, a stoją za nimi m.in. kryminaliści i różnej maści fundamentaliści religijni. Zalecają oni jednocześnie, aby do brytyjskiego prawa karnego wprowadzić obok przepisów dotyczących antysemityzmu i islamofobii również paragrafy dotyczące chrystianofobii.

Czy podobne przepisy warto byłoby wprowadzić również w Polsce? – Skoro karzemy za antysemityzm, to karzmy również za chrystianofobię. Nienawiść i wrogość przynoszą ponure skutki. Ataki na chrześcijan, do których tak licznie dochodziło w ubiegłym roku, nigdy nie powinny mieć miejsca. Nie wolno przechodzić nam obojętnie wokół zdarzeń pokazujących, do czego doprowadzić może eskalowanie mowy nienawiści w przestrzeni publicznej. Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że ataki na Kościół są elementem zaplanowanej strategii politycznej. Historia Polski nieraz pokazywała, że jeśli ktoś próbował podporządkować sobie nasz kraj i – mówiąc obrazowo – odciąć głowę polskości, to zaczynał właśnie od walki z Kościołem – zauważa wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski. – Zniszczenie Kościoła i rodziny w imię partykularnych interesów, a także wprowadzenie „nowego ładu" pozbawionego wyższych wartości, ma na celu stworzenie państwa bezbronnego, służalczego oraz podporządkowanego. To zwykła gra interesów. Uważam, że kluczowe znaczenie dla odpierania kolejnych ataków na nasz kraj ma budowanie silnej wspólnoty wartości – dodaje minister Romanowski.

WALKA O WARTOŚCI

Resort sprawiedliwości aktywnie zabiegał w zeszłym roku m.in. o wprowadzenie do unijnej Agendy Strategicznej odniesień do wartości chrześcijańskich, obejmujących również wolność sumienia i wyznania. Polska aktywnie zabiega więc o to, aby Unia Europejska nie odeszła od chrześcijańskich korzeni, które ukształtowały cywilizację zachodnią, a także o to, aby działania Unii w obszarze globalnym koncentrowały się na kwestiach związanych z ochroną prześladowanych chrześcijan.

22 sierpnia 2019 r. pierwszy raz obchodzono na świecie Międzynarodowy Dzień Upamiętniający Ofiary Aktów Przemocy ze względu na Religię lub Wyznanie. Rezolucję w tej sprawie – z inicjatywy polskiej dyplomacji – jednogłośnie przyjęło w maju zeszłego roku Zgromadzenie Ogólne ONZ.

Obrona ze strony takich krajów jak Polska czy Wielka Brytania jest ważna zwłaszcza dla tych wyznawców Chrystusa, żyjących w państwach, w których stanowią mniejszość religijną i w których nie są w stanie walczyć o swoje prawa. Sprawa jest poważna. W niektórych rejonach Afryki i Bliskiego Wschodu sytuacja stała się bowiem tak dramatyczna, że chrześcijanie mogą tam zniknąć zupełnie.

MIŁOŚĆ, RÓWNOŚĆ, TOLERANCJA?

Jedną z przyczyn obojętności wobec ataków na chrześcijan jest postkolonialne poczucie winy, które nie pozwala zachodnim politykom na interwencję w krajach Azji, Afryki czy Bliskiego Wschodu. Według Jeremy'ego Hunta kolejnymi przyczynami przymykania oczu na cierpienie wyznawców Chrystusa są błędnie rozumiana poprawność polityczna i niechęć do rozmawiania o sprawach wiary. Problem ten zauważa także polski rząd.

– Chrystianofobia to ponury symbol tego, że ludzie chorzy z nienawiści przekraczają kolejne granice. W konsekwencji ich działań nie możemy dać się zastraszyć. Wolność to nie dowolność, w której kryminaliści, ludzie niezrównoważeni lub chorzy z pogardy dla drugiego człowieka będą nas zastraszać. To, co się obecnie dzieje, przypomina mi marsz Armii Czerwonej w 1945 r. Oni wtedy też szli pod sztandarami tolerancji i wolności, tylko obecnie zamiast czerwonych flag wiesza się na murach te tęczowe. Ich cele łączy nienawiść do osób o innych poglądach. Wszyscy przecież pamiętamy, gdy jeden z uczestników zeszłorocznej parady równości powiedział wprost, że tylko czeka, kiedy ludzie głosujący na PiS wymrą i wtedy oni dojdą do władzy. Czy coś jeszcze trzeba w tym temacie dodawać? Miłość, równość, tolerancja? Czy oby na pewno? – pyta wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski.

eprasa.pl c4e9f02f92

Piotr Semka

Nie doszło do politycznego zderzenia Jarosława Kaczyńskiego z Jarosławem Gowinem. Ich konflikt przypominał pojedynek dwóch samochodów jadących pełnym gazem naprzeciwko siebie. I oto na krótko przed momentem katastrofy obaj kierowcy zatrzymali pojazdy, wysiedli z wozów, porozmawiali i osiągnęli porozumienie. Elektorat PiS odetchnął z ulgą. Jednak po obu stronach sporu niepokoje zostały

Zderzak w

Co skłoniło obu liderów do samoograniczenia się? Na pewno psychologicznie było to trudne dla obu stron. Jeśli jednak popatrzeć na to z boku i bez emocji, to wygrała polityczna formuła: win-win. Gowin pokazał determinację i ma szansę uratować całość swej partii. Kaczyńskiemu spada z głowy problem, jak przeprowadzić wybory w maju. Ekipa PiS odpycha od siebie nową falę ataków Zachodu dotyczących łamania demokracji. A trzeci – najmniej zauważalny – beneficjent tej ugody, czyli premier Mateusz Morawiecki, cieszy się z zachowanej sejmowej większości dla swego rządu. Mało kto bowiem zwrócił uwagę na jego obecność na środowym „szczycie przełomu".

„Są świadkowie, że ta rozmowa [Jarosława Gowina z Jarosławem Kaczyńskim – przyp. P.S.] odbywała się w bardzo dobrej atmosferze" – wskazywał następnego dnia Gowin. „Była podczas niej obecna premier Emilewicz, pan Ociepa [wiceminister obrony z Porozumienia – przyp. P.S.], był także premier Morawiecki. Końcowy dokument jest efektem pracy tych pięciu osób". Czy to sygnał sukcesu cichej koalicji Morawiecki-Emilewicz-Gowin? Nie wiadomo, ale takie szczególiki nie zachwycą ani „starego PiS", ani Solidarnej Polski Zbigniewa Ziobry.

Nie zmienia to faktu, że Kaczyński zatrzymał polityczny korkociąg, w który powoli zaczęła wchodzić jego formacja. Sekwencje coraz bardziej nerwowych ruchów, które szybko zamieniły PiS w zwierzynę łowną dla polityków opozycji. Sygnałem, że przeciwnik „poczuł krew", było oszustwo marszałka Grodz-

eprasa.pl c4e9f02f92

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

kiego, który wyprowadził PiS w pole, zaskakując rządzącą partię nagłym terminem głosowania. Lider PiS zrozumiał, że liczba nagięć prawa przekroczyła bezpieczny limit. I że per saldo naprawdę zaszkodzi to legitymacji wyborczej Andrzeja Dudy w razie jego reelekcji.

Publicysta Piotr Zaremba, odnosząc się do mojego porównania Kaczyńskiego i Gowina jako kierowców dwóch samochodów pędzących naprzeciw siebie, dopełnił je uwagą, że potencjał dwóch stron w tym pojedynku nie był równy. Jak to ujął, Kaczyński był jak samochód pancerny, a Gowin jak zdezelowana stara limuzyna. Można jednak na to spojrzeć inaczej. To Gowin miał większy potencjał zniszczenia, mogąc wysadzić w powietrze większość parlamentarną Zjednoczonej Prawicy. A szanse na szybkie wybory sejmowe wbrew wizjom roztaczanym przez posłów PiS na potrzeby zdyscyplinowania członków Porozumienia nie były zbyt wielkie. Samorozwiązanie Sejmu mogło nastąpić jedynie poprzez dymisję rządu i bardzo niepewną dla PiS procedurę trzech kroków wyboru nowego premiera. Przy rozhuśtanej, agresywnej opozycji ten scenariusz mógł się zakończyć bardzo źle. Poza tym podwójne głosowanie osłabiłoby główną siłę Andrzeja Dudy – jego pewne odklejenie od PiS w oczach części wyborców. Zdecydowano się więc na ugodę i wybrano, jak się zdaje, kompromisowy termin elekcji w końcu czerwca lub na początku lipca.

Teraz wszystko ma wrócić do normy w Zjednoczonej Prawicy. Jednak, podobnie jak to bywa w małżeństwach, które zaczynają „wszystko raz jeszcze", trudno orzec, kiedy odżyją urazy i złe wspomnienia z niedawnego kryzysu.

JAKA POLITYKA W CZASIE ZARAZY?

Ten kryzys wziął się z prostego faktu. Nikt w ciągu ostatnich 100 lat podobnego wydarzenia jak pandemia nie przeżywał. I to kolejne tygodnie powodowały, że najpierw rosło przerażenie, potem wzmagały się emocje, a wreszcie nastąpiło jakieś powolne przyzwyczajanie się do nowej sytuacji. I dotyczyło to tak polityków obozu rządowego, opozycji, jak zwykłych Polaków. A wszystko odbywało się w tradycyjnym już, trwającym od pięciu lat wzajemnym braku zaufania obozu dobrej zmiany i koalicji „antykaczyzmu".

Dopiero na tym tle zrozumieć można fluktuacje stosunku Nowogrodzkiej do terminu wyborów. Patrząc zupełnie

eprasa.pl c4e9f02f92

chłodnym okiem, gdyby to opozycja miała pnącego się wciąż kandydata, a PiS chwiałby się na nogach, wszyscy intelektualiści i konstytucjonaliści o nastawieniu opozycyjnym jednym głosem krzyczeliby, że epidemia nie unieważnia zasad demokracji. Ponieważ było dokładnie na odwrót i PiS dysponował kandydatem, który miał szansę wygrać nawet w pierwszej turze, a kandydaci opozycyjni byli skłóceni, to nic dziwnego, że obóz władzy dążył do wyborów w konstytucyjnym terminie 10 maja.

To, o co PiS się wywrócił, to obawa z ostatnich dni marca, że ludzie będą bali się pójść do lokali wyborczych. Wtedy na gwałt postanowiono te lęki zredukować poprzez ideę głosowania korespondencyjnego. I wówczas w otoczeniu prezesa pojawiła się idea „kawaleryjskiej szarży" z szybkim przygotowaniem wyborów korespondencyjnych. Takie szarże ileś razy w dziejach PiS okazywały się skuteczne. Pojawił się plan bardzo sprawnej akcji wydrukowania i przygotowania wyborów kopertowych w taki sposób, by z jednej strony pokazać Polakom sprawność PiS, z drugiej strony dać po nosie opozycji, która krzyczała: „Wyborów w maju po prostu nie będzie". W szybkiej naradzie na temat ogłoszenia jako hasła wyborów korespondencyjnych zabrakło kogoś, kto ostrzegłby prezesa Kaczyńskiego, że na tej drodze można potknąć się o opór samorządów. Zlekceważono też, jak się zdaje, znaczenie „zamrożenia" ustawy na 30 dni przez Senat.

A Gowin? Jego rachuby też były dość ambitne. Jeśli wierzyć opowieściom z obozu Porozumienia, to przejął się bardzo alarmistycznymi diagnozami prof. Wojciecha Maksymowicza o znacznie wyższym – niż to się okazało w rzeczywistości – poziomie pandemii. Lider Porozumienia uznał, że jest to okazja, aby – jak to ujął prof. Andrzej Zybertowicz – nieco „rozepchnąć się" w Zjednoczonej Prawicy. Być może jeszcze długo nie dowiemy się, ile prawdy było w teoriach, że Gowinowi miał zdecydowanie pomóc w przeforsowaniu wyborów za dwa lata Władysław Kosiniak-Kamysz, który miał wycofać się w ostatniej chwili. Jednak Gowin zagrał va banque, bez wahania oddał wicepremierostwo i rzucił wyzwanie prezesowi.

Im bliżej było 10 maja, tym bardziej Kaczyński dostrzegał, że nawet harujący po 16 godzin na dobę Jacek Sasin nie zapobiegnie jakiemuś kiksowi. Oliwy do ognia niewątpliwie dolewał wicemarszałek Ryszard Terlecki, który swoimi obcesowymi wypowiedziami nie tylko w miniklubie Gowina nikogo nie zastraszył, lecz także wręcz pchnął część młodszych posłów do skupienia się wokół szefa na zasadzie oburzenia brutalnym językiem Terleckiego. Zamykając ten opis emocji, które wywołał konflikt wewnątrz PiS, trzeba dodać jeszcze element krajobrazu. Kolejny raz media sprzyjające opozycji rozpętały niewiarygodną histerię bazującą na lęku ludzi przed zarazą. W kraju, w którym w czasie masowej kwarantanny miliony ludzi otrzymują codziennie paczki i kwitują je osobiście, straszono „kopertami śmierci" i śpiewano: „Zróbmy wybory, których nie przeżyje nikt". Warto zapamiętać tę próbkę sprawności mediów proopozycyjnych jako przykład grania zbiorowymi lękami w sytuacji kryzysowej.

Jednak Kaczyński, który dał się sprowokować tej kampanii, znalazł w sobie zdolność do autokorekty własnej linii. I znów potwierdził status polityka, który wznosi się ponad własne emocje. Tak było w sprawie zakończenia miesięcznic smoleńskich i tak było teraz, gdy w porę zrozumiał, że Sasin nie zdąży z wyborami w maju. Oddał mu w tym hołd polityk lewicy Marcin Anaszewicz, komentując ugodę na Nowogrodzkiej tak: „Czyli pogłoski o politycznej śmierci J.K. były mocno przesadzone... Lata mijają, opozycja niby uprawia politykę, a Jarosław Kaczyński robi swoje, wyznacza linie podziałów, decyduje o tym, czym zajmują się inne partie, media, społeczeństwo".

WARTO CZYTAĆ GAZETY

Podstawą ugody Kaczyńskiego z Gowinem była koncepcja, która pierwszy raz pojawiła się w tekście Marka Domagalskiego na łamach „Rzeczpospolitej". To Domagalski zwrócił uwagę, że wyjściem z klinczu jest odwołanie się do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, do której kompetencji należy stwierdzenie ważności wyborów parlamentarnych. Tekst Domagalskiego cytował opinię sędziego SN Wiesława Kozielewicza, byłego szefa PKW, który w przekonujący sposób wskazał, że samo głosowanie to tylko jeden z elementów wyborów. Według Kozielewicza SN ma obowiązek zająć się ich kontrolą i w praktyce orzec ich nieważność lub brak wystąpienia aktu wyborczego, co może otworzyć prostą drogę do wyznaczenia przez marszałka Sejmu ponownego terminu wyborów.

Oczywiście są też prawnicy tacy jak prof. Ryszard Piotrowski, którzy już dziś głoszą, że stwierdzania ważności wyborów prezydenta, które leży w kompetencjach Sądu Najwyższego, nie stosuje się do sytuacji orzekania o nieważności „wyboru, którego nie było".

Biorąc pod uwagę, że trudno dziś znaleźć konstytucjonalistów, którzy są poza emocjami bieżącej walki politycznej, zapowiada się okres półtora miesiąca sporów prawniczych na temat przyszłego werdyktu SN. Jak trafnie zauważa Tomasz Pietryga z „Rzeczpospolitej: „Do wyborczej awantury Sąd Najwyższy zostanie wciągnięty bez względu na to, jaką decyzję podejmie [...]. Zbiega się to z wymianą władz w SN, która wywołuje olbrzymie kontrowersje w środowisku prawniczym, a o ważności wyborów i dalszym ich scenariuszu będzie decydowała Izba Kontroli Nadzwyczajnej".

Trudno przypuszczać, aby ta agresywna część sędziów, która uwikłała się w prawniczą „świętą wojnę z obecną ekipą", nie znalazła jakiejś okazji do wdania się w spory na ten temat. Znany ze wspierania licznych kampanii opozycyjnych prof. Marcin Matczak już głosi, że „Sąd Najwyższy nie ma prawa rozstrzygać o ważności wyborów, które się nie odbyły". Pytanie, jak bezpośredni wpływ na werdykt sądu mogą mieć takie upolitycznione dyskusje. Izba Kontroli Nadzwyczajnej i spraw publicznych SN nie dała jak dotąd podstaw do podejrzeń, że jest podatna na wpływy polityczne.

SĄDOWY KONTREDANS

Zostawmy na razie na boku przeczucia kolejnych awantur wokół werdyktów SN, a skupmy się na najbardziej praktycznym aspekcie orzecznictwa sądu. Będzie on musiał rozstrzygnąć, czy w wyborach przesuniętych najprawdopodobniej na lipiec będą musieli wziąć udział kandydaci już zarejestrowani (z ewentualnym dojściem kolejnych chętnych, o ile zbiorą 100 tys. podpisów), czy też cała procedura zostanie powtórzona od nowa. Piszę te słowa, aby uświadomić, że chwilowe opadnięcie emocji wokół wyborów bardzo szybko może się zmienić. A opozycja zaskoczona ugodą Kaczyńskiego i Gowina na razie jest nieco skołowana, ale szybko może wymyśleć kolejne tezy mające udowodnić nielegalność przyszłych wyborów.

Z początku tylko bagatelizowała spotkanie „dwóch Jarosławów". Teraz już sypie wezwaniami do powołania specjal-

eprasa.pl c4e9f02f92

nej komisji badającej wydatki związane z przygotowaniami do wyborów w maju. Ale dziennikarze prawni podejrzewają, że SN nakaże jedynie powtórzenie głosowania, uznając, że rejestracja kandydatów i kampania wyborcza odbyły się w zadowalającym stopniu. Oznaczać to będzie, że do lipcowych (bądź czerwcowych) wyborów pójdzie obecny skład kandydatów. Wyborami zajmie się tym razem PKW, co też powinno zmniejszyć skalę emocji wokół elekcji.

Naturalnym pytaniem, które nasuwa się wszystkim, jest to, czy Małgorzata Kidawa-Błońska zostanie wymieniona na kogoś innego. Jak już wskazywałem powyżej, dopiero werdykt SN zadecyduje o tym, czy będzie to możliwe. Sama Kidawa-Błońska dosyć ostrożnie deklaruje, że na razie nie ma problemu, bo nieznany jest termin nowych wyborów. Ale opozycja medialna już podejmuje temat zmiany. W Radiu TOK FM Mikołaj Lizut wypytywał prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka, czy nie zechciałby zastąpić Kidawy-Błońskiej.

Bardzo charakterystyczne jest też to, że nikt z opozycji nawet nie wspomina o idei Władysława Kosiniaka-Kamysza, by cała opozycja wystawiła jednego kandydata. Kosiniaka-Kamysza wyprzedził w paru sondażach Szymon Hołownia i ten już na pewno nie pozwoli na żadne wspieranie ludowców. A Budka może się uprzeć, by Kidawa-Błońska została. Jej odejście z kampanii będzie przyznaniem się do porażki, a do tego lider Platformy nie chce dopuścić. Tym bardziej że z PO nikt specjalnie do kandydowania „last minute" się nie rwie.

EGZAMIN Z DOJRZAŁOŚCI

Temat, którego na razie nikt nie chce podejmować w obozie PiS, to kwestia dalszej koegzystencji Porozumienia w Zjednoczonej Prawicy oraz wewnętrznych podziałów partii Gowina. W tej pierwszej kwestii irytacja na „wywinięcie numeru" tego ambitnego krakowianina jest wyciszona, ale bardzo głęboka. „Z szantażystą się nie rozmawia". Taką opinię naznaczoną nawet dystansem wobec działań Kaczyńskiego usłyszałem od jednego z członków komitetu politycznego PiS. Dzisiaj tego typu stwierdzenia wyrażane są ściszonym głosem wobec ogólnej atmosfery uniknięcia katastrofy, ale mogą w każdej chwili wrócić.

Temat, którego na razie nikt nie chce w obozie PiS podejmować, to kwestia dalszej koegzystencji Porozumienia w Zjednoczonej Prawicy oraz wewnętrznych podziałów w partii Gowina

Inne partie obozu opozycji takiego problemu nie mają. Idea przedłużenia kampanii o dwa miesiące nie wydaje się jakoś specjalnie niepokoić ani Władysława Kosiniaka-Kamysza, ani Szymona Hołowni, ani wreszcie Roberta Biedronia.

Niepokoją się za to publicyści sekundujący kandydatom opozycyjnym. Michał Sutowski na łamach „Krytyki Politycznej" słusznie wskazuje: „Wzajemna jatka dopiero się zacznie. Dramatycznie rośnie bowiem stawka: w perspektywie dwóch miesięcy do głosowania szanse na wejście do drugiej tury wydają się dużo mniej iluzoryczne niż dotąd. [...] Kampania majowa dowiodła, że nie ma mowy o żadnych trwałych układach wzajemnych. Walka o status wśród niepisowskiej »reszty świata« prowadzi niepartyjnych kandydatów do wojny na wyniszczenie".

Pierwsze godziny po „układzie dwóch Jarosławów" pokazały prawdziwość tych słów w pełnej rozciągłości. Już następnego dnia Włodzimierz Czarzasty kpił z PSL i Koalicji Obywatelskiej, że dali się koncertowo Gowinowi wyprowadzić w pole.

Niewiele łatwiejszą sytuację ma sam Gowin. Niedawny kryzys wykazał limity władzy Kaczyńskiego. Ale i Gowin musiał pojąć swoje ograniczenia. Zobaczył, że we własnym 18-osobowym klubie może liczyć na góra osiem osób. To w samodzielnej polityce dość mało. Chociaż w czasie kryzysu nie ujawnił się żaden jego rywal. Po części taką rolę odgrywał Adam Bielan, szef Konwencji Krajowej Porozumienia, ale to polityk z europarlamentu, bez krakowskiej przeszłości. Pewne urazy zostaną na długo, choć dziś mówi się o nich ściszonym głosem.

Najbardziej twardzi „gowinowcy" nie kryli, że w ostatnich paru tygodniach byli rozczarowani bardzo oszczędną postawą w konflikcie wicepremier Jadwigi Emilewicz. Jest i inna okoliczność – pojawienie się wskutek kryzysu dwóch młodych frontmanów Porozumienia – Michała Wypija, który stał twardo u boku prezesa Gowina, i Kamila Bortniczuka, który jako pierwszy zadał pytanie, czy zwalczanie majowych wyborów nie zamieniło się w jakieś zacietrzewienie. Tak czy inaczej gowinowcy i ci, którzy orientować się zaczęli na Nowogrodzką, będą musieli teraz nauczyć się ze sobą na nowo żyć. Jeśli urazy okażą się nie do przezwyciężenia, to stracą obie strony. Na dodatek są już i tacy w PiS, którzy przypominają, że umowa koalicyjna partii Jarosława Kaczyńskiego z Porozumieniem nie wspomina o wspólnym starcie w wyborach sejmowych w roku 2023. Im bliżej będzie tej daty, tym bardziej ci, którzy trzymali się prezesa Kaczyńskiego przed ugodą, będą starali się o miejsce na listach PiS. A ci, którzy trzymali się Gowina, zaczną myśleć o czymś własnym.

Cały ostatni konflikt to wreszcie powód do głębokiego namysłu dla samego Jarosława Kaczyńskiego. Czy faktycznie jednoosobowy tryb kierowania partią nie doprowadził do przecenienia swoich sił w kwestii możliwości przeprowadzenia wyborów 10 maja? Czy nie zabrakło zróżnicowania doradców, którzy ostrzegliby w porę przed różnymi zagrożeniami? I wreszcie – czy swoją prawdziwość okaże powtarzane po cichu w PiS powiedzenie, że „Bóg wybacza, ale Jarosław Kaczyński nigdy"? Czy Gowin ma się obawiać jakiejś zemsty?

Lider rządzącej partii musi serio się zastanowić, czy bez Porozumienia uzyskałby większość w wyborach w 2019 r. A Jarosław Gowin powinien pamiętać, że swoją polityczną akcją bardzo poważnie zaniepokoił iluś wyborców PiS wizją odsunięcia Zjednoczonej Prawicy od władzy. Na dodatek wspomniany już Jacek Jaśkowiak wzywa, by opozycja nie atakowała Gowina, bo może być jeszcze przydatny do rozsadzenia władzy Prawa i Sprawiedliwości od środka.

PiS wchodzi w okres kolejnych dwóch miesięcy wyborczych ze stosunkowo dobrymi sondażami Andrzeja Dudy i osobno partii. Wszelkie słabości opozycji – o ile Platforma nie wynajdzie jakiegoś cudownego dziecka – na razie nie znikną. Jednak polityczna praktyka nie pozwala na przewidywanie jakiegoś uspokojenia nastroju. Raczej na odwrót. Paweł Tanajno dzień po ugodzie zorganizował pierwszą od dawna gwałtowną demonstrację pod siedzibą rządu. Można się tylko zastanawiać, z której strony opozycja, ta polityczna i ta medialna, zaatakuje znów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4e9f02f92

FOT. MACIEJ JARZĘBINSKI/FORUM

Z Genowefą Grabowską, profesorem nauk prawnych
rozmawia Wojciech Wybranowski

Wątpliwości rozwieje Sąd Najwyższy

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Co wydarzyło się 10 maja? W jakim miejscu jesteśmy obecnie na gruncie prawa?

PROF. GENOWEFA GRABOWSKA: Miały być wybory prezydenckie, a była normalna niedziela, skażona niestety obecnością koronawirusa! Wszak funkcjonujemy w czasie pandemii. A poważnie – po raz pierwszy w historii naszej demokracji wybory nie odbyły się w wyznaczonym terminie konstytucyjnym. Państwowa Komisja Wyborcza już w przedwyborczy czwartek ogłosiła, że głosowanie zaplanowane na 10 maja nie jest możliwe, że lokale wyborcze będą zamknięte i nie będzie obowiązywała cisza wyborcza. Oficjalne sprawozdanie PKW będzie ważną informacją dla Sądu Najwyższego, dla jego Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, która zgodnie z Konstytucją RP wypowie się w kwestii ich ważności. SN oceni przecież cały proces wyborczy: od momentu ich ogłoszenia przez przebieg kampanii wyborczej do finału, jakim miał być niedzielny akt głosowania. Głosowania jednak nie było, proces wyborczy nie został ukończony, zatem wszystko wskazuje na to, że SN podejmie uchwałę unieważniającą wybory prezydenckie… z powodu ich nieodbycia! Dopiero ta uchwała otworzy drogę do przeprowadzenia nowych wyborów (art. 129 ust. 3 konstytucji). I znów marszałek Sejmu w ciągu 14 dni zarządzi nowe wybory, które będą się musiały odbyć w ciągu kolejnych 60 dni od jej decyzji.

Pojawiają się wątpliwości, czy wraz z ogłoszeniem nowej daty wyborów należy przeprowadzić ponowną procedurę zgłaszania kandydatów, zbiórki podpisów pod listami poparcia.

Stwierdzenie nieważności może dotyczyć całego procesu wyborczego lub tylko jego części. O tym także zadecyduje Sąd Najwyższy. Słyszymy coraz częściej, że powinny być zachowane prawa nabyte kandydatów, wszak całkiem niedawno wszyscy zebrali po co najmniej 100 tys. podpisów, zarejestrowali komitety wyborcze. Dlaczego więc mieliby te czynności powtarzać? Jeżeli nie chcemy komplikować sobie życia, to powinniśmy uznać, że ci kandydaci, którzy już zostali zgłoszeni, będą mogli dokończyć ten prezydencki wyścig. Tak nakazuje logika. Czy jednak SN podzieli taką opinię, dopiero zobaczymy. Osobiście wolałabym, aby prawa nabyte kandydatów zostały uszanowane. Obawiam się, że konieczność powtórnego zgłaszania kandydatów czy zbierania podpisów mogłaby prowadzić do zniechęcenia społeczeństwa – pokazalibyśmy, że jesteśmy mało efektywnym społeczeństwem.

A jeśli SN uzna, że mogą zgłosić się nowi kandydaci?

Wtedy pojawi się problem równych szans „starych" i „nowych" kandydatów. Będzie wiele pytań w rodzaju: „Czy wszyscy kandydaci muszą zbierać podpisy, czy tylko ci, którzy dołączają do wyścigu?", „Jak »nowym« zrekompensować np. nieobecność na debatach?" itp. Odnoszę wrażenie, że takie rozwiązanie nam nie grozi. Partia, która wycofałaby swojego kandydata, po pierwsze przyznałaby się do błędu w jego wyborze i po drugie postawiłaby nowego kandydata na gorszej pozycji (krótsza kampania wyborcza, mniejsze obycie medialne, automatyczne „dziedziczenie" nie najlepszej opinii o poprzedniku). Na te wątpliwości odpowie nam z pewnością Sąd Najwyższy. W postępowaniu o unieważnienie wyborów prezydenckich będzie miał okazję do wskazania, które czynności mogą być przeniesione do nowej procedury wyborczej, a które wymagają powtórzenia. Jedno jest pewne – będzie trwała intensywna kampania wyborcza, może już nawet z udziałem wyborców, taka prawdziwa kampania z bliskim kontaktem między kandydatami a obywatelami.

W przypadku, gdy pojawią się nowi kandydaci, którzy będą musieli przejść całą procedurę od początku, czy nie będzie to podstawą do podważania przez nich wyniku wyborów – bo mieli mniej czasu na prowadzenie kampanii?

Można się tego obawiać. Podkreślam jednak, że o ewentualnej zmianie decydują partie wystawiające kandydatów.

eprasa.pl c4e9f02f92

Więc jeśli partia sama zmienia dotychczasowego kandydata, to uczyni to przecież z rozmysłem, musi mieć bowiem świadomość, że stawia go w gorszej sytuacji, że daje mu mniejsze szanse w porównaniu ze „starymi" kandydatami.

Nie sądzę też, aby to mogła być przyczyna skutecznych protestów wyborczych. Wszak kandydat, który dołącza do trwającego już wyścigu prezydenckiego, czyni to dobrowolnie i musi mieć świadomość, że już na starcie pozostaje w tyle. Myślę jednak, że zarówno SN w teorii, jak i uczestniczące w wyborach partie polityczne (w praktyce) przyjmą zasadę kontynuacji.

Komisja Europejska zapowiedziała, że będzie śledzić przebieg wyborów w Polsce. Taką deklarację złożył unijny komisarz ds. sprawiedliwości Didier Reynders. Mowa jest o wątpliwościach co do ich praworządności.

Chciałabym wreszcie usłyszeć od któregoś z unijnych komisarzy, zwłaszcza pani Věry Jourovej, co KE rozumie pod pojęciem praworządności. Czynią z tego pojęcia przepastny worek, do którego ciągle wrzucają nowe elementy. A przecież Komisja Europejska nie została wyposażona w prawo do kontroli procedur wyborczych ani do obserwacji wyborów w państwach członkowskich. To są uprawnienia innych europejskich organizacji w tym celu powołanych, głównie Rady Europy oraz OBWE.

Mam wrażenie, że Komisja Europejska znów bezpodstawnie uzurpuje sobie prawo do ingerencji w nasze procedury wyborcze. Mogłoby to być nawet zabawne, gdyby nie było całkowicie niespójne. Najpierw pani Jourová, jako komisarz, oficjalnie ogłasza, że sprawy organizacji wyborów są sprawami poszczególnych państw członkowskich, aby po chwili stwierdzić, że „Polsce to my patrzymy na ręce". I tu włącza się komisarz belgijski Reynders, który już grozi nam palcem i na zapas się zastanawia, czy nasze wybory będą równe, tajne, powszechne, bezpośrednie. Na jakiej podstawie to robi? Czy w Komisji nie mają autentycznych problemów? Czy zamiast skupić siły na walce ze skutkami pandemii, wolą dawać posłuch wychodzącym z Polski niedobrym i nieprawdziwym sygnałom, że przygotowywane u nas w trybie konstytucyjnym wybory są niemal… zamachem na demokrację! To dalekie od stosowania prawa, od równego traktowania państw członkowskich, to czysta polityka!

Czekają nas jeszcze jedne wybory – pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. Miał je (po zamknięciu tego wydania „Do Rzeczy") zorganizować p.o. I prezes SN prof. Kamil Zaradkiewicz. Tymczasem były rzecznik poprzedniej Krajowej Rady Sądownictwa sędzia Waldemar Żurek złożył pozew, w którym chce stwierdzenia, że Zaradkiewicz nie jest sędzią, nie może więc być p.o. I prezesem SN i takich wyborów przeprowadzać.

Nie wiem, czy to kolejna próba zablokowania wyborów w SN, ale na pewno próba wywołania wrażenia, że w Sądzie Najwyższym panuje chaos, czyli kontynuacja polityki zapoczątkowanej w czasach byłej pierwszej prezes SN.

Zgodnie z obowiązującymi przepisami Prezydent RP wyznaczył pana sędziego SN Kamila Zaradkiewicza na pełniącego obowiązki pierwszego prezesa SN. Będzie je pełnił w określonym czasie, tj. do chwili, gdy prezydent wskaże pełnoprawnego pierwszego prezesa SN, wybranego spośród kandydatów wyłonionych przez Zgromadzenie Sędziów SN i przedstawionych prezydentowi.

Natomiast pan sędzia Żurek usiłuje podważać prezydencką nominację prof. Zaradkiewicza na stanowisko p.o. pierwszego prezesa SN, deprecjonować jego pozycję wśród sędziów SN, a nawet kwestionować jego sędziowską nominację! To jest żałosne, zwłaszcza powrót do dywagacji na temat udziału KRS w procesie nominacji sędziów.

Rozumiem, że sędzia Żurek był bardzo długo członkiem KRS, więc uważa, że tylko za jego kadencji rada działała prawidłowo, ale tutaj robi poważny błąd, ponieważ na gruncie obowiązującego prawa status żadnego sędziego opiniowanego przez KRS, a następnie mianowanego przez Prezydenta RP, nie może być podważany. To wynika nie tylko z polskich przepisów i konstytucyjnej prerogatywy prezydenta, lecz także z wyroku Trybunału Sprawiedliwości UE, w którym 19 listopada 2019 r. wyraźnie stwierdzono, że prezydenckiej prerogatywy podważać nie wolno.

Sędzia prof. Zaradkiewicz odwiesił zawieszoną przez prof. Gersdorf Izbę Dyscyplinarną Sądu Najwyższego. Tymczasem była prezes twierdzi, że zawieszenie izby wynika z wykonania orzeczenia TSUE. Tutaj pojawia się też pytanie, co jest ważniejsze – konstytucje krajów członkowskich czy przepisy unijne?

W obowiązujących traktatach unijnych nie znajdziemy żadnego przepisu, który mówiłby o hierarchii porządków prawnych. Nie znajdziemy tam twierdzenia, że prawo UE stoi ponad prawem państw członkowskich. Próbę wprowadzenia zasady nadrzędności prawa UE nad porządkami prawnymi państw członkowskich podjęto w latach 2002–2003, kiedy tworzono projekt tzw. konstytucji dla Europy. Uczestniczyłam w pracach konwentu, pamiętam ostre spory i żarliwe dyskusje toczone przez prawników i polityków. Zwyciężyło podejście federalistyczne i w dokumencie końcowym znalazł się krótki art. I-6 stanowiący: „Konstytucja i prawo przyjęte przez instytucje Unii w wykonywaniu przyznanych jej kompetencji mają pierwszeństwo przed prawem Państw Członkowskich". Tę zasadę z dużym oporem przegłosowano i wpisano to do traktatu konstytucyjnego. Tylko pamiętajmy, że ten traktat nigdy nie wszedł w życie, odrzuciły go w wyniku referendum – m.in. z tego właśnie powodu – Francja i Holandia, państwa założycielskie wspólnot europejskich zresztą. I co ciekawe, ten przepis zniknął, nie pojawił się już w żadnej kolejnej regulacji, próżno go szukać w obowiązujących traktatach.

Mam wrażenie, że Komisja Europejska znów bezpodstawnie uzurpuje sobie prawo do ingerencji w nasze procedury wyborcze

Zatem jeśli ktoś mówi, że w UE prawo europejskie dominuje nad porządkiem krajowym, to mówi nieprawdę. Jeśli zaś zachodzi wątpliwość, czy organy UE działają w granicach i na podstawie prawa, wówczas każde państwo członkowskie ma prawo badać, czy były do tego upoważnione i czy w konkretnej sprawie nie przekroczyły przyznanych im w traktatach kompetencji. Jeśli nastąpiło przekroczenie kompetencji lub unijny organ działał bez podstawy prawnej, wówczas państwo członkowskie (przez trybunał/sąd konstytucyjny) sygnalizuje ten fakt i wstrzymuje się od stosowania przepisów (orzeczeń) wydanych w takim trybie. Właśnie tak zadziałał ostatnio niemiecki Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe, stwierdzając, że Europejski Bank Centralny przekroczył swoje uprawnienia, nie stosując zasady proporcjonalności przy skupie obligacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4e9f02f92

Co dalej z „500+”?

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Łukasz Warzecha

Kto obejrzał debatę kandydatów na prezydenta, ten mógł być zaskoczony: większość z nich przedstawiała gospodarcze propozycje tak, jakby nie czekała nas pierwsza recesja od początku lat 90. Jakbyśmy nadal byli na etapie budżetu bez deficytu (czy z deficytem ukrytym) i wzrostu gospodarczego na poziomie przynajmniej 3 proc.

Gdyby podzielić kandydatów według poglądów ekonomicznych oraz stopnia kontaktu z gospodarczą rzeczywistością, po stronie socjalnej, a może wręcz socjalistycznej, mielibyśmy Roberta Biedronia, Szymona Hołownię oraz przede wszystkim urzędującego prezydenta. W centrum pod względem gospodarczym próbuje się sytuować Władysław Kosiniak-Kamysz, mieszając pomysły wolnorynkowe z socjalnymi. Po stronie wolnego rynku spośród przedstawicieli ugrupowań obecnych w Sejmie staje Krzysztof Bosak. Frakcja wolnorynkowa składa się poza tym z kandydatów spoza głównego nurtu. W ten ton uderzają Mirosław Piotrowski, Stanisław Żółtek oraz częściowo samozwańczy antysystemowiec i trybun ludowy przedsiębiorców Paweł Tanajno. Trudno sklasyfikować Marka Jakubiaka, którego przekaz jest mocno zawikłany, poza wszelkimi kryteriami zaś sytuuje się Małgorzata Kidawa-Błońska, która nie jest w stanie wygłosić jednego znaczącego, spójnego i niebanalnego zdania nie tylko o gospodarce zresztą.

Ciekawym zjawiskiem politycznym w kontekście gospodarczych problemów, związanych z epidemią, stał się w tej kampanii wyborczej Paweł Tanajno. Niespełniony działacz polityczny i bardziej spełniony przedsiębiorca, kiedyś związany z Ruchem Palikota, który w wyborach prezydenckich w 2015 r. dostał 0,2 proc. głosów i zajął zaszczytne, ostatnie, 11. miejsce, teraz sprawia wrażenie, jakby próbował wejść w buty Pawła Kukiza sprzed pięciu lat, prezentując się jako twardy antysystemowiec, tyle że szczególnie bliski ludziom małego biznesu.

W czasie środowej debaty prezydenckiej Tanajno kompletnie nie przejmował się zadawanymi przez Michała Adamczyka pytaniami i przy każdej okazji wykrzykiwał, że przedsiębiorcy są gnębieni, a warunkiem poprawy ich sytuacji jest odesłanie na śmietnik polityków. Podkreślał, że sam politykiem nie jest. W swojej swobodnej wypowiedzi na koniec spotkania zapowiedział na następny dzień protest przedsiębiorców pod kancelarią premiera. I ten faktycznie się odbył: w czwartek przedsiębiorcy (trudno powiedzieć jak wielu – bardzo szacunkowe oceny mówią o kilkuset osobach) najpierw próbowali samochodami zablokować węzły komunikacyjne w centrum stolicy, a potem zgromadzili się w Al. Ujazdowskich pod siedzibą rządu. Nie wszyscy się ostatecznie rozeszli – wieczorem zaczęło tam powstawać coś na kształt miasteczka namiotowego. W nocy z czwartku na piątek policja prewencyjnie

eprasa.pl c4e9f02f92

zatrzymała wszystkich protestujących. Przy czym Tanajno w swojej antypartyjnej i antyestablishmentowej retoryce nie przemyca wielu konkretów i właściwie nie bardzo wiadomo, czy oczekuje od rządzących hojnej pomocy – o której maksymalnym zautomatyzowaniu w kontekście Tarczy Antykryzysowej wspominał – czy jedynie uwolnienia gospodarki.

Mirosław Piotrowski z kolei – związany do pewnego momentu z Radiem Maryja, przedstawiciel środowisk tradycjonalistycznych – jako jedyny z kandydatów kilkakrotnie podkreślał, że w roli prezydenta sprzeciwiłby się wszelkim podwyżkom podatków, a nawet starałby się je obniżyć, korzystając z inicjatywy ustawodawczej. Zarazem jednak stwierdził, że nie podpisałby ustawy podwyższającej wiek emerytalny. Mówiąc o niższych podatkach, nie wspominał o drugiej stronie układanki, czyli jakichkolwiek oszczędnościach budżetowych.

Reakcja kandydatów na pytanie o sprawę wieku emerytalnego była szczególnie znacząca. Decyzja rządu PO z 2012 r. bardzo partii Donalda Tuska zaszkodziła i dała PiS do ręki mocny argument, ale z punktu widzenia wydolności systemu emerytalnego i coraz dłuższego życia Polaków była zasadna. Zarazem jednak była tak niepopularna, że żaden z kandydatów na prezydenta nie odważył się teraz stwierdzić, iż byłby gotów ją powtórzyć i zmienić z kolei decyzję PiS o powrocie do dawnego wieku emerytalnego. Jedynie Krzysztof Bosak nieco wymijająco wyjaśnił, że jest zwolennikiem emerytury obywatelskiej i likwidacji ZUS jako instytucji niewydolnej.

Andrzej Duda, który twardo bronił wszystkich socjalnych programów PiS, zarzucał tymczasem Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi, że jako członek rządu PO-PSL opowiedział się za podwyższeniem wieku emerytalnego, co lider PSL kontrował cytatem z samego Andrzeja Dudy – iż tylko fanatyk nie zmienia poglądów. Dzisiaj – deklarował Kosiniak-Kamysz – widać, że nie może być mowy o powrocie do wyższego wieku emerytalnego. Przewodniczący PSL lansował za to pomysł emerytury bez podatku, wzięty zresztą z kręgów wolnorynkowców, którzy od dawna wskazują, że opodatkowanie pieniędzy wypłacanych z budżetu – nie tylko zresztą emerytur – jest absurdem.

Przypomnijmy, jaka jest sytuacja. Według prognoz Polskę w 2020 r. czeka recesja od –3 do nawet –8 proc. Koszt Tarczy Antykryzysowej to ponad 300 mld zł. Dług publiczny, który ostatnio spadł w relacji do PKB (choć cały czas rósł w liczbach bezwzględnych), może niebezpiecznie zbliżyć się do granicy konstytucyjnego i unijnego progu 60 proc. PKB. Właściwie wszyscy ekonomiści, niezależnie od wyznawanego paradygmatu, zgadzają się, że w sytuacji drastycznego gospodarczego tąpnięcia konieczne jest danie gospodarce impulsu do odzyskania rozpędu. Różnice dotyczą tego, czy – jak twierdzą zwolennicy szkoły liberalnej – powinien to być jednorazowy zastrzyk, traktowany na zasadzie absolutnie wyjątkowego działania, czy – jak chcieliby zwolennicy etatyzmu – dalszy ciąg standardowej polityki, którą należy jedynie wzmocnić, a po zażegnaniu kryzysu wcale nie trzeba jej przerywać. Tak czy owak na ten zastrzyk, mający w pierwszej kolejności utrzymać przy życiu jak najwięcej firm, a w drugiej wspomóc popyt wewnętrzny potrzebne są pieniądze. Ponieważ te nie biorą się z drukarni, tylko z pracy (dodrukowanie pieniędzy poprzez powiększanie długu publicznego może się skończyć wysoką inflacją), należałoby zacząć studzić oczekiwania dotyczące podtrzymania ofensywnej polityki socjalnej.

Nic z tych rzeczy. Andrzej Duda podczas swojej niedawnej wirtualnej konwencji postawił przede wszystkim na sprawy socjalne właśnie, właściwie w ogóle nie zwracając się do przedsiębiorców. Zapewniał, że żaden już istniejący program socjalny nie zostanie zmieniony ani na jotę. A przecież właśnie teraz moment jest idealny, żeby dokonać przeglądu „500+", a z 13. emerytury po prostu zrezygnować. Dzisiaj można to poprzeć argumentami, z którymi trudno dyskutować. Mało tego, prezydent zapowiedział nie tylko specjalny zasiłek solidarnościowy, lecz także podwyższenie zasiłku dla bezrobotnych.

Andrzej Duda nie jest tu jednak sam. Oto bowiem Szymon Hołownia – którego gospodarcze kompetencje pozostają zagadką – stwierdza optymistycznie, że stać Polskę i na „500+", i na wiele innych programów społecznych. Hołownia ściga się z prezydentem Dudą na obietnice: zasiłek dla bezrobotnych ma być podwyższony do ponad 2 tys. zł, wszyscy (należy przez to chyba rozumieć wszystkie firmy) mają być na pół roku zwolnieni z danin publicznych oraz – co brzmi już naprawdę karkołomnie, cokolwiek oznacza – państwo ma „przejąć pensje pracowników". Hołownia, podobnie jak większość startujących w wyborach, nie dostrzega najwyraźniej konfliktu między pomniejszeniem dochodów budżetu (zwolnienie z danin) a zwiększeniem jego wydatków („przejęcie pensji").

Inny czempion lewicowej myśli ekonomicznej, Robert Biedroń, głównego nieszczęścia Polaków upatruje w umowach cywilnoprawnych, które oczywiście nazywa „śmieciowymi", i zapowiada, że zlikwiduje je w ciągu swoich pierwszych stu dni. Jak, jakim kosztem dla pracowników, co z zawodami, gdzie nie da się pracować na etacie – a kto by się takimi detalami przejmował? Najważniejsze, że – jak deklaruje kandydat Lewicy – nie będzie klękania przed biskupami.

Także Kosiniak-Kamysz, który wspomina o dobrowolnym ZUS dla przedsiębiorców – co jest akurat dobrym i coraz częściej przebijającym się do debaty pomysłem – chce rozdawać więcej pieniędzy. Wspomina o 1,5 tys. zł dla całego polskiego personelu medycznego za czas walki z koronawirusem. No to policzmy: lekarzy jest w Polsce ok. 140 tys. Gdyby tylko wszyscy oni mieli prawo do tej premii, musielibyśmy znaleźć w budżecie dodatkowe 210 mln zł. Pielęgniarek i pielęgniarzy jest natomiast ok. 230 tys. Czyli dodać trzeba jeszcze 354 mln zł. Razem ponad pół miliarda złotych. Skąd to wziąć? Nieważne. Ważne, żeby kolejna grupa zawodowa poczuła się dopieszczona. Wszak sam Kosiniak-Kamysz jest lekarzem.

Dramat polega na tym, że najważniejsi kandydaci na prezydenta – z wyjątkiem Krzysztofa Bosaka, podkreślającego momentami wolnorynkowy rys swojej formacji – z urzędującą głową państwa włącznie, zachowują się tak, jakby nie było potrzeby przynajmniej zastanowienia się, czy polskiej gospodarki nie powinniśmy przestawić na inne tory. Czy stać nas na kontynuowanie kosztownych, a często ewidentnie źle sformatowanych programów pomocy, takich jak „Wyprawka+" (kosztująca minimum 1,5 mld zł rocznie), czyli 300 zł na szkolne zakupy przysługujące na każde dziecko, niezależnie od rzeczywistych potrzeb i statusu materialnego rodziny? Czy recesja, z której będziemy się wydobywać przez kilka lat, nie jest dobrym momentem, żeby zrewidować socjalny kurs, którym szliśmy przez ostatnie pięć lat? Refleksji brak.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4e9f02f92

Rafał A. Ziemkiewicz

Moralni inaczej

Walczący o prawo do tolerancji jednocześnie mogą demaskować publicznie czyjś rzekomy homoseksualizm? Tak, o ile można w ten sposób dołożyć PiS-owcom. Tak się instrumentalizuje moralność

wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI
Środa 06.05.2020 Dzisiejsze wydanie papierowe

Kraj News from Poland Świat Miasta Opinie Gospodarka Nauka Tech Kultura Sport Magazyny Zdrowie

Sąd Najwyższy

Tylko w "Wyborczej": Niebezpieczna przes
Zaradkiewicza

Wojciech Czuchnowski Justyna Dobrosz-Oracz 4 maja 2020 | 06:20

PROF. ZARADKIEWICZ PRZERYWA MILCZENIE
3 OSOBY NA METR KWADRATOWY • BIURO BEZPIECZEŃSTWA I Z

Kamil Zaradkiewicz (Fot. TVP info)

Pełniący obowiązki pierwszego prezesa SN ma w życiorysie plamy, które mogą czynić go podatnym naciski i szantaże. Chodzi m.in. o mobbowanie podwładnego i prywatne ekscesy.

Zwrot Jarosława Kurskiego „Tym razem będzie prawdziwa bomba", użyty przez wiecznego wice-Michnika do zareklamowania którejś kolejnej publikacji „Gazety Wyborczej" mającej obalić PiS, używany jest w Internecie jako kpina z wysiłków tej redakcji, od lat próbującej ogłosić o obozie rządzącym coś – mówiąc językiem jej najbardziej znienawidzonego wroga – „porażającego". Trzeba jednak przyznać, że w przeciwieństwie do licznych wcześniejszych „afer", które pozostawiały obojętnymi nawet bratnie media liberalno-lewicowe, najnowsza publikacja, o prof. Kamilu Zaradkiewiczu, rzeczywiście może być nazwana „bombą". Tyle że była to bomba, która wybuchła w rękach konstruktorów.

Clou artykułu, mającego przedstawić nowego pełniącego obowiązki pierwszego prezesa Sądu Najwyższego w najgorszym możliwym świetle, stanowiła sugestia, że prezydent Duda nominował człowieka utrzymującego stosunki homoseksualne. Cała reszta tekstu to standard „czarnego pijaru", ale ta obyczajowa „bomba" miała zapewne w przekonaniu autorów, Wojciecha Czuchnowskiego i Justyny Dobrosz-Oracz, tudzież całej redakcji obrócić przeciwko Zaradkiewiczowi i prezydentowi Dudzie „lud PiS-owski", tak, jak go sobie środowiska liberalno-lewicowe wyobrażają.

Jest to o tyle dziwne, że ta „demaskacja" była już swego czasu dokonana, i to przez osobę dla wyborców PiS o niebo bardziej wiarygodną od pracowników Agory – prof. Krystynę Pawłowicz, obecnie będącą sędzią Trybunału Konstytucyjnego. Zwolennicy PiS odebrali to jako niesmaczny wyskok ekscentrycznej posłanki, kompletnie jej napaść na Zaradkiewicza ignorując. Nie powinno to

eprasa.pl c4e9f02f92

zresztą nikogo dziwić – o tym, że wbrew wyobrażeniom salonu o „ciemnogrodzie" takie „demaskacje" zupełnie nań nie działają, przekonał się już przecież przed laty, za czasów swej prezydentury, Lech Wałęsa. Dwukrotnie powtórzone w programie Moniki Olejnik „zapraszam Lecha Kaczyńskiego z żoną i Jarosława Kaczyńskiego z mężem" miało obrzydzić centroprawicowemu elektoratowi zbuntowanego, byłego współpracownika – ale jedynie spotęgowało zniesmaczenie sposobem sprawowania przez Wałęsę prezydentury, które zadecydowało o przegraniu przez niego wyborów w 1995 r. Zabawną ciekawostką jest to, że bliskie Wałęsie ośrodki – dziś można sądzić, że mające związek ze sprawą tzw. szafy Lesiaka – jako owego rzekomego „męża" wskazywały Pawła Rabieja, dziś lewicowego wiceprezydenta Warszawy, ale wtedy znanego tylko jako współautora godzącej w obóz Wałęsy książki „Kim pan jest, panie Wachowski?".

TĘCZOWA DWULICOWOŚĆ

Obłuda „Gazety Wyborczej", która pod dyktando tęczowego lobby wielokrotnie atakowała Polaków za rzekomą nietolerancję wobec homoseksualistów, rozpowszechniała fałszywą opowieść o „strefach wolnych od LGBT" i promowała „parady równości", jest tu oczywiście poza wszelką dyskusją. Poza dyskusją jest też obłuda zawodowych homoseksualistów z organizacji LGBT, którzy po tej publikacji nabrali wody w usta i nie zdobyli się na potępienie jej – jedynie przedstawiciel Kampanii Przeciw Homofobii zaprzeczył twierdzeniom redakcji, jakoby przed publikacją tekstu konsultowała go z przedstawicielami ruchu LGBT i uzyskała zapewnienie, że nie jest „homofobiczny". Samokompromitacja ogranicza się jednak nie tylko do obłudy: „Wyborcza" dowiodła również, po raz kolejny, że żyje w świecie wyższościowych urojeń i jej „społeczne zaangażowanie", które dumnie podkreśla skradzionym dawnemu STS-owi hasłem reklamowym „Nam nie jest wszystko jedno", nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, a wiele z kompensacją własnych problemów psychicznych.

Przekonanie „Wyborczej", że prawicowy elektorat dyszy nienawiścią do homoseksualistów i nominowanie takowego uzna za kompromitujące dla własnego obozu, przypomina do złudzenia antysemicką demaskację dokonaną przez tygodnik „Newsweek" przed wyborami prezydenckimi. Tomasz Lis wydawał się podobnie przekonany, że wytknięcie kandydatowi PiS na prezydenta żony Żydówki spowoduje załamanie poparcia dla niego i doprowadzi na tle tej kandydatury do rozłamu w obozie centroprawicowym. I tu również jedyną reakcją był niesmak.

„Opiniotwórcze" środowiska, które uważają się za liberalne, „wiedzą", jakie jest polskie społeczeństwo – z rozmów we własnym gronie. A ponieważ „wiedzą", nie chcą się zapoznawać z jakimikolwiek konkretami. Nawet jeśli mają do dyspozycji badania przeprowadzone przez naukowców życzliwych im tak, jak prof. Maciej Gdula, stanowiący przez wiele lat podporę „Krytyki Politycznej", a w ostatnim czasie pełniący istotną funkcję w partii Roberta Biedronia. Gdyby salonom chciało się zerknąć nawet nie na same wyniki badań, które prowadził wspólnie z dr. Przemysławem Sadurą, ale przynajmniej na wywiady, których obaj socjologowie udzielali, wiedziałyby, że ich ufundowane na pogardzie stereotypy „polskiego katolickiego ciemnogrodu" mają tyle wspólnego z prawdą, co wyobrażenia XIX-wiecznych rasistów o Murzynach jako ludziach umysłowo ograniczonych i zdolnych wyłącznie do pracy fizycznej albo o Żydach jako z natury niemoralnych i rozpustnych.

Wbrew wyobrażeniom salonu o „ciemnogrodzie" takie demaskacje zupełnie nań nie działają

KONSERWATYZM TO TOLERANCJA

Zespół zachowań wobec różnego rodzaju odmienności, typowy dla Polaków z – mówiąc ich językiem – „klasy niższej", wspomniani dwaj naukowcy nazwali „konserwatywną tolerancją". Z grubsza, chodzi o kierowanie się zasadą oddaną w znanym powiedzeniu „Żyj i daj żyć innym". W istocie – nie jest to tolerancja „konserwatywna", tylko po prostu tolerancja, we właściwym sensie tego słowa, które propaganda lewicowo-liberalna celowo pomieszała z pojęciem „akceptacji", a nawet „idolatrii". I to ten właśnie fakt, że przeciętny Polak jest zarazem konserwatywny i tolerancyjny, niweczy wszystkie wysiłki salonu, by zohydzić kogoś poprzez odwoływanie się do zachowań, które on sam Polakom przypisał.

Nie warto chyba nawet dodawać, że gdyby jakiś „wstrętny pederasta" (określenie Romana Giertycha, dziś

eprasa.pl c4e9f02f92

opiniotwórczej podpory opozycji), wskazany w obozie PiS, zechciał jednak przejść do obozu jedynie słusznego, to natychmiast okazałoby się, że jego homoseksualizm nie jest godną pogardy i dyskwalifikującą rozpustą, jak wynika z artykułu Czuchnowskiego i Dobrosz-Oracz, ale prywatnością, która nikogo nie powinna obchodzić, albo nawet powodem do dumy. Liberalno-lewicowe salony od lat przecież przyzwyczajają nas w swej „dystrybucji szacunku", że w ocenie osób istnieje tak naprawdę tylko jedno kryterium: czy to „nasz", czy „nie nasz". Jeśli „nasz", to wszystko, co robi i co sobą reprezentuje, jest dobre – w przeciwnym wypadku odwrotnie.

Najświeższym przykładem medialnej przemiany, której wcześniejsze przypadki można by wyliczać godzinami, jest była szefowa prezydenckiej kampanii Andrzeja Dudy, Jolanta Turczynowicz-Kieryłło. Zaledwie kilka tygodni temu inną „prawdziwą bombą" „Gazety Wyborczej" był „śledczy" artykuł demaskujący ją jako niezrównoważoną psychicznie PiS-owską fanatyczkę, która rzuciła się na człowieka próbującego uniemożliwić jej łamanie ciszy wyborczej i pogryzła go. W ubiegłym tygodniu, gdy pani mecenas zaczęła „gryźć" środowisko rządzące, zdradzając „sekrety" swego rozstania z kampanią prezydenta (w największym skrócie takie, że po prostu była zbyt dobra, zbyt odważna i zbyt uczciwa dla tego towarzystwa), okazało się jednak, że jej komentarze są niezwykle cenne, jak najbardziej wiarygodne i zasługujące na szacunek, a na dodatek ona sama jest wybitnym fachowcem od prawa.

Nobilitacja, którą przeszli Radosław Sikorski, Michał Kamiński czy wspomniany już największy swego czasu „faszysta" III RP Roman Giertych – a przede wszystkim sam Lech Wałęsa, który w dniu obalenia rządu Jana Olszewskiego w roku 1992 dosłownie w jednej chwili z małego zawistnika, antysemity i tępego „dyktatora" z siekierą zamienił się w liberalnych mediach w największego z Polaków, męża stanu i mędrca, jest więc nadal dostępna za niewygórowaną cenę, zblatowania się z antypisem. Paweł Lisicki, wówczas redaktor naczelny „Rzeczpospolitej" zakpił sobie kiedyś z salonu, publikując felieton o rzekomej „spowiedzi agenta Tomka", jakoby obciążającego winą Jarosława Kaczyńskiego za to, że „zmusił go" do robienia strasznych rzeczy, ze śledzeniem skorumpowanej posłanki na czele. Natychmiast, zanim ktokolwiek z liberalnych mediów sprawdził, kto wrzucił w głuchy telefon mediów tę informację, posypały się pod adresem Tomasza Kaczmarka pochwały i zachwyty, potem pośpiesznie usuwane. Najśmieszniejsze jest jednak to, że kilka lat później Kaczmarek, zagrożony śledztwem w sprawie domniemanych nadużyć, rzeczywiście zaczął „nadawać" na PiS i te same osoby po raz kolejny już zmieniły o nim zdanie, znowu na pozytywne.

Wszystko, cokolwiek autorytety liberalno-lewicowe mówią i robią, jest przepełnione obłudą, kłamliwe

ISTOTA „MICHNIKOWSZCZYZNY"

Powszechna hipokryzja tego środowiska dotyczy oczywiście nie tylko osób, względne i uzależnione od bieżącej walki politycznej jest wszystko. Na tym właśnie – zinstrumentalizowaniu dla tego celu wszelkich moralnych pryncypiów – zasadza się istota „michnikowszczyzny". Przypomnijmy sobie choćby o nadużywaniu służb specjalnych czy wykradaniu z archiwów kompromitujących go dokumentów przez Wałęsę. O „falandyzowaniu" przez niego prawa. O nadużyciach Tuska – najściu ABW na redakcję „Wprost" po publikacji kompromitujących PO taśm, „nalot" tejże samej służby na autora internetowych kpin z Bronisława Komorowskiego czy kilkuletnim przetrzymywaniu w aresztach śledczych „prywatnych więźniów Donalda" – kibiców, których propaganda kreowała wtedy na największych wrogów porządku społecznego. Wszystko to było gorliwie zamilczane bądź otwarcie usprawiedliwiane przez te same media, które po goebbelsowsku powtarzają niczym nieuzasadnione kłamstwa o rzekomym „łamaniu konstytucji" przez PiS.

Także zresztą sama „kon-sty-tuc-ja" traktowana jest w sposób w najwyższym stopniu wybiórczy, nawet jeśli wspiera ją orzecznictwo Trybunału Konstytucyjnego, i to z czasów przewodzenia mu przez sędziów Safjana, Zolla czy Rzeplińskiego. Podnosząc do rangi „łamania konstytucji" proceduralne drobiazgi albo swoje nader wątpliwe interpretacje (podstawą propagandy o rzekomej „niekonstytucyjności" KRS jest upieranie się, że gwarantowana w ustawie zasadniczej niezależność sędziowska oznacza, iż tylko sędziowie mają prawo wybierać organa ich nadzorujące), jednocześnie ignoruje opozycja konstytucję w sprawach, w których jest ona bardzo jednoznaczna. Przykład najjaskrawszy to oczywiście art. 8, niepozostawiający żadnej wątpliwości, że wyjąwszy konkretne kompetencje, które Polska delegowała Unii Europejskiej w traktatach stowarzyszeniowych, to ona jest w Polsce prawem nadrzędnym wobec dyrektyw europejskich, a orzeczenia polskich sądów są ponad orzeczeniami TSUE. Zaprzeczenie tej zasadzie było istotą sędziowskiego rokoszu. Podobnie jak ignoruje obóz lewicowo-liberalny oczywiste zapisy, według których niekonstytucyjne są w Polsce próby wprowadzenia dopuszczalności aborcji „na życzenie" albo podniesienia konkubinatów homoseksualnych do rangi „małżeństwa".

Wszystko, cokolwiek autorytety liberalno-lewicowe mówią i robią, jest przepełnione obłudą, obliczone wyłącznie na efekt propagandowy, kłamliwe. Kilka miesięcy po „aferze" internetowej hejterki występującej jako „Mała Emi", która miała dostać poufne informacje, kompromitujące przywódców sędziowskiego buntu – aferze rozdmuchanej propagandowo do rangi zamachu stanu i maglowanej tygodniami – pojawiły się dowody, że jak podejrzewano to od dawna, obrzydliwy internetowy ściek „Sok z Buraka" jest nie tylko finansowany z partyjnych pieniędzy PO, lecz także prominentni działacze tej partii są jego stałymi współpracownikami. Ktoś, kto ogranicza swój kontakt z mediami wyłącznie do Agory, ITI i RASP, nie miał się o tym skąd dowiedzieć, ponieważ media te nałożyły na informację stawiającą „ich" partię w złym świetle ścisłą cenzurę. Jak to mają w stałym zwyczaju.

Niektórzy nazywają to „nasizmem". Nie liczy się nic, tylko „nasi". Wielki cel, którym jest obrona naszych i dowalenie naszym wrogom, uświęca każdy zastosowany środek. Jeżeli zatem w najbliższych dniach zobaczymy Adama Michnika – okadzanego jako autora nadętych moralnie prac w rodzaju „Z dziejów honoru w Polsce", a w istocie największego hipokryty w polskim życiu publicznym ostatniego trzydziestolecia – jak maluje na budynku Sądu Najwyższego napis „strefa wolna od LGBT"... to ja osobiście wcale się nie zdziwię.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4e9f02f92

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

sensacyjny wywiad z byłym członkiem motocyklowego gangu Hells Angels

Piotr Zychowicz – **Wielka gra Piłsudskiego**
Maciej Rosalak – **Polacy w Kijowie**
Jacek Bartosiak – **Geopolityka Ukrainy**
Arkadiusz Karbowiak – **Granatowa policja: kaci czy ofiary?**
Sławomir Koper – **Opowieść o wileńskich rzezimieszkach**
Mikołaj Iwanow – **Jak Hitler chciał podrzucić Żydów Stalinowi**
Sławomir Cenckiewicz – **Sowiecki kat z Katynia**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl c4e9f02f92

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

Furia Grabowskiego

Wojciech Wybranowski

„Polska nie jest normalnym krajem", „IPN należałoby zamknąć" i oskarżenia o „nacjonalistyczną ofensywę" – tak prof. Jan Grabowski, autor książki „Dalej jest noc", reaguje na badania podważające wiarygodność jego opowieści o masowym udziale Polaków w zagładzie Żydów

Slogany i słowna agresja zamiast merytorycznej debaty opartej na naukowo potwierdzonych dowodach. Tak w ostatnich miesiącach zaczyna wyglądać coraz bardziej groteskowa obrona powielanych przez środowiska lewicowo-liberalne tez prof. Jana Grabowskiego, historyka współpracującego z Centrum Badań nad Zagładą Żydów. To autor książek, w których utrzymuje on obraz szerokiego udziału polskiej ludności w zagładzie ich żydowskich sąsiadów. Powołując się na swoje badania historyczne, przekonywał też, że „Polacy przyczynili się do śmierci 200 tys. Żydów". Przed rokiem w „Do Rzeczy" w publikacji „Anatomia kłamstwa" uznani historycy i badacze zmiażdżyli jego rewelacje.

Dwa lata temu wiele kontrowersji wzbudziła jego książka „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski" napisana wspólnie z prof. Barbarą Engelking. Miesiąc temu ukazała się jego kolejna publikacja „Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów". Historycy już doszukali się poważnych merytorycznych błędów podważających ustalenia tego badacza.

– Udowodnili, przez analizę źródeł, na które powołuje się pan Grabowski, że z punktu widzenia naukowego jest on oszustem manipulującym faktami i świadectwami. To, co tworzy, nie ma nic wspólnego z szukaniem prawdy historycznej – ocenia prof. Bogdan Musiał, historyk badający prześladowania Żydów w okupowanej Polsce, autor m.in. „Kto dopomoże Żydowi". – Każdemu historykowi zdarza się popełnić błąd, mylną interpretację. To jest normalne. Tylko u niego to stało się metodą, dlatego nie może pozwolić sobie na rzeczową debatę i zastępuje ją epitetami – dodaje naukowiec.

HUZIA NA IPN

Jednym z historyków, którzy przeanalizowali źródła i dokumenty, na które powoływał się prof. Grabowski, był pracownik IPN dr Tomasz Domański. W polemizującej z książką Grabowskiego publikacji „Korekta obrazu" wskazał manipulowanie faktami, cytatami i danymi. „Zniesławienie Domańskiego zaprowadziłoby go do sądu – gdyby Polska była normalnym krajem. Polska nie jest już jednak normalnym krajem dla niezależnych badaczy Holokaustu"

eprasa.pl c4e9f02f92

– zagrzmiał prof. Grabowski na łamach portalu Jewish.pl. Nie spodobało mu się też, że ekspertyzę dr. Domańskiego zaprezentowano na stronach Muzeum Getta Warszawskiego. – Muzeum Miłości Polsko-Żydowskiej, znane również jako Muzeum Getta Warszawskiego, nie jest już normalnym muzeum – wraz z przybyciem dr. Domańskiego w roli „eksperta" stało się częścią nacjonalistycznej ofensywy na temat historii Zagłady – stwierdził Grabowski. Zasugerował, że Domański nie jest samodzielnym autorem polemicznej pracy i w swoim artykule postawił tezę, iż stoi za nim „komando kilku pracowników IPN wyznaczonych przez przełożonych do »przeciwdziałania zagrożeniu«".

IPN skwitował te zarzuty w oświadczeniu: „Lektura tego tekstu najlepiej obnaża metody i poziom intelektualny tego typu publicystycznych przejawów agresji. […] Instytut stoi na stanowisku, że prawdziwy trud badawczy, oparty na szacunku dla materiału źródłowego, bez trudu przetrwa takie napaści".

– Nie dziwi mnie taka sytuacja. Napisałem wiele publikacji, w których zmierzyłem się z „rewelacjami". Nigdy nie doczekałem się z jego strony merytorycznej polemiki, były za to agresja i epitety – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" dr Piotr Gontarczyk, historyk.

Rok temu dr Gontarczyk sprawdził podawane przez prof. Grabowskiego w książce „Dalej jest noc" informacje o rzekomym udziale polskich granatowych policjantów w prześladowaniu Żydów w Bochni i wydaniu ich w ręce gestapo. Badania historyczne, także źródeł, na które powoływał się autor „Dalej jest noc", wskazały, że do zdarzenia rzeczywiście doszło. Tyle że wbrew temu, co pisał prof. Grabowski, Żydów nie prześladowali polscy policjanci, ale funkcjonariusze Żydowskiej Służby Porządkowej (Jüdischer Ordnungsdienst). – Działania żydowskich funkcjonariuszy przypisano Polakom. Czyli oszustwo. Po tym, gdy to ujawniłem, sprawę opisała żydowska prasa, wskazując, że prof. Grabowski został przyłapany na nieprawdzie. Zareagował, oskarżając mnie na jej łamach, że jestem ponoć ostrym polskim nacjonalistą – opowiada Piotr Gontarczyk.

POŁAJANKI ZAMIAST DEBATY

Obelgi i słowne wycieczki stały się częścią debaty, którą w mediach, także społecznościowych, ze swoimi oponentami prowadzą prof. Grabowski i jego środowisko. W 2018 r. Instytut Pamięci Narodowej chciał wraz ze Slawistyczną Grupą Badawczą na Uniwersytecie w Ottawie i Ambasadą Polski w Ottawie zorganizować prezentację wystawy IPN „Polacy ratujący Żydów" oraz wykład Tomasza Roguskiego z Instytutu o tym samym tytule.

Reakcja prof. Grabowskiego, na co dzień wykładowcy na Uniwersytecie w Ottawie, była gwałtowna. Wezwał swoich studentów i społeczność żydowską w Ottawie, by zaprotestowali przeciw polskiej wystawie. Wystosował list do dziekana Wydziału Sztuki na tamtejszym uniwersytecie, w którym pisał, że obecne szefostwo IPN zostało powołane „i namaszczone przez populistów i nacjonalistów, którzy doszli do władzy w Polsce". Stwierdził też, że IPN zajmuje się „zniekształcaniem polskiej świadomości historycznej".

W swojej najnowszej książce prof. Jan Grabowski twierdzi, że granatowa policja miała „niebagatelny udział" w wymordowaniu Żydów

W lutym ubiegłego roku w internetowej rozmowie tygodnika „Newsweek", której prowadzącym był Tomasz Lis, prof. Grabowski powiedział, że Polska ma reputację ciemnogrodu, a IPN należy zlikwidować. Jego zdaniem Instytut ma na celu „niszczenie reputacji mojej i innych badaczy Zagłady".

– Reputację pana Grabowskiego? – dziwi się prof. Bogdan Musiał, polsko-niemiecki historyk. – Ja sam, badając prześladowania ludności żydowskiej, odkryłem w jego publikacjach manipulacje. Początkowo naiwnie myślałem, że można z nim polemizować w tej materii. Ale okazało się, że kłamstwo uczynił metodą, a dyskusja nie ma sensu. Jego książki są tyle warte co papier, na którym zostały wydrukowane.

Jesienią ubiegłego roku polskie władze zainaugurowały w Berlinie działalność Instytutu Pileckiego – placówki mającej badać i upamiętniać losy Polaków pod dwoma totalitaryzmami. Niemieckie media sprawę opisały neutralnie, wskazując m.in. na wartość badawczą takiej instytucji. A prof. Grabowski w mediach społecznościowych napisał, że Instytut Pileckiego jest „instrumentem nacjonalistycznej propagandy". Stwierdził: „Instytut Pileckiego to organizacja, którą można nazwać »IPN-em light«. IPN całkowicie stracił swoją wiarygodność, szczególnie poza granicami Polski. Instytut Pileckiego stał się teraz użytecznym narzędziem i orężem w rękach polskich nacjonalistów".

Oberwało się też jednemu z potomków polskich Żydów ocalałych z Zagłady. Tylko dlatego, że śmiał nie zgadzać się z Grabowskim. „Jestem zaskoczony, że widzę Jeffreya Cymblera jako członków grupy Edukatorzy Holokaustu. Ostatni raz widziałem go na moim uniwersytecie w Ottawie, gdy przybył tam z polskim ambasadorem, by wspierać polskich nacjonalistów z IPN, którzy przybyli z zatrważającą wystawą o pomocy Polaków dla Żydów" – napisał prof. Grabowski na Facebooku.

„Tata Jeffreya przeszedł przez Auschwitz i Gęsiówkę, mama przeżyła w ukryciu. Jego winą jest, jak rozumiem, to, że próbował zabrać głos w czasie spotkania z profesorem. Zamiast klaskać?" – skomentował to na Twitterze Jakub Kumoch, ambasador RP w Turcji.

NOWA PORCJA MANIPULACJI

Swoją najnowszą książkę „Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów" prof. Grabowski reklamuje następująco: „[…] Tak się jednak składa (czego starałem się dowieść na stronach tej książki), że granatowa policja miała niebagatelny udział w wymordowaniu polskich Żydów i wchodzi tym samym w pole zainteresowania badaczy Holokaustu. Więcej, granatowa policja stanowiła istotny, niekiedy niezbywalny element niemieckiej strategii eksterminacji europejskich Żydów". Przekonuje on przy tym, że polscy policjanci często mordowali Żydów na własną rękę, wykazując się przy tym ogromną inicjatywą.

Wartość historyczna także tej książki już budzi spore zastrzeżenia znawców tematu. – Przeczytałem książkę „Na posterunku" i piszę jej recenzję – mówi dr Piotr Gontarczyk. – Sprawdziłem dotychczas sześć cytatów z tego dzieła, pięć z nich ma w nim zupełnie inną treść niż w oryginalnych materiałach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4e9f02f92

Czy wyschniemy?

Łukasz Zboralski

Po długim okresie suszy wreszcie w kraju padał deszcz. To jednak nie zmienia polskiego problemu z dramatycznie małym zasobem wody. Czy zdołamy ją zatrzymać u siebie?

W ubiegłym tygodniu spadł długo oczekiwany deszcz. W niektórych rejonach – np. na Mazowszu – padało całymi dniami. Pozornie więc problem z nadciągającą historyczną suszą został rozwiązany. Jednak susza hydrologiczna w Polsce jest problemem głębszym. To, że przez chwilę nie trzeba było podlewać ogródków, nie oznacza, że za chwilę dalej w mocy nie będą gminne zakazy i prośby. Bo wody mamy w kraju mało. I bez odpowiednich działań jej nie przybędzie. I wcale nie oddaliliśmy groźby „suszy 50-lecia" (choć zarazem to sformułowanie wskazuje, że co najmniej 50 lat temu mieliśmy do czynienia z podobnym problemem).

Oczywiście powinniśmy oszczędzać wodę w naszych domach. Nadal uczyć dzieci, że podczas mycia zębów należy zakręcić kurek kranu. Tylko że to pomoże mniej więcej tyle, ile walka z plastikowymi opakowaniami przez wyparcie z rynku plastikowych słomek. Ruch właściwy, ale jednak zaledwie symboliczny, biorąc pod uwagę, że np. wędliny owijamy w plastikowe osłonki, a to setki ton każdego miesiąca.

ŹLE REAGOWALIŚMY PO POWODZIACH?

Porównaniem, które najsilniej działa na wyobraźnię, jest zestawianie Polski z Egiptem, który z racji położenia geograficznego postrzegamy jako kraj pustynny. Tymczasem nasze zasoby wody są porównywalne z egipskimi. Jak podawała Najwyższa Izba Kontroli, statystycznie na jednego Polaka przypada rocznie ok. 1,6 tys. m sześc. wody. To trzykrotnie mniej niż środnio w krajach Unii Europejskiej. NIK nazwała nas nawet pustynią Europy.

Na ten problem, związany m.in. z ukształtowaniem terenu kraju, nakładają się zmienione warunki atmosferyczne. Od 2015 r. mamy właściwie do czynienia z coraz bardziej suchymi latami, okresy letnie są coraz gorętsze. Zmieniła się też struktura opadów. Okresowe wiosenne czy jesienne długie słoty zastąpiły gwałtowne ulewy. Te nie pozwalają tak dobrze nawodnić gleby i sprawić, by wilgoć znalazła się w niej na dłużej. W dodatku bezśnieżne zimy sprawiają, że gleba nie ma stałego nasączania wodą z roztopów. Pokrywa śnieżna przestała zapewniać nam częściowe pokrycie nawodnienia.

Już w 2016 r. Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej odnotował, że wiosną stan wód gruntowych w Polsce był o połowę mniejszy niż rok wcześniej.

Na skąpe opady lub jedynie krótkie i gwałtowne albo na coraz wyższe temperatury latem nie mamy – jako kraj – wielkiego wpływu. Nie możemy sobie „załatwić" więcej deszczu. To potrafił tylko Doktor Plama – czyli filmowa kreacja Zdzisława Maklakiewicza w kultowej dziś komedii „Hydrozagadka" (obiecywał odparowanie wody znad Polski i przeniesienie jej chmurą do suchego kraju Kaburu).

W dodatku, jak wskazali dekadę temu w liście otwartym naukowcy i organizacje społeczne, przestraszeni wielkimi powodziami, latami broniąc się przed zalewaniem, pogłębiliśmy problem suszy. Jak? Zdaniem ekspertów powodzie w latach 1997, 2001, 2008, 2009 i 2010 dowiodły, że trzymaliśmy się w kraju

eprasa.pl c4e9f02f92

FOT. ŁUKASZ SZCZEPAŃSKI/REPORTER

przestarzałego sposobu ochrony przed zalewaniem – czyli budowaniem i umacnianiem obwałowań oraz tworzeniem zbiorników zaporowych.

Przybywało uszczelnień, które przyspieszały odpływanie wód rzekami, tym samym ograniczaliśmy zdolności retencyjne – czyli do utrzymywania wody – dolin rzecznych. Sztuczna retencja nie mogła tego zastąpić.

Apelowano wówczas do władz o m.in. stopniową wymianę materiałów na pokrycia umożliwiające retencję wód opadowych, o budowy tzw. kanałów ulgi, wykupywanie terenów, które naturalnie powinny być zalewowe i stopniowe przenoszenie z nich ludzi mieszkających w strefach tych naturalnych zagrożeń, obwarowanie nowych inwestycji wymogiem rekompensat za zmniejszenie retencji.

UDAŁO SIĘ TYLKO LASOM

Jak wskazała późniejsza kontrola NIK – w 2005 r. – nie szło nam to najlepiej. A w zasadzie było z tym naprawdę marnie. Wyniki kontroli wskazały, że w Polsce nadal nie uwzględniano zalet tzw. małej retencji, czyli gromadzenia wody w niewielkich zbiornikach, zarówno naturalnych, jak i sztucznych.

Dwa badane wówczas samorządy – województwa małopolskiego i śląskiego – nie wiedziały nawet, jakie obszary na ich terenach są zalewowe. Programy małej retencji były albo nieaktualne, albo opóźnione. Dość wspomnieć, że po 10 latach realizacji programu małej retencji w Małopolsce jedno zadanie było w realizacji, sześć przygotowywano, a 62 (!) w ogóle nie podjęto. W województwie śląskim nie było lepiej. Po sześciu latach programu małej retencji z 95 zadań nie zrealizowano 78. Wówczas zaledwie 5 proc. gmin (z 349 na terenie obu województw) budowało obiekty małej retencji, a 6 proc. modernizowało istniejące.

Dobrze radziły sobie jedynie Lasy Państwowe. Te, po pierwsze, dobrze rozpoznawały problemy z retencją, miały o nich wiedzę i reagowały. Wówczas zrealizowały 247 zadań remontowych i zwiększyły pojemność małej retencji o 4,4 mln m sześc. wody. W kolejnych latach (2007–2013) Lasy Państwowe zbudowały lub poprawiły już 6,5 tys. obiektów związanych z małą retencją. Efekt? Umożliwienie magazynowania 44 mln m sześc. wody.

W 2016 r. w lasach rozpoczęto kolejne projekty, które potrwają do końca tego roku i kosztować będą prawie 500 mln zł (w tym dofinansowania z UE). W sumie na nizinach powstanie 1181 obiektów piętrzących wodę lub spowalniających jej odpływ, co pomoże magazynować 2,1 mln m sześc. wody. W terenach górskich objętość zgromadzonej wody wzrośnie do 400 tys. m sześc.

PORA NA CAŁY KRAJ

Jednak utrzymywanie wody w lasach to za mało. To nie pomoże m.in. rolnikom na suchych polach. Nie zatrzyma konsekwencji dla każdego – już nie tylko problemów z wodą w kranach, lecz także wyższych cen płodów rolnych.

Musimy zacząć uznawać wodę za zasoby strategiczne z taką samą powagą jak przemysł energetyczny. Z taką samą powagą, jaką po pandemii zaczniemy traktować m.in. maseczki i leki, których w Europie – jak się okazało – od dawna nie produkowano. Można uruchomić także produkcję składników do antybiotyków. Wodę trzeba tylko zatrzymać.

Na szczęście zauważono to na najwyższym szczeblu. – Stan suszowy występuje u nas któryś rok z rzędu, wyraźnie widać, że jest pewna tendencja, na którą musimy znaleźć odpowiedź – mówił prezydent Andrzej Duda podczas niedawnej konferencji. – Dziś musimy mówić o melioracji, gdy jest potrzebne odwodnienie – gdy przyjdzie moment powodziowy, ale musimy mówić również o melioracji, gdy potrzebne jest nawodnienie. Do tego konieczna jest mądra gospodarka hydrologiczna, do tego jest potrzebny wielki program retencji w Polsce – stwierdził.

Prezydent zapowiedział, że na ten cel w ciągu najbliższych siedmiu lat w Polsce wydane zostanie 12 mld zł. Za te pieniądze ma powstać dziewięć największych zbiorników retencyjnych i 30 mniejszych oraz wiele nowych inwestycji w małą retencję – jazów, małych zbiorników. Wreszcie, czego brak 15 lat temu wytykała NIK, do retencjonowania wody mają być zachęcani rolnicy i gospodarze.

W ubiegłym miesiącu zakończył się już nabór wniosków do Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa na pomoc w nawadnianiu gospodarstw rolnych. Na jedno gospodarstwo można będzie otrzymać do 100 tys. zł wsparcia (połowa kosztów inwestycji). Dzięki tym pieniądzom rolnicy będą mogli budować lub ulepszać instalacje do nawadniania, powiększać obszary nawadniania czy kupować urządzenia do poboru, magazynowania, uzdatniania i rozprowadzania wody. Niestety – jak wynika ze wstępnych informacji – program nie cieszył się dużym zainteresowaniem. Trwa właśnie kolejny nabór wniosków – do 20 lipca.

Do walki z suszą przystępują też samorządy. Zaczynają oferować mieszkańcom wsparcie na zagospodarowywanie deszczówki. Za dopłaty sięgające nawet 80 proc. można budować m.in. studnie deszczowe.

– Program krótkoterminowy będzie koncentrował się na retencji korytowej służącej podniesieniu poziomu wody w rowach melioracyjnych – zapowiedział też minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej Marek Gróbarczyk w radiowej Jedynce. Na te inwestycje rząd jeszcze w tym roku uruchomi 550 mln zł.

Cały rządowy program retencyjny zaplanowano na lata 2021–2027. I dopiero wówczas zobaczymy efekty, którymi mają być podniesienie poziomu retencyjności w kraju z obecnych 6,5 proc. do 15 proc. Jeśli urzędowy program nie okaże się tylko politycznym laniem wody, to możemy z wodą kłopotów mieć trochę mniej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4e9f02f92

Agnieszka Niewińska

Jak pomóc rodzicom bohaterom

Emil z mamą Magdaleną Goworek FOT. MATERIAŁY PRASOWE STOWARZYSZENIA SPES

Mama Emila nie pyta, dlaczego to jej urodziło się chore dziecko. – Chore dzieci rodzą się tym rodzicom, którzy są w stanie to udźwignąć – zaznacza. I dodaje, że bez pomocy z zewnątrz byłoby o wiele trudniej

Emilowi najlepiej jest u mamy na rękach albo w wózku, kiedy szczelnie otuli się go kocem. Potrzebuje czuć się bezpiecznie. Ma pięć lat, ale nie biega, nie mówi, nie cieszy się zabawkami. Nie zajada się plackami usmażonymi przez mamę i nie domaga się słodyczy jak przeciętny pięciolatek. Odkąd skończył cztery miesiące, nie miał niczego w ustach. Chociaż jest karmiony dożylnie, nie przybiera na wadze, nie rośnie. Mimo swoich pięciu lat jest drobniutki jak niemowlę. Waży niespełna cztery kilogramy.

ZAMIAST ZABAWEK FIOLKI Z LEKAMI

Od urodzenia chłopiec cierpi na ciężkie niedożywienie białkowo-energetyczne, ale jego diagnoza wciąż nie jest pełna. – Emil jest diagnozowany w czterech ośrodkach na świecie i nikt nie wie, na co choruje. To, co wiemy, to tyle, że nie ma w organizmie białka, które jest odpowiedzialne za rośnięcie, przybieranie na wadze, procesy poznawcze, za pracę wątroby, serca, nerek – tłumaczy Magdalena Goworek, mama Emila, która czuwa przy synu dzień i noc.

Stan jej dziecka stale trzeba monitorować. W wózku Emila pełno jest przewodów, rurek. – Emil ma założoną sondę donosową, cewnik centralny wprowadzony do prawej komory serduszka, stomię na jelicie cienkim. Jelito grube musimy z kolei stale płukać, żeby nie doprowadzić do zakażenia organizmu – wylicza pani Magdalena. I na tym nie kończy, bo w pokoju jest jeszcze wiele sprzętów, bez których Emil nie może się obejść: koncentrator tlenu, sprzęt do monitoringu oddechu, pulsoksymetr, ssak, inhalator. Sześć razy dziennie trzeba badać chłopcu poziom cukru, bo cierpi na silną postać hipoglikemii. Jeśli cukier za bardzo spadnie, to dziecko wpadnie w śpiączkę.

Półki w pokoju Emila zamiast dziecięcych książeczek, pluszaków, samochodzików wypełniają fiolki z lekami, materiały opatrunkowe, worki. – Rano trzeba powymieniać wszystkie rurki, poopróżniać wszystkie worki, wymienić worek żywieniowy, podać synowi wszystkie leki. To zajmuje nawet półtorej godziny. Po pół godzinie przerwy zaczynamy od nowa. Worek żywieniowy przygotowuję codziennie w warunkach sterylnych. Mam świadomość, że ode mnie zależy życie mojego dziecka. Każdy mój minimalny błąd i dziecka nie ma. Emil jest bardzo chory, a jego choroba nie rokuje poprawy – mówi Magdalena Goworek. Aby móc zabrać syna do domu, razem z mężem przeszła kilkutygodniowe szkolenie w Centrum Zdrowia Dziecka. – Przydaje się moje wykształcenie. Jestem farmaceutką, w zawodzie pracowałam 17 lat – zaznacza.

Rodzice Emila nie mogą podjąć pracy, bo chłopiec ma jeszcze dwoje starszego rodzeństwa z orzeczeniem o niepełnosprawności. Jeszcze dwa lata temu opiekowali się nie tylko Emilem, lecz także młodszym Olafem, który urodził się z tym samym schorzeniem i też odżywiany był pozajelitowo. Olaf, mimo walki, jaką o jego życie stoczyli rodzice, zmarł.

Starsi brat i siostra Emila, choć radzą sobie z problemami zdrowotnymi, chodzą do szkoły, to trzeba im poświęcić sporo uwagi. Zdarzają się hospitalizacje, czasem nagle trzeba dziecko odebrać ze szkoły, a Emila nie można zostawić w domu bez

eprasa.pl c4e9f02f92

opieki przeszkolonego rodzica. Kiedy trafia do szpitala, spędza tam z mamą nawet dwa, trzy miesiące. Wówczas pozostałe dzieci są pod opieką taty.

Świadczenia pielęgnacyjne rodziców nie wystarczają, by dopiąć domowy budżet. – Emilowi wiele rzeczy należy się na podstawie tzw. ustawy za życiem, ale okazuje się, że nie mieści się w ustawowych normach. Należy się mu poduszka ortopedyczna, ale potrzebuje malutkiej, jak dla niemowlęcia, a ta nie jest refundowana. Kiedy po czterech latach zepsuł się nam wózek, w MOPS-ie usłyszeliśmy, że najmniejszy to wózek siedzący od 9 kg. Tłumaczyliśmy, że nasz syn jest za mały, wypadnie między pasami. Wózka gondoli nie ma jednak w ustawie, więc nie można go nam zrefundować. To są absurdy, z którymi mierzymy się na co dzień. Musimy liczyć na wsparcie z zewnątrz – przyznaje pani Magdalena.

NIE MA WAKACJI OD OPIEKI

Rodzinie pomagają wrocławskie hospicjum oraz Stowarzyszenie SPES, które zakwalifikowało ją do Programu Pomocy Dzieciom. Jest on przeznaczony dla rodzin opiekujących się dziećmi w ciężkim stanie klinicznym. SPES od 2017 r. wypłaca rodzinie comiesięczne stypendium. Dofinansowało też remont w pokoju Emila. – Pilnie potrzebna była modernizacja starej instalacji elektrycznej, zainstalowanie większej liczby kontaktów. Dziecko nie może funkcjonować bez sprzętu medycznego, który jest podłączony do prądu. Wcześniej w pokoju wykorzystywano wiele przedłużaczy, instalacja elektryczna nie wytrzymywała obciążenia, często w mieszkaniu wyskakiwały korki. Zamontowaliśmy też nowe drzwi do pokoju, zlikwidowaliśmy próg, by łatwiej można było poruszać się z wózkiem Emila. Wymieniliśmy również grzejnik na większy. Emil ma bardzo małą masę ciała, temperatura w jego pokoju musi być wyższa – opowiada Monika Pinkowska, koordynator Programów Stowarzyszenia SPES.

Program Pomocy Dzieciom powstał w 2012 r. – Zgłosił się do nas tata chłopca w ciężkim stanie klinicznym. Okazało się, że dla dzieci przebywających w domu pod specjalistyczną aparaturą pomoc ze strony państwa jest niewystarczająca, a opieka kosztowna, wyczerpująca dla rodziców. To był impuls do stworzenia programu pomocy rodzinom w podobnej sytuacji – opowiada Pinkowska.

Podkreśla, że tylko część rodzin jest w stanie samodzielnie zebrać fundusze na opiekę nad dzieckiem, prowadząc akcję 1 proc., propagując zbiórkę w Internecie. – Pozyskujemy fundusze na rzecz naszych stypendystów i wiemy, jak jest to trudne. Rodzice zmęczeni opieką nad dzieckiem nie zawsze mają możliwość skutecznego prowadzenia zbiórek. Wymaga to dużo czasu, znajomości narzędzi internetowych. Kluczowa jest sieć znajomych, którzy rozpropagują zbiórkę. Rodzinie z mniejszej miejscowości, ze wsi, doświadczającej niedostatku i osamotnienia trudno jest w ten sposób pozyskać pieniądze i to do nich chcemy dotrzeć z pomocą. Stypendium, które przyznajemy, ma zwiększyć domowy budżet i pomóc w tym, by mogli skupić się na opiece nad dzieckiem. Te pieniądze zabezpieczają zupełnie podstawowe potrzeby. Te rodziny nie jeżdżą na wakacje. Jeśli gdzieś wyjeżdżają, to na krótko i do pobliskich miejscowości. Rodzice nie mają urlopu od opieki.

– Czy wyjeżdżamy na wakacje? To w ogóle nie wchodzi w grę. Leki Emila do sporządzania worków to dwadzieścia kilka butelek, na jeden raz. Jakbym chciała wyjechać na dwa tygodnie z rodziną, trzeba by było zabrać cały sprzęt Emila, leki, zaopatrzenie… Musiałby po nas TIR przyjechać – tłumaczy Magdalena Goworek. Z synem zazwyczaj wychodzi przed dom. – Mamy alejkę, parę metrów od domu. Dalsze wędrówki są niemożliwe. Kiedy wychodzimy, w wózku mamy wszystko, co niezbędne. W momencie, kiedy coś się dzieje, mam parę sekund, by podać Emilowi leki, a potem wbiec do domu i podłączyć go pod tlen. Tak jak kobiety zazwyczaj mają w torebce pomadkę, tusz do rzęs, cień do powiek, tak jak noszę w niej leki ratujące życie Emilowi – opowiada pani Magdalena.

Mimo wielu trudności jej głos się nie łamie. – Gdybyśmy rozmawiały pięć lat temu, to pewnie bym płakała, żaliła się. Dzisiaj czuję się silniejsza. Emil nauczył mnie, że jego uśmiech jest wart wiele więcej niż 20 tys. zł na koncie, a jego otwarte oczy to największy prezent od losu. Jestem wierząca i wierzę, że Bóg po coś Emila na ten świat powołał, on nie pojawił się po nic. Nas trudne doświadczenia wzmocniły. We wszystkim mogę liczyć na męża, dzielimy się obowiązkami, starsze dzieci też nas wspierają. Jesteśmy szczęśliwą rodziną – opowiada mama Emila.

TOWARZYSZYĆ PRZEZ LATA

W tej chwili 22 osoby objęte są Programem Pomocy Dzieciom Stowarzyszenia SPES. – Nie mamy setek rodzin w programie, bo pomoc, którą oferujemy, nie jest jednorazowym wsparciem. To wieloletnie towarzyszenie, które ma doprowadzić do trwałej zmiany sytuacji życiowej. Czasem potrzebna jest pomoc prawna, innym razem dostosowanie mieszkania do potrzeb niepełnosprawnego dziecka albo wsparcie w pozyskaniu mieszkania od gminy. Jeśli to możliwe, to pomagamy rodzicowi w podniesieniu jego kompetencji zawodowych, tak by mógł zdobyć lepiej płatną pracę. Jeśli to się uda, to satysfakcja jest ogromna – mówi Monika Pinkowska. I przytacza przykład ukraińskiej rodziny mieszkającej z ciężko chorym dzieckiem w Krakowie. – Tata na Ukrainie wykonywał zawód architekta, ale by móc to robić także w Polsce, musiał się dokształcić. Udzieliliśmy mu wsparcia na rzecz edukacji. W efekcie dostał lepiej płatną pracę.

Stowarzyszenie SPES jest w trakcie naboru kolejnych rodzin do Programu. To, ile rodzin przyjmie, zależy w dużej mierze od darczyńców, którzy zdecydują się wesprzeć program i w ten sposób zaoferować pomoc bohaterskim rodzicom, którzy dzień i noc czuwają przy dzieciach.

– Nigdy nie zadałam sobie pytania, dlaczego mnie to spotkało – mówi Magdalena Goworek. – Kiedyś usłyszałam zdanie, które powtarzam innym: „Chore dzieci rodzą się tym rodzicom, którzy są w stanie to udźwignąć”. Myślę, że dlatego Emil urodził się u nas. Wie, że jest dla domowników najważniejszy, ma swoje miejsce w rodzinie, nikt się go nie wstydzi. Jest z nami już pięć lat, a miało go nie być.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

STOWARZYSZENIE NA RZECZ NIEPEŁNOSPRAWNYCH SPES

Stowarzyszenie SPES można wesprzeć, przekazując 1 proc. podatku
(nr KRS 00000 14574)
lub wpłacając darowiznę na rachunek bankowy
80 1240 2959 1111 0010 2904 3289

eprasa.pl c4e9f02f92

Ilustracja z pamiętników Jana Chryzostoma Paska

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Msza (wciąż) po sarmacku się odprawia

Tomasz Rowiński

Książka „Missa est. Msza święta Panów Pasków" jest tego rodzaju narracją, która choć traktuje o przeszłości, jednocześnie nieustannie skłania czytelnika do refleksji nad własnym stosunkiem do kultury polskiej, stosunkiem do świętości – do Boga, do świętych rytuałów

Jacka Kowalskiego właściwie nie trzeba przedstawiać, a jeśli komuś trzeba, to niedobrze. To autor, którego każda nowa książka powinna być wydarzeniem. Tym, którzy go nie znają, w kilku słowach przybliżę jego postać: to historyk sztuki i badacz literatury, poeta, pieśniarz, tłumacz literatury starofrancuskiej, profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jacek Kowalski wydał wiele płyt, kilkadziesiąt książek naukowych, a także popularyzatorskich, których przynajmniej część można by określić mianem gawęd. W najlepszym sensie tego słowa. Nie są to gawędy byle jakie, ale takie, które może pisać tylko ktoś o profesorskiej wiedzy i lekkim piórze. W przypadku tej, o której tu mowa, ktoś o szczerej wierze. Jest w tych gawędach zresztą, dawniejszych i nowszych, w samej już tej formie coś z ducha sarmackiego, który jest tematem bliskim Jackowi Kowalskiemu i często – z pożytkiem dla czytelników – przez niego eksploatowanym.

Nie można w tym kontekście nie wspomnieć serii przygotowanych przez autora „niezbędników" – Sarmaty, krzyżowca, konfederaty i trubadura – które dobrze oddają zainteresowania badawcze Kowalskiego. Czytelnik zainteresowany książkami naukowymi, a także twórczością poetycką i muzyczną tego autora, dotrze do niej bez trudu. Nie będę się jednak skupiał na tych dziełach ani wymieniał litanii opublikowanych tytułów. Zamierzam zająć się nową książką Jacka Kowalskiego, która zdecydowanie jest „gawędą", jak mówią nam nawet tytuły dwóch jej rozdziałów. O czym jest ta gawęda? Powiedziałbym, że o mszy „sarmackiej". Jednak co to znaczy? To znaczy, że jest ona o architekturze, sztuce zdobniczej i malarstwie, wreszcie o literaturze, obyczaju i o tym, co święte. „Missa est. Msza święta Panów Pasków" jest tego rodzaju narracją, która choć traktuje o przeszłości, jednocześnie nieustannie skłania czytelnika do refleksji nad własnym stosunkiem do kultury polskiej, tych jej form, które nas poprzedziły, stosunkiem do świętości – do Boga, do świętych rytuałów. Jednym zdaniem do tego, co trwa.

KULTURA WYROSŁA Z WIARY

Książka ma charakterystyczny układ, o czym warto będzie opowiedzieć. We wstępie autor przedstawia nam ramy historyczne, punkt wyjścia, którym były ustalenia soboru trydenckiego dotyczące przede wszystkim samej liturgii katolickiej, ale także pewnych aspektów architektury kościołów. Jacek Kowalski zaraz na początku rozjaśnia nam swój zamysł: „Msza święta Panów Pasków to Msza, której za czasów Pierwszej Rzeczypospolitej słuchali Sarmaci w swoich świątyniach stojących do dziś pośród naszych miast i wsi. Msza święta nie inna niż w całym ówczesnym Kościele Powszechnym, czyli katolickim, czyli rzymskim – mówiona albo śpiewana po łacinie. I świątynie zasadniczo nie inne niż pozostałe katolickie świątynie całego świata. Msza wciąż żywa, święta i ważna, także w Polsce, która w swym klasycznym rycie trydenckim pozostaje aktualna, prowadząc wielu do Boga drogą, na której poprzedzili nas nasi przodkowie. Oczywiście każdy współczesny historyk Kościoła, teolog czy liturgista podkreśli, że nie było jakiejś odrębnej polskiej Mszy świętej. A jednak".

eprasa.pl c4e9f02f92

To „jednak" jest decydujące. W pierwszym rozdziale pt. „Świątynia. Gawęda generalna" obserwujemy za słowem autora, jak wiara chrześcijańska nadaje formę polskiej kulturze, jej myśleniu i działaniu, a jednocześnie jak ta kultura niczym ogród rozkwita wrośnięta w rytuał wiary, w widzialne aspekty rzeczywistości łaski i „Krzewu Winnego", którym jest Chrystus. Chciałoby się powiedzieć, że architektura mówi nam wszystko o Sarmatach, tak bogata jest to narracja. Na pewno nie wszystko, ale bardzo wiele. Powiedziałbym nawet, że w książce Jacka Kowalskiego jest właśnie to coś, czego nie ma w książkach ani rozważaniach o dawnej – ale i współczesnej – Polsce pisanych przez Jarosława Marka Rymkiewicza. W książkach poety z Milanówka kościoły są właściwie tylko elementem topografii, stroje duchownych jedynie historycznym strojem, a cnoty i wartości szlacheckie widzimy bardzo często – używając sformułowania Chestertona – jako „oszalałe". Spójrzmy choćby na perypetie Samuela Zborowskiego i jego anarchiczną wolność prowadzącą go na szafot. To, co u Rymkiewicza jest wyniesione na piedestał, u Kowalskiego znajduje przynajmniej refleksyjne odniesienie. Czy właśnie bez katolickiego serca – rozumnej służby bożej i szkoły charakterów, której u Rymkiewicza nie oglądamy – „polska cywilizacja" nie staje się kulturą rozbieganych w różne strony rokoszan niedbających ani o duszę, ani o sprawiedliwość i jedność republiki? Jest zatem książka Kowalskiego nie zacną, ale sentymentalną konfekcją literacką, opowieścią jednak na dzisiejsze czasy.

Wszystko to widzimy nie wprost, ponieważ gawęda rozwija się niczym homerycka tarcza Achillesa, na której możemy obejrzeć cały kosmos Greków i sceny rodzajowe. Tak jest i w książce Kowalskiego – patrzymy na stare zdjęcia kościołów (część fotografii wykonał Piotr Łysakowski, ale większość pochodzi z wydanej w 1909 r. książki Paula Graefa „Die wichtigsten Baudenkmaler der Provinz Posen") i wyobraźnia podsuwa nam obrazy ludzkich cieni, które przez setki lat przychodziły do swoich kościołów jak do źródła. W pierwszym rozdziale jesteśmy jakby w przedsionku i zauroczeni pięknem, rozglądamy się, gdzie jest jego źródło.

W GŁĄB LITURGICZNEJ MATERII

Po każdej z „gawęd generalnych" – druga z nich jest poświęcona bezpośrednio mszy – następują rozdziały określone mianem „mikrostudium". Pierwsze z nich – poświęcone sarmackiej epopei poetyckiej niepewnego autorstwa pt. „Oblężenia Jasnej Góry Częstochowskiej: pieśni dwanaście" – razem z gawędą architektoniczną stanowią literacki przedsionek do samego serca książki. Mikrostudium dotyczące XI księgi „Oblężeń..." to jednocześnie opis staropolskich i jakże chrześcijańskich zaświatów, ale i bardzo interesująca poezja architektoniczna, w której „budynek kościelny był przede wszystkim obrazem Kościoła-instytucji jako mistycznego ciała Chrystusa" – jak pisał św. kard. Robert Bellarmin i co przytacza Kowalski. Nie jest to jednak obraz Kościoła tych, którzy już dostąpili wiecznej szczęśliwości, ani taki, jaki znajdujemy w Apokalipsie św. Jana oraz opisanym w niej Niebiańskim Jeruzalem. To Kościół powszechny, doczesny, jak dziś byśmy powiedzieli – pielgrzymujący, Kościół grzeszników, który uchwycił się nadziei przyniesionej przez Chrystusa. „Mikrostudium" przybliża nas jeszcze bardziej do tego, co znajdziemy w drugiej „gawędzie generalnej" czy „gawędzie liturgicznej" o mszy świętej.

Zresztą fragmenty poematu „Oblężenia..." wplatają się i w tę gawędę, niczym złota nić w barokowy ornat. Gawęda ta niepostrzeżenie okazuje się – w najlepszym tego słowa znaczeniu – katechezą liturgii trydenckiej, wprowadzeniem do chrześcijańskiego Świętego Świętych. Wszystko to poprzez piękno kultury, architektury i przedmiotu. Kowalski podprowadza czytelnika, który może byłby niechętny dawnemu obyczajowi liturgicznemu poprzez przedsionki: duży, w postaci „generalnej gawędy" o architekturze, która jest (jak już sobie powiedzieliśmy) o czymś więcej, a także mały, poświęcony fragmentowi literackiemu. Czytelnik, po tym wszystkim nieco oszołomiony, zachwycony, ale i więcej już rozumiejący, staje wobec domus Dei et porta coeli („domu Bożego i bramy niebios", jak często pisano u drzwi kościołów) rzeczywistości, która była – i być powinna – sercem „polskiej cywilizacji".

Jacek Kowalski tak tłumaczy się na wstępie „gawędy liturgicznej" czytelnikowi, który mógłby jeszcze czuć nieśmiałość lub wzdragać się od pójścia dalej: „Nie będzie to spojrzenie badacza liturgii ani liturgisty, lecz – co podkreślam – gawęda, która nie skupia się na jednym konkretnym momencie w trzechsetletnich dziejach sarmackiej mszy, tylko wchodzi w głąb liturgicznej materii z ciekawością, szukając zarówno Bożego piękna, jak i anegdoty, zarówno poezji, jak i Prawdy. Nie skupia się na jednym Mszale, nie szuka jednolitości rytu".

JACEK KOWALSKI „MISSA EST. MSZA ŚWIĘTA PANÓW PASKÓW" DĘBOGÓRA 2019

Czytelnik zmiękczony wcześniejszym doświadczeniem piękna – a książka Jacka Kowalskiego jest sama w sobie piękna – już się nie opiera zapoznać z samą mszą. Autor zresztą dotrzymuje słowa, nie uprawia teologii, ale dzięki niemu możemy spotkać księdza, który przygotowuje się do mszy w dawnym obyczaju katolickim, i ministrantów, zobaczyć ornaty wielkopiątkowe i z mszy żałobnych, zdobione czaszką ze skrzyżowanymi piszczelami. Oprócz tego naczynia: kielichy, pateny, meble stojące w zakrystiach, wszystko zdobne dla większej Bożej chwały. W tym wszystkim niemal niezauważalnie – taka jest „czarodziejska" moc gawędy – wchodzimy w kolejne części mszy, która nas może trochę dziwić, jeśli nie mieliśmy wcześniej kontaktu z nadzwyczajną formą rytu rzymskiego.

SZABLE NA MSZY?

Książka kończy się drugim „mikrostudium", które jest znów zdecydowanym sarmackim podkręceniem wąsa, ale tak właśnie w tej książce powinno być. Jego tytuł brzmi: „Czy Sarmaci naprawdę wydobywali szabel podczas Mszy świętej?". Te ostatnie kilkanaście stron książki umacnia czytelnika w przekonaniu, że losy „polskiej cywilizacji" były i pobożne, i ciekawe. Jaka jest odpowiedź na postawioną przez Jacka Kowalskiego kwestię, tego nie zdradzę, każdy może sam to sprawdzić, jeśli po książkę sięgnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jacek Kowalski – historyk sztuki, badacz literatury, poeta, pieśniarz, tłumacz. Napisał m.in.: „Średniowiecze. Obalanie mitów", „Sarmacja. Obalanie mitów", „Straszny Dwór, czyli sarmackie korzenie Niepodległej", „Wielka encyklopedia staropolska".

eprasa.pl c4e9f02f92

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zamtuz Hollywood

Piotr Gociek

Nowy serial twórcy „Glee" to gejowska fantazja o tym, jak mniejszości seksualne i etniczne uczyniłyby świat lepszym – gdyby tylko miały okazję

Wszystko w tym serialu kręci się wokół nagich młodych męskich ciał. Nic tak nie porusza bowiem serc bohaterów. Wzrusza się wyniosły dyrektor studia filmowego, wzrusza się cyniczny król aktorskich agencji, mięknie serce aspirującego scenarzysty, topnieje na wosk małżonka filmowego magnata. „Hollywood", miniserial Ryana Murphy'ego wyprodukowany przez Netflixa, to gejowska fantazja, w której twórca „Glee" przepisuje po swojemu historię fabryki snów. Tak trafiamy do dziwnej krainy, której granice wyznaczają: historia alternatywna, soft porno i polityczna propaganda. Witajcie w burdelu Hollywood! Wiedzieliśmy, że wszystko tu opiera się na tym, kto z kim i kiedy spał, ale nie mieliśmy pojęcia, że to w gruncie rzeczy pożądane i pożyteczne zjawisko.

Burdel nie jest metaforą. Działa pod przykrywką stacji benzynowej zatrudniającej dziwnym trafem samych przystojnych, muskularnych i gotowych na wszystko pracowników. Panie, panowie – bez różnicy, stajnia ma ogiera na każdą okazję. Najbardziej w cenie są tacy, którym wszystko jedno, po której stronie drogi się poruszają: nieważne, czy klientem jest kobieta czy mężczyzna, wszystko jest w porządku, jeśli tylko 100 dol. za numerek trafia do kieszeni kierującego całym biznesem Ernesta Westa (Dylan McDermott). Pierwowzorem tej postaci był niejaki Scotty Bowers, który przez długie lata zaopatrywał elitę Hollywood w młode ciała, a karierę zaczynał właśnie na stacji benzynowej. Swoje dzieje opowiedział u kresu życia w książce „Full Service".

„Hollywood" jest bowiem fikcją alternatywną, ale bardzo mocno zakorzenioną w rzeczywistości. Na ekranie pojawiają się tak znane postacie jak Vivien Leigh, George Cukor, Noël Coward czy Ernest Borgnine. Dowiadujemy się z dialogów, że Tennessee Williams właśnie napisał „Tramwaj zwany pożądaniem", David Lean nakręcił „Wielkie nadzieje", a Richard Widmark wystąpił w „Pocałunku śmierci" Henry'ego Hathawaya. Gdy wyjrzymy poza światek filmowy, też znajdujemy znajome nazwiska. W drugim odcinku serialu trafiamy na aukcję dobytku pozostawionego przez znanego gangstera Bugsy'ego Siegela (zastrzelonego w czerwcu 1947 r.), kiedy indziej zaś widzimy niesławnego Mickeya Cohena, który wyświadcza przysługę jednemu z bohaterów.

KULISY FABRYKI SNÓW

Gdzie zatem Ryan Murphy przestawia zwrotnicę historii? I w jakim celu? Żeby to zrozumieć, musimy najpierw poznać gromadkę najważniejszych dla fabuły postaci. Ernie West, właściciel stacji benzynowej będącej jednocześnie lupanarem, zamtuzem, zatrudnia dwie z nich. Pierwsza to przystojny Jack Castello (David Corenswet), były żołnierz, który kilka lat wcześniej walczył m.in. pod Anzio, a teraz śni o karierze w filmach, czekając pod bramą studia Ace na najdrobniejszą okazję statystowania. Druga to Archie Coleman (Jeremy Pope), czarnoskóry homoseksualista, który jest scenarzystą o wielkich ambicjach. Los (i miłość) łączy go z innym aspirującym aktorem, którym jest nie kto inny, ale młody Rock Hudson (Jake Picking). Szybko poznajemy także Raymonda Ainsleya (Darren Criss), reżysera mieszanego pochodzenia (jest pół-Filipińczykiem), który właśnie rozpoczyna karierę w studiu Ace. Jego narzeczoną jest z kolei czarnoskóra aktorka Camille Washington (Laura Harrier), wielce utalentowana, lecz ze względu na

eprasa.pl c4e9f02f92

pochodzenie skazana w Hollywood lat 40. na role przygłupich służących w domach bogatych białych dam.

Wszystkich ich łączy wspólne marzenie o Hollywood, choć na jego spełnienie mają nikłe szanse – Ameryka połowy XX w. to nie jest dobre miejsce dla homoseksualistów, Azjatów czy czarnych. Są w serialu Ryana Murphy'ego i inni uciśnieni – Claire Wood (Samara Weaving), córka właściciela studia Ace, też chce być aktorką, lecz nie pozwalają jej na to rodzice, z kolei Avis Amberg (Patti LuPone), jej matka, jest poniewierana i zdradzana przez męża, którego zdaniem powinna być jedynie kurą domową, choć w kryzysowej sytuacji pokaże, że ma głowę do interesów. W roli Ace Amberga, despotycznego i tępogłowego właściciela studia Ace, pojawia się Rob Reiner, w prawdziwym Hollywood najpierw aktor, a potem wzięty reżyser filmowy.

Przedsięwzięciem, wokół którego skrzyżują się losy wszystkich bohaterów, jest projekt nowego filmu. Jakże mogłoby być inaczej, skoro to serial zatytułowany „Hollywood"? Scenariusz opowiada o Peg Entwistle (kolejna autentyczna postać), cenionej aktorce teatralnej, która w 1932 r. popełniła samobójstwo, skacząc ze szczytu słynnego napisu „HOLLYWOOD" (wtedy jeszcze „HOLLYWOODLAND"). Materiał na klasyczny melodramat, kasowy hit, który wyciśnie łzy z oczu milionów widzów. Czy to jednak możliwe, by taki film powstał według scenariusza Murzyna homoseksualisty, z czarnoskórą aktorką w roli głównej oraz w reżyserii pół-Azjaty? Wykluczone!

Sprytnie wikłając wątki, odpowiednio usuwając przeszkody i otwierając przed bohaterami nieoczekiwane możliwości, Ryan Murphy (i wspomagający go Ian Brennan) konstruuje fantazję: alternatywną rzeczywistość, w której takie nieprawdopodobne przedsięwzięcie może się udać. Na arenę wkraczają kolejne ciekawe postacie: Richard Samuels (Joe Mantello), utalentowany dyrektor studia Ace, jego najbliższa współpracowniczka, która selekcjonuje scenariusze i szkoli aktorów Ellen Kincaid (Holland Taylor), i wreszcie odrażający, bezwzględny agent Henry Willson (rewelacyjna rola Jima Parsonsa), który gromadzi pod swymi skrzydłami młodych aktorów, by nie tylko kierować ich karierą, lecz także żądać od nich seksualnych usług. Ten ostatni to też bohater autentyczny, choć na potrzeby serialu „przeredagowany" – prawdziwy Henry Willson był ojcem kariery Rocka Hudsona i wielu innych gwiazd, w tym Lany Turner.

Twórcy serialu Hollywood nakręcili propagandową bajkę edukacyjną, w której po rytualnym potępieniu Ameryki jako siedliska rasizmu, homofobii i wszelkiej nietolerancji pojawia się przesłanie, że wszystkie te plagi mogłyby być już dawno zwalczone, gdyby tylko uciskani i poniżeni mocniej walczyli o swoje, a w tych, którzy ich odrzucają lub wykorzystują, obudziło się sumienie. Dlaczego bajka rozgrywa się w Hollywood? Odpowiedzi w serialu udziela Eleanor Roosevelt, wdowa po prezydencie Franklinie D. Roosevelcie, która wygłasza zdanie: „To nie dobre rządy są w stanie zmienić świat na lepsze, lecz ludzie tacy jak wy" – i kieruje je do kierownictwa studia filmowego Ace.

I tak oto leninowska maksyma „Kino najważniejszą ze sztuk" staje się przesłaniem serialu. Kino w służbie postępu. Paradoksalnie jedna z głównych bohaterek mówi w pewnym momencie, że marzy o chwili, kiedy widzowie zobaczą w niej po prostu kobietę, a nie przedstawicielkę etnicznej mniejszości. Tymczasem Ryan Murphy robi wszystko, byśmy oglądając „Hollywood", pamiętali przede wszystkim właśnie o tym, że jego bohaterowie są uciskanymi mniejszościami.

Kolejna wątpliwość: trawestując słowa byłego ministra Bartłomieja Sienkiewicza, „Hollywood" nieustannie przypomina, że to, co wprawia w ruch show-biznes, to „ch..., d... i dolarów kupa". Chcesz dostać szansę na zdjęcia próbne? Zostań chłopcem do wynajęcia i zadowalaj panie tak długo, aż trafisz na asystentkę szefowej castingu. Brakuje ci kasy na życie, bo ważą się losy scenariusza? Zapraszamy do przyczepy, gdzie obsłużysz napalonych panów. Chcesz mieć agenta? Rozpinaj spodnie i do roboty. Szukasz kontaktu z reżyserem albo producentem? Zapraszamy na homoseksualną orgietkę, poznasz ciekawych ludzi. Murphy jest tak zafiksowany na punkcie propagowania tolerancji i postępu, że opisane powyżej zjawiska uważa chyba za oczywistą, nieodzowną część ekosystemu Hollywood. Tak przynajmniej wynika z serialu, w którym moralne rozterki związane z seksem za pieniądze lub przysługi są niczym w porównaniu z radością, którą daje szeleszczący banknocik lub czuły uścisk wpływowego, żądnego karesów klienta. Pospolite ruszenie burdeltaty oraz szerokiego grona jego byłych i obecnych pracowników może się nawet okazać kluczowe w rozwiązywaniu problemów z filmowym budżetem. Czymże jest zrobienie paru numerków w porównaniu ze szczytnym celem?

FIKCJA WEWNĄTRZ FIKCJI

Smutne to wszystko i miejscami idiotyczne, w dodatku nieznośnie sztuczne. W nielicznych chwilach serial nabiera rozpędu i energii – zwykle wtedy, kiedy idzie w humor i próbuje odrobiny dystansu. Te chwile szybko mijają, pozostaje tępa ideologiczna pogadanka.

Tak oto dobre chęci doprowadziły do powstania miniserii, która popada w autoparodię. Oprócz nachalnej propagandy promniejszościowej zostaje nam jeszcze przekonanie, że niemal wszyscy w Hollywood są homoseksualistami jawnymi lub ukrytymi, a stręczycielstwo i prostytucja to naturalne etapy kariery, które wybacza się i zapomina szybko, bo cel uświęca środki. Nie jestem pewien, czy o taki efekt Ryanowi Murphy'emu chodziło.

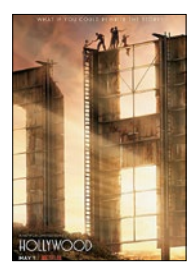

★★★★★★
RYAN MURPHY, IAN BRENNAN „HOLLYWOOD" USA 2020, NETFLIX

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4e9f02f92

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Dave: celnie i mocno

★★★★★★
„DAVE CHAPPELLE: THE KENNEDY CENTER MARK TWAIN PRIZE"
USA 2020, NETFLIX

Amerykański stand-uper to nie komik, to mądry błazen w najlepszym tego słowa znaczeniu. Stańczyk, a nie spec od głupich min. Owszem, niejeden głupie miny stroi i klnie przy tym jak szewc, ale nie to jest najważniejsze w jego występie. To część opakowania, dzięki któremu łatwiej sprzedać to, co jest w środku. Nie rozumieją tego polscy stand-uperzy, którzy uważają, że ich głównym zadaniem jest wyjść na scenę i opowiadać dowcipy balansujące na granicy dobrego smaku. Dlatego ich występy napawają smutkiem i irytacją, tak jak oglądanie występów polskich piłkarzy z Ekstraklasy zaraz po transmisji hitowego meczu w Premier League.

Dzięki Netflixowi zapoznać się możemy z czołówką amerykańskiego stand-upu, wśród której wyróżnia się szczególnie Dave Chappelle, człowiek niezwykle bystry, niegłupi, kreatywny i wyczulony na absurdy współczesności. Najnowsza produkcja z jego udziałem to hołd złożony twórcy przy okazji wręczania mu Mark Twain Prize for American Humor, nagrody, którą wyróżniono wcześniej m.in. Billa Murraya, Eddiego Murphy'ego czy Richarda Pryora. Półtoragodzinny montaż zawiera sceny z gali w Kennedy Center, podczas której ku czci Chapelle'a występowali m.in. Bradley Cooper, Morgan Freeman, Mos Def, Erykah Badu, Chris Tucker, Tiffany Haddish i John Legend. Mamy i nagrania z udziałem samego laureata, od fragmentów jego najsłynniejszych występów do klubowych popisów sprzed gali.

Chappelle jest jednym z niewielu naprawdę niezależnych artystów współczesnej Ameryki. Mówi, co myśli, uderza celnie, a jego żarty sprawiły, że postępowcy nienawidzą go szczerze i mocno. Chappelle szydzi z politycznej poprawności, występuje z nieodłącznym papierosem na scenie, kpi z przesadzonych żądań mniejszości seksualnych, które wprost nazywa „ludźmi, którzy ukradli nam część alfabetu" (LGBTQ). Jednocześnie ostro występuje przeciw rasizmowi i nietolerancji, nierównościom społecznym i jest przeciwnikiem Trumpa, więc na ikonę konserwatywnej Ameryki też się nie nadaje. Sam podczas swoich długich nocnych monologów (uwielbia małe salki) mówi wprost: wolność słowa jest wolnością najważniejszą, a celem jego prowokacji jest zapewnienie tego, by mogły korzystać z niej kolejne pokolenia. Oglądajcie Chappelle'a: „Stick & Stones", „The Age of Spin", „Equanimity" – wszystkie dostępne są w serwisie Netflix. ©℗

NOWE SERIALE: „UTRACONE DZIECI ATLANTY"

Częściowo znacie już tę historię. W drugim sezonie świetnego kryminalnego serialu Netflixa „Mindhunter" bohaterowie pomagali miejscowej policji w sprawie porwań i morderstw czarnoskórych dzieci w Atlancie (lata 1979–1981). Bulwersująca sprawa doczekała się teraz osobnej dokumentalnej miniserii, która trafiła do HBO. Jest sporo wątpliwości na temat samego śledztwa, są elementy, które nie pasują do działań skazanego za morderstwa Wayne'a Williamsa, mnożą się teorie spiskowe. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Utracone dzieci Atlanty" („Atlanta's Missing and Murdered: The Lost Children"), USA 2020, HBO***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Sam Mendes **„1917"**, Wielka Brytania 2019, Player+*
- *sezon 1. **„Dave"**, USA 2020, HBO*
- *miniseria **„The Eddy"**, USA 2020, Netflix*

eprasa.pl c4e9f02f92

HBO GO

Iwan na polu minowym

Amerykanie mają kompleks wietnamski, Rosjanie afgański. Trzydzieści lat od zakończenia niesławnej interwencji na ekrany wszedł film Łungina, oprotestowany przez weteranów domagających się zakazu rozpowszechniania. Osiągnęli tylko tyle, że premierę „Braterstwa", planowaną na 9 maja, czyli Dzień Zwycięstwa, przesunięto, by nie drażnić turbopatriotów. Fabuła jest klarowna: w przededniu ewakuacji asy ze 108. Dywizji dostają rozkaz uwolnienia syna generała, który wpadł w ręce mudżahedinów. Tadżycy, uzbrojeni w amerykańskie stingery i dowodzeni przez fana „Młodej Gwardii" Fadiejewa, nie są jednak łatwym przeciwnikiem.

Łungin odpuścił sobie patos, który pogrążył „9. Kompanię" Bondarczuka juniora. Sołdaci z „Braterstwa" stracili już wiarę, że pomagają budować w Afganistanie socjalizm. Wojna zdemoralizowała ich na różne sposoby. Tymczasem misja się komplikuje, a z ojczyzny docierają coraz dziwniejsze wieści. Okazuje się, że nawet zdrada może być pojęciem względnym.

Obecną Rosją rządzą służby specjalne, więc najroztropniejsza postać filmu to pułkownik KGB. „Braterstwo" niesie jednak przekaz zbyt ambiwalentny, by mogło przypaść do gustu sierotom po czerwonym imperium. Prawda może i jest ciekawa, lecz nie dla kreatorów polityki historycznej. W Moskwie i gdzie indziej. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★★★

REŻ. PAWEŁ ŁUNGIN
„BRATERSTWO" („BRATSTWO")
ROSJA 2019

wyst. Michaił Kremer, Aleksandr Kuzniecow, Kirył Pirogow

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

INNA AMERYKA

player CINEMAN VECTRA

Jeremy z Indiany bierze gitarę i wyjeżdża na studia do Kalifornii. Zanim zostanie gwiazdą chrześcijańskiego rocka, pozna dziewczynę, w której zakocha się od pierwszego wejrzenia. Miłość równa się małżeństwo, ale Melissa jest poważnie chora. Gdy chłopak wzywa ze sceny do modlitwy za wybrankę, nikt się nie wyłamuje. Amerykańskie produkcje, w którym 20-latki zamiast wikłać się w kryminalno-szpiegowskie afery, eksperymentować z seksem i narkotykami oraz ignorować rodziców, starają się żyć w zgodzie z Dekalogiem, rzadko docierają na nasze ekrany. Już choćby dlatego warto zwrócić na ten film uwagę. Oczywiście, można się przyczepić, że fabuła zbyt ckliwa, bohater za przystojny, a bliźni podejrzanie uczynni. Historia jest jednak prawdziwa, a tytułowa piosenka to autentyczny przebój. Jeśli tak samo jak Melissa i Jeremy wierzycie, że „pradawne opowieści" wciąż są aktualne i cierpienie nie może zabić wiary, to oglądajcie śmiało.

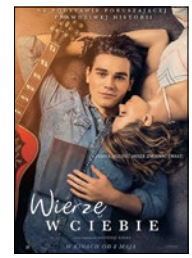

wyst. K.J. Apa, Britt Robertson, Gary Sinise

★★★★★★

REŻ. ANDREW ERWIN, JON ERWIN
„WIERZĘ W CIEBIE" („I STILL BELIEVE")
USA 2019, MONOLITH FILMS

ORFEUSZ BYŁ KOBIETĄ

player CINEMAN vod.pl

Ballada o miłości niemożliwej. W kategoriach estetycznych film Céline Sciammy ociera się o doskonałość. Gorzej ze scenariuszem, nagrodzonym na festiwalu w Cannes, który jest – przebranym w XVIII-wieczny kostium – feministycznym manifestem, apoteozą solidarności jajników, aborcji i romansów. Marianna ze względu na szalejący patriarchat sygnuje obrazy nazwiskiem ojca. Heloiza, niedoszła zakonnica, musi wyjść za mąż w zastępstwie zmarłej siostry. Jej pokojówka Zosia też ma problem. Panie, połączone wspólnym sekretem, szukają pociechy w literaturze, sztuce, muzyce i pięknie bretońskiego wybrzeża. Biorą również udział w pogańskich obrzędach i kupują zioło, „po którym się lata". Panowie są tu zredukowani do roli sprawców niechcianych ciąż. Takie wiatry wieją dziś w zachodniej kulturze. Świat bez mężczyzn byłby piękniejszy, ale czy lepszy?©℗ ***recenzuje Wiesław Chełminiak***

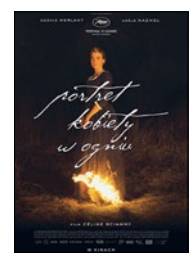

wyst. Noémie Merlant, Adèle Haenel, Luàna Bajrami

★★★★★★

REŻ. CÉLINE SCIAMMA
„PORTRET KOBIETY W OGNIU" („PORTRAIT DE LA JEUNE FILLE EN FEU")
FRANCJA 2019, GUTEK FILM

GRA TYGODNIA: „STREETS OF RAGE 4"

★★★★★★

Jeśli ktoś wychowywał się w latach 90., to z pewnością pamięta salony gier i tytuły, które święciły wtedy swoje triumfy. Jednym z nich była seria „chodzonych" bijatyk „Streets of Rage". Charakterystyczna komiksowa grafika, ulice pełne gangsterów i opryszków, których uczyło się pokory kilkoma celnymi ciosami, ewentualnie posiłkując się gazrurką czy granatem... Teraz, po 24 latach od ostatniej części, „Ulice gniewu" wracają. Jeszcze ładniejsze, ale czerpiące garściami z pierwowzoru (programiści „schowali" w grze nawet kilka retroleveli). Prosta, relaksująca rozrywka i podróż sentymentalna do czasów dzieciństwa. ©℗

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *Akcja/2D*
- ***Platforma:*** *PS4/XONE/PC/Switch*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Lizardcube/DotEmu*
- ***PEGI:*** *12+*

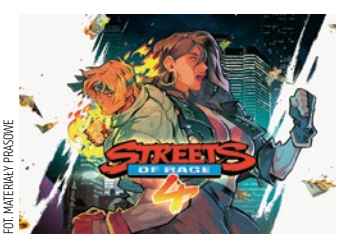

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c4e9f02f92

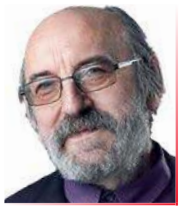

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wilno, moja miłość

Na punkcie Wilna mam zajoba, to więcej niż pewne. Urodziłem się w Warszawie; z dzisiejszą stolicą Litwy mam tylko tyle wspólnego, że mieszkał tam i studiował mój ojciec, który wprawdzie wpoił mi przekonanie, iż to najpiękniejsze miasto na świecie, ale sam po wojnie nad Wilię nie jeździł, by – jak mawiał – nie ranić sobie serca. Co do mnie, kiedy wreszcie tam trafiłem, stwierdziłem, że choć moja wiedza o Wilnie była znikoma, po Antokolu i Zarzeczu poruszam się z taką pewnością, jakbym wyjechał stamtąd wczoraj. Po prostu – jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało – wróciłem do siebie.

Tym chętniej sięgnąłem do książki Sławomira Kopra i Tomasza Stańczyka o polskim, czyli przedwojennym, Wilnie, zachęcony do lektury także wcześniejszym dziełem tegoż tandemu, o ostatnich latach polskiego Lwowa. Jak doczytałem się, autorzy pracują już nad trzecią częścią swojej trylogii – „Ostatnimi latami polskich Kresów": Stanisławowa, Łucka, Zaleszczyków, Pińska, Grodna, Tarnopola… Będzie trójpak.

Bardzo pięknie wydaną przez Frondę książkę (przydałaby się jednak staranniejsza korekta, bo literówki zmieniające „śmierci" w „śmieci" drażnią) przeczytałem jednym tchem i z ogromnym zainteresowaniem, mimo że większość spraw poruszanych przez Kopra i Stańczyka nie była mi obca. Niemniej opis pobicia w 1938 r. przez oficerów miejscowego garnizonu Stanisława Cywińskiego i innych endeckich publicystów, rzekomo w obronie czci Józefa Piłsudskiego i reperkusji tego hańbiącego Wojsko Polskie czynu, nie waham się nazwać majstersztykiem: historycznym i dziennikarskim.

Trzeba przyznać autorom, że zgodnie z zapowiedziami nie unikali w swoim dziele trudnej problematyki, nie stosowali autocenzury, ale też – na szczęście! – na tyle kochają Wilno, by tę swoją miłością dzielić się z czytelnikami. A z rozsianych w książce osobistych wspomnień i refleksji z wypraw do Wilna (tego dzisiejszego, bo jakiegoż by innego) wynika, jak pilnie szukali w tym mieście polskich śladów. I jakim smutkiem napawa ich to, że wiele z nich celowo zostało zatartych.

FOT. NAC

Powodów tego stanu rzeczy jest sporo, nie miejsce tu, by je roztrząsać. Chciałbym tylko zacytować w tym miejscu znamienny dialog przywołany w „Ostatnich latach polskiego Wilna". Rozmowa odbyła się w czasie sowieckiej okupacji Wilna i wtedy to do polskiego komunisty, Anatola Mikułki (poety z Miłoszowskich Żagarów, skazanego później przez Wojskowy Sąd Specjalny AK na karę śmierci, wyroku jednak nie wykonano), ludowy komisarz oświaty z okupacyjnego nadania – Antanas Venclova – oświadczyć miał po pijanemu: „Jak przyjdą Niemcy, to my z wami poigramy". Na pytanie, dlaczego chcą wyrżnąć Polaków, Venclova orzekł, że „Litwini są mużykami [ciemnymi, prostymi chłopami – przyp. K.M.], a Polacy panami". Podobno Mikułko, sam syn białoruskiego chłopa, powiedzieć miał na to, że „wy nie »mużyki«, a »kułaki«" [chłopi zamożni, uważani za wrogów bolszewickiego państwa – przyp. K.M.]. Dodać wypada, że Antanas Venclova, ojciec Tomasa, przyjaciela Miłosza, autora monografii Aleksandra Wata, okresami mieszkającego w Krakowie obywatela Litwy i Stanów Zjednoczonych, doktora honoris causa m.in. Uniwersytetu Kłajpedzkiego, który to doktorat otrzymał z innym swoim przyjacielem, Adamem Michnikiem, wsławił się w swojej ojczyźnie po wieczne czasy jako autor słów hymnu Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

U nas tekst nowego PRL-owskiego hymnu proponowano ponoć Władysławowi Broniewskiemu, który miał na tyle przyzwoitości, że odmówił. Podobnie nie zafunkcjonował ostatecznie jako hymn bardzo popularny „Ukochany kraj, umiłowany kraj" Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Ten ostatni miał też swoje złote lata w Wilnie, o czym ciekawie prawią autorzy książki Frondy, z tym że niepotrzebnie powielają obiegową prawdę, jakoby o randze pisarza w Rzeczypospolitej decydowały wyłącznie publikacje w „Wiadomościach Literackich". Gałczyński, decydując się na stałą współpracę z „Prosto z Mostu", wiedział, co robi, i dobrze na tym wyszedł. A jego wiersze wahałbym się nazwać – jak Sławomir Koper – „skrajnie nacjonalistycznymi".

Podobnie nie wydaje mi się, by warto było opiniować znakomitą działalność prof. Juliusza Kłosa (autorzy podkreślają przecież jego zasługi m.in. przy pracach ratowniczych w katedrze Wileńskiej, restauracji Ostrej Bramy czy przebudowie na Rossie cmentarza polskich żołnierzy) wyzwiskami niechętnego mu ks. Bronisława Żongołłowicza. Juliusz Kłos, twórca zrodzonego w bólach prześwietnego „Przewodnika krajoznawczego" po Wilnie, kochał to swoje miasto miłością pierwszą i jedyną. Wszystkie grzechy zostały mu za to wybaczone. Z całą pewnością. ©℗

★★★★☆

SŁAWOMIR KOPER, TOMASZ STAŃCZYK „OSTATNIE LATA POLSKIEGO WILNA" FRONDA, WARSZAWA 2020

eprasa.pl c4e9f02f92

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Adepci magii

Kore, jeździec bojowych ptaków zwanych ortisami, przybywa do Ostrodu, na skraju cywilizowanego świata. Kraina przypomina szlachecką Polskę: po śmierci prawowitego króla panuje bezhołowie, w step ciągną nieliczne, acz bitne oddziały, po drugiej stronie granicy czai się bowiem niebezpieczeństwo – dzicy koczownicy niosący śmierć i zniszczenie.

Czułem się więc trochę jak wtedy, gdy kibicowałem rycerzom Wołodyjowskiego ruszającym przeciw tureckim podjazdom. Powieść „Dom między chmurami" to pierwszy tom cyklu fantasy „Opowieści Ostrodu", którym debiutuje polski autor kryjący się pod pseudonimem C. Klobuch. Pożycza trochę z Komudy, z Sienkiewicza, z cyklu o smoczych jeźdźcach Anne McCaffrey, próbuje jednak ułożyć z tego własną opowieść. Pierwsze koty za płoty. Jeśli miałbym podpowiadać, to zauważę, że im bliżej swojskich, słowiańskich klimatów, tym „Dom między chmurami" lepszy.

Drugi debiut proponowany przez Zysk i S-ka jest ciekawszy. „Imię boga" Michała Dąbrowskiego to powieść napisana z większym rozmachem, wielowątkowa, w której świat jest bogatszy i bardziej intrygujący. Jak wiele dzieł debiutantów rozpędza się jednak powoli – a może po prostu rację ma Umberto Eco, twierdząc, że w każdej powieści najsłabszych jest pierwszych sto stron? Dąbrowski lepiej panuje nad słowem, słychać u niego echa Tada Williamsa czy Davida Eddingsa, ale przede wszystkim widać, jak pożycza od Sapkowskiego.

Żadnej ze wspomnianych rzeczy nie należy traktować jak zarzut. Wszyscy od kogoś pożyczają, ważne jest, jak się te literackie długi obraca na swoją korzyść. Dąbrowski na tyle udatnie, że warto zajrzeć do Miasta Czarnego Żelaza, do stolicy Cesarstwa, w którym roi się od spisków i kontrspisków, pulsuje magia, a swe rzemiosło uprawiają szpiedzy, mordercy i złodzieje. No i prawdziwe kłopoty dopiero nadchodzą, bo autor też obiecuje ciąg dalszy. Tu moja podpowiedź jest inna – wiarygodności fantazji dobrze robi, gdy słowotwórstwo zakorzenione jest w kulturze i doświadczeniach czytelnika, rozmaite nazwy i imiona wymyślone tylko po to, by brzmiały obco i dziwacznie, przeszkadzają w zanurzeniu się w świat przedstawiony.

Tak czy inaczej będę miał oko i na Klobucha, i na Dąbrowskiego. ©℗

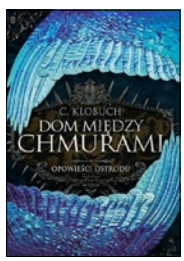

★★★☆☆☆
C. KLOBUCH „DOM MIĘDZY CHMURAMI" ZYSK I S-KA 2020

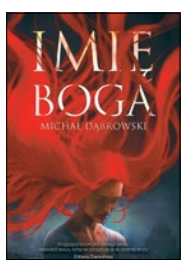

★★★★☆☆
MICHAŁ DĄBROWSKI „IMIĘ BOGA" ZYSK I S-KA 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Martwicie się, czy pandemia nie skończy się cyfrową dyktaturą (oczywiście w imię naszego dobra, a dokładnie: dla wspólnego zdrowia)? W Chinach to już codzienność, co opisuje korespondent „Süddeutsche Zeitung" w Pekinie.

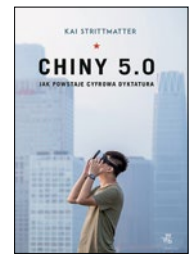

KAI STRITTMATTER „CHINY 5.0" WYDAWNICTWO W.A.B.

Rozważania, medytacje i rekolekcje na czas zarazy. Znany publicysta i autor „Do Rzeczy" szuka sensu w tragicznych wydarzeniach. Próbując objaśnić Boży plan, wraca do słów m.in. św. Ignacego Loyoli czy Leona XIII.

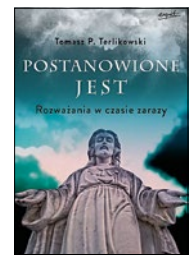

TOMASZ P. TERLIKOWSKI „POSTANOWIONE JEST" ESPRIT

Grupa mężczyzn w wieku rozmaitym spotyka się w saunie, by dyskutować bez końca o życiu, kobietach, samochodach i komunizmie. Wielogłos pesymistyczny, bo o przemijaniu. Nowa książka autora „Grandhotelu".

JAROSLAV RUDIŠ „CZESKI RAJ" KSIĄŻKOWE KLIMATY

Szczytowe osiągnięcie cyberpunku, jedna z najważniejszych powieści SF ostatnich dekad. Jej znaczenie wyszło daleko poza fantastykę. W nowym przekładzie i pod nowym tytułem (poprzednio znana jako „Zamieć"). ©℗

poleca Piotr Gociek

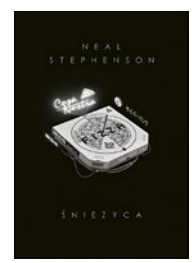

NEAL STEPHENSON „ŚNIEŻYCA" MAG

KOMIKS TYGODNIA: „ŻYWA STAL"

Nietypowa komiksowa premiera – import z Argentyny, gdzie Enrique Alcatena w czasach, nim został jedną z gwiazd DC i Marvela, przedstawił czytelnikom szaloną opowieść „Żywa stal". To historia z odległej przyszłości, przypominająca trochę powieści Jacka Vance'a czy Gene'a Wolfe'a, pełna niezwykłych, czasem groteskowych postaci: okrutnych władców, fałszywych proroków i dziwacznych bestii. Naprzeciw nich staje „ulepszony" w laboratorium bohater Hark i jego nietypowy sojusznik/zdrajca Hybryd. Wszystko w czerni i bieli, inspirowane mitologią i klasyką fantastyki. Perełka. ©℗

poleca Piotr Gociek

EDUARDO MAZZITELLI, ENRIQUE ALCATENA „ŻYWA STAL" WYDAWNICTWO MANDIOCA 2020

eprasa.pl c4e9f02f92

Chłopcy z VHS-u

FOT. VHSBANDOFFICIAL/FACEBOOK

Nie jestem przekonany, czy członkowie tej grupy pamiętają jakość filmu z kasety, którą odtworzono już setki razy, czy mierzyli się raczej z usuwaniem rys z płyt DVD i Blu-ray, ale nie to jest przecież najistotniejsze. VHS to po prostu fajna nazwa dla zespołu. Retro zawsze w modzie.

Zespół tworzy pięciu chłopaków: Maciej Rembikowski (wokal i gitara), Jan Rembikowski (gitara basowa), Dawid Ostrzycki (klawisze), Tymoteusz Słomiański (perkusja) oraz Artur Bobak (trąbka). Działają w tym składzie od niedawna, ale docierali się już wcześniej w Create, a efektem tamtej współpracy jest epka „#jeden". Wcześniej Rembikowskiemu towarzyszyła wokalnie Karolina Artymowicz.

W obecnym składzie i pod obecną nazwą zespół funkcjonuje od marca ubiegłego roku. Jeszcze jako Create zdążył się pokazać na kilku większych imprezach i wygrać IV edycję Festiwalu Supportów, w którym wywalczył 40 tys. zł na nagranie płyty, teledysku lub zorganizowanie trasy koncertowej. Miał powstać album i miał być on gotowy w tym roku. Ponieważ jednak wiele planów na 2020 r. sypie się jak domki z kart, również prace nad płytą utknęły. „Często pytacie nas o płytę... niestety prace nad nią też musiały zostać wstrzymane" – poinformował niedawno zespół, nie podając szczegółów. Dodał jednak: „Głęboko wierzymy jednak, że niebawem będziemy mogli wrócić do Was i na naszą salę prób w pełnym składzie! Trzymajcie za to mocno kciuki!".

Na razie VHS daje ślady swego istnienia w Internecie. Ostatnio publikując specjalną wersję („COVID-19 version") piosenki „Paranoik". Na swoim kanale na YouTube udostępnia łącznie kilka singli sygnowanych jako VHS i Create. Jest też (także w serwisach streamingowych) wspomniana już epka z 2018 r. Będzie więcej? Zapewne. Zapowiada się obiecująco. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Pożegnanie gigantów

30 kwietnia w wieku 79 lat zmarł Tony Allen, jeden z najwybitniejszych perkusistów. We wrześniu występował w Warszawie. Właśnie ukazała się jego płyta, nagrana wspólnie z południowoafrykańskim trębaczem Hugh Masekelą.

Nigeryjczyk, będąc w zespole saksofonisty Feli Kutiego, stworzył rytm nazwany afrobeatem, który wprowadził muzykę Czarnego Lądu do rockowego i jazzowego mainstreamu. Tony i Hugh spotkali się w 1973 r. w Lagos i postanowili wspólnie coś nagrać. Dotarcie do studia zajęło im blisko 40 lat. W pierwszy weekend 2010 r. odbyli dwie sesje nagraniowe. Allen miał przygotowanych kilka perkusyjnych podkładów, do których Masekela spontanicznie dograł na trąbce melodie i dośpiewał improwizowane wokalizy. Kilkakrotnie przekładano terminy dalszych sesji, aż w końcu trębacz zmarł na raka w 2018 r.

Tony Allen ukończył album w ubiegłym roku z młodymi londyńskimi jazzmanami. Nagrania opierają się na dialogu między perkusją i trąbką, któremu kolorytów dodają prawie niezauważalne przygrywki kontrabasu, saksofonu, klawiszy i wibrafonu. Skomplikowane polirytmy wybijane przez Allena Hugh rozświetla ciepłymi, podnoszącymi na duchu partiami. To album, na którym pasja współgra z wirtuozerią, ukazując muzykę w jej najbardziej uniwersalnym wymiarze. ©℗

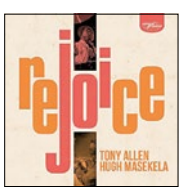

★★★★★☆

TONY ALLEN & HUGH MASEKELA „REJOICE" WORLDCIRCUIT

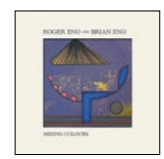

★★★★☆☆

ROGER ENO & BRIAN ENO „MIXING COLOURS" DEUTSCHE GRAMMOPHON

Pierwszy album braci stworzony w duecie. Wydany przez renomowaną wytwórnię muzyki klasycznej, przynosi 18 tonalnych wierszy przyporządkowanych różnym kolorom i odcieniom. Nastrojowe utwory oparte są na brzmieniu elektronicznych i akustycznych klawiszy.

★★★★☆☆

BOVSKA „SORRENTO" AGORA

Na czwartym, jak zwykle bardzo osobistym, albumie Bovska szuka sensu w tym, co codzienne. Elektroniczne, syntetyczne podkłady stworzył Jan Smoczyński. Jak zwykle zachwyca niebanalna okładka zaprojektowana przez autorkę. ©℗

eprasa.pl c4e9f02f92

7 lat Telewizji Republika

Za nami Wielka Gala Telewizji Republika.

Nie damy się! *- to hasło, które przyświecało tegorocznej uroczystej gali, która pierwszy raz w historii z powodu koronawirusa, odbyła się w przestrzeni on-line. Wieczór obfitował w wiele emocji, które przygotowaliśmy specjalnie dla naszych widzów. Wydarzenie miało wymiar charytatywny i zebrane fundusze poszły na wsparcie polskiej służby zdrowia, która jest na froncie walki z pandemią w Polsce. 7 lat istnienia Telewizji Republika to w szczególności zasługa wspaniałych widzów, którzy są z nami cały czas, to Wam w szczególności dziękujemy!*

Podczas gali wręczyliśmy nagrody Telewizji Republika w kategoriach:

POLITYKA: ***Pan Prezydent Andrzej Duda***

BIZNES: ***Pan Premier Jacek Sasin***

KULTURA: ***Pan Profesor Krzysztof Szczerski***

OSOBOWOŚĆ ROKU: ***Pan Minister Łukasz Szumowski***

Muzyczną ucztę w rytmach bałkańsko-karpackich przygotował Jan Pospieszalski wraz z dwupokoleniową, muzyczną rodziną oraz z Krzysztofem Cugowskim.

Dziękujemy, że spędziliście z nami ten niezapomniany wieczór!

Partnerzy Strategiczni:

ORLEN PGNiG

Partnerzy Główni:

BGK Bank Gospodarstwa Krajowego, Totalizator Sportowy, Energa, LOTOS, PPL Porty Lotnicze

Partnerzy Wspierający:

PZU, fundacja arp, KGHM Polska Miedź, PKP Polskie Koleje Państwowe Spółka Akcyjna, Poczta Polska, żabka

eprasa.pl c4e9f02f92

Z Jakubem Zgierskim, założycielem bloga „Młot na marksizm"
rozmawia Maciej Pieczyński

Pandemia
to szczęście w nieszczęściu

MACIEJ PIECZYŃSKI: Mówi się, że pandemia koronawirusa obnażyła słabość ponadnarodowych struktur. Okazuje się bowiem, że „jak trwoga, to do państw narodowych". Zgadza się pan z tą tezą?

JAKUB ZGIERSKI: Tak, zdecydowanie. Epidemia koronawirusa, z którą mierzymy się od kilku miesięcy, to nie jest jedyny przykład bezsilności Unii Europejskiej. Kryzys imigracyjny, który wybuchł w 2015 r., również pokazał, że mamy do czynienia z kolosem na glinianych nogach. Propaganda kreuje obraz skuteczności brukselskich struktur władzy, a praktyka pokazuje, że w razie prawdziwego zagrożenia centralne zarządzanie po prostu się nie sprawdza. Wierchuszka debatuje, grozi sankcjami albo wystosowuje apele, a rządy poszczególnych krajów muszą rozwiązywać problemy same albo dzięki jakiejś lokalnej współpracy. Europejska solidarność, o której się tak wiele mówi, oczywiście istnieje, ale z pewnością nie wynika ona z dyrektyw Komisji Europejskiej czy innych podmiotów.

W jaki sposób, pańskim zdaniem, koronawirus zmieni oblicze UE?

Ciekawy przykład to Hiszpania, w której nieudolne i ideologicznie zafiksowane rządy socjalistów oraz komunistów doprowadziły do rozrostu epidemii i skompromitowały się w oczach obywateli. Pisała o tym szeroko korespondentka DoRzeczy.pl Małgorzata Wołczyk, z którą też o tym rozmawiałem na swoim kanale na YouTube. Nie dość, że dopuścili do organizacji ogromnego marszu z okazji Dnia Kobiet, to jeszcze pokazali, czym jest kompetencja na przykładzie filozofa na stanowisku ministra zdrowia. Te kraje, które poradziły sobie dużo lepiej w tej sytuacji, np. Polska czy Węgry, z pewnością zanotowały wzrost zaufania wśród mieszkańców. Tego samego nie można jednak powiedzieć o Unii, która raczej wypadła blado. Po prostu widać porównanie. Gdybyśmy posłuchali Komisji Europejskiej i nie zamknęli szybko granic, wirus na pewno bardziej by się rozprzestrzenił. Krytyka wprowadzanych ograniczeń okazała się strzałem w stopę. To jeden przykład, ale jak dobitny.

Czy więc generalnie pandemia wzmocni zaufanie do państw narodowych? Czy podkopie autorytet UE?

Podkopie, tak jak w przypadku kryzysu imigracyjnego. I z pewnością w jakimś stopniu zahamuje proces integracji, na co bardzo liczę. W „Białej księdze w sprawie przyszłości Europy" z 2017 r. pojawiły się rozmaite scenariusze dalszego rozwoju sytuacji. Wychodzi na to, że Komisja

eprasa.pl c4e9f02f92

Europejska będzie musiała zrewidować swoje przewidywania. Do 2025 r. Unia miała się „domknąć" i stać takimi Stanami Zjednoczonymi Europy, ale na szczęście mamy kilka dodatkowych lat na to, aby się temu przeciwstawić. Koronawirus to szczęście w nieszczęściu.

Na rzecz pogłębienia integracji mocno lobbuje mało znana w Polsce organizacja The Spinelli Group. Na ile jest ona wpływowa i reprezentatywna dla poglądów popularnych na europejskich salonach?

Grupa Spinelli powstała w 2010 r. i obecnie skupia około stu europosłów z rozmaitych ugrupowań. Co istotne, nie należą do niej jedynie jawni komuniści i socjaliści, ale również zieloni, liberałowie, demokraci, a nawet ludowcy czy chadecy. To pokazuje sojusz ponad podziałami, a właściwie unaocznia nam, jak bardzo daleko zaszedł tzw. marsz przez instytucje. Zwolennicy tej koncepcji przeniknęli najróżniejsze partie i zainfekowali swoje środowiska od wewnątrz.

Ideę Spinellego popiera chociażby Guy Verhofstadt, przewodniczący frakcji liberalnej, obecny przewodniczący Parlamentu Europejskiego David Sassoli, przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, słynny komisarz Jean-Claude Juncker, ale również czołowi europejscy przywódcy: kanclerz Niemiec Angela Merkel oraz prezydent Francji Emmanuel Macron.

Grupa Spinelli wysunęła trzy projekty mające w założeniu stanowić remedium na problemy Europejczyków w dobie koronakryzysu. Przyjrzyjmy się pierwszemu z nich. Chodzi o kreację unijnych obligacji. Pańskim zdaniem oznacza to „solidarne" zadłużanie się wszystkich krajów w imię walki z koronawirusem. Przecież założenie w teorii jest szczytne – chodzi o pomoc finansową dla państw dotkniętych kryzysem. Czy nie tego powinniśmy oczekiwać od Unii?

Jak to zwykle bywa, teoria może brzmieć pięknie, ale warto spojrzeć na prawdziwe cele takich działań. Generalnie koncepcja eurofederalistyczna w zamyśle Spinellego przewiduje uzależnienie państw narodowych od centrali, od swego rodzaju unijnego rządu. Ma temu służyć chociażby likwidacja suwerennych armii, granic oraz walut. Wciąganie krajów w jakąś spiralę zadłużenia to kolejny sposób na spętanie rąk.

O ile „koronaobligacje" mają raczej wątpliwe szanse na realizację, o tyle rośnie gotowość do sięgnięcia po fundusz ratunkowy eurostrefy (ESM), by w razie potrzeby wspierać kraje pożyczkami pomocowymi w wysokości do 2 proc. ich PKB. Czy to już konkretna pomoc, czy nadal projekt obliczony na osłabienie państw narodowych i uzależnienie finansowe od centrali?

To pomoże doraźnie w kryzysie, tylko co potem? Pytanie można postawić wielokrotnie i za każdym razem jest tak samo uzasadnione. Jak można przeczytać, wspomniany fundusz dotyczy państw strefy euro, więc i tak Polska się tu nie kwalifikuje, na szczęście. Jednak szkodliwość przyjęcia euro zamiast własnych walut narodowych to już osobny temat.

Kolejny postulat Grupy Spinelli zakłada nałożenie jednolitych podatków w obrębie całej UE. Pańskim zdaniem to dokręci śrubę zwłaszcza słabszym państwom Europy Wschodniej. Dlaczego tak pan uważa?

Ponownie bardzo prosty mechanizm. Nowe podatki i nowe zobowiązania, ale też więcej pieniędzy trafiających do centrali. To przejaw ciągłego przenoszenia kompetencji oraz decyzyjności na wyższe szczeble.

Po trzecie w końcu, Grupa Spinelli ma proponować utworzenie Europejskiej Unii Zdrowotnej, czyli kolejnej skostniałej struktury nieudolnie zawiadującej procesami zwalczania epidemii. Co w tym się panu nie podoba?

Logika takich rozwiązań jest niezmienna. Odbieramy państwom narodowym autonomię i możliwość działania „po swojemu". Zamiast tego kolejna struktura zawiadująca odgórnie. Centralne planowanie wprowadzano już wiele razy i nigdy nie dało to dobrych efektów. Powinniśmy wyciągać wnioski z historii.

Być może moje odpowiedzi brzmią jak ciągła negacja wszystkiego, co zaproponuje Unia, ale mam ku temu powody. Od dłuższego czasu analizuję procesy integracyjne w Europie i bardzo obawiam się wzrostu siły Brukseli kosztem państw narodowych. Należy sobie powiedzieć wprost – po kilkudziesięciu latach walki ideologicznej i politycznej na szczyt unijnych ciał dostali się mniej lub bardziej świadomi komuniści, którym nieprzerwanie marzy się stworzenie superpaństwa. To nie jest scenariusz, który możemy oceniać pozytywnie.

Czyli każde centralistyczne rozwiązanie zaproponowane przez Brukselę należy z gruntu uważać za złe, wymierzone w państwa narodowe?

Stoję na tym stanowisku. Należy pamiętać, że nie wchodziliśmy do Unii Europejskiej, tylko do Wspólnoty Europejskiej. Unia istnieje od 2007 r., a w zasadzie od 2009 r., gdy w życie wszedł już oficjalnie traktat lizboński. Trwa nieprzerwanie kurs na superpaństwo. Integracja zaczynała się od EWG, czyli współpracy ekonomicznej i handlowej, a teraz „niespodziewanie" kończymy na likwidacji państw narodowych. Należy się temu przeciwstawić. Suwerenne kraje, które współdziałają na zasadach partnerskich, to wizja, do której powinniśmy wrócić, i to jak najszybciej.

Co pańskim zdaniem rządy państw narodowych – w tym polski – powinny zrobić, aby obronić się przed brukselskim centralizmem? Czy powinny, paradoksalnie, wykorzystać pandemię do wzmocnienia niezależności politycznej?

Tak, ja osobiście nie jestem zwolennikiem twardego „exitu" i po prostu wyjścia z Unii Europejskiej. Wtedy znaleźlibyśmy się niejako między blokiem unijnym oraz (post)komunistyczną Rosją. Dużo lepszym rozwiązaniem, oczywiście z mojej perspektywy, byłoby stworzenie pewnej przeciwwagi w ramach wspólnoty, chociażby z krajami Grupy Wyszehradzkiej oraz tymi państwami, w których do władzy doszły ugrupowania eurosceptyczne (np. Austria czy Włochy). Innymi słowy, nie zostawiajmy Unii samej sobie, tylko skutecznie blokujmy jej zamordystyczne zapędy. Gdyby wszystkie niewygodne kraje wyszły z tej struktury, brukselskim elitom byłoby łatwiej domknąć projekt i stworzyć upragnione superpaństwo. Co prawda mniejsze obszarowo, ale właśnie z tego powodu nastawione imperialistycznie. Nie oszukujmy się – większość krajów w Unii odgrywa rolę rynków zbytu i zaplecza taniej siły roboczej. Najsilniejsi gracze de facto żerują na słabszych i mniej rozwiniętych konkurentach. Z ich utratą z pewnością nie mogliby się pogodzić kreatorzy „nowego wspaniałego świata", a wtedy kto wie – może europejska armia musiałaby interweniować ws. faszystowskiego reżimu w Budapeszcie lub w Warszawie? Oczywiście, aby przywrócić tam pokój i demokrację. Czy brzmi to niewiarygodnie? Być może tak samo jak w przypadku wielu wydarzeń, które zaszły w historii. Ja konsekwentnie pozostaję nie tyle pesymistą, ile po prostu realistą. Wolę nie mieć złudzeń.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4e9f02f92

Wojciech Golonka

Między Bogiem a cezarem

Dzisiaj urzędnik zamyka progi świątyni z powodu liczby wiernych, jutro, przy innej władzy, być może zaingeruje z powodu domniemanej epidemii „mowy nienawiści", potępiającej z ambony grzechy wołające o pomstę do nieba

Przedłużające się obostrzenia epidemiczne spotykają się z malejącym poparciem ze strony zachodnich społeczeństw, objętych mniej lub bardziej surową kwarantanną. Do grona niezadowolonych dołączyli ostatnio katolicy – świeccy i duchowni, dotychczas przeważnie wyrażający zrozumienie dla narzuconych restrykcji i nawołujący do ich przestrzegania. Po fali entuzjastycznych hashtagów promujących izolację i ostentacyjnego zamykania kościołów w Polsce i za granicą przyszedł czas na zimny prysznic. Ile jeszcze potrwa odcięcie duszpasterzy od ich głównego zajęcia, ale także od źródła utrzymania świątyń i ich samych? Jak długo wierni będą zmuszeni zadowalać się oglądaniem mszy na ekranie bez możliwości realnego dostępu do sakramentów? Dlaczego pójście do kościoła jest traktowane bardziej surowo niż pójście do supermarketu? Są to pytania zasadne, tym bardziej gdy słyszy się doniesienia, że np. we Francji rząd zamierza „odmrozić" kościoły dopiero w lipcu.

Mimo pierwotnej kapitulacji pojawiały się jednak godne pochwały reakcje duchownych: jednoosobowe procesje wśród domostw parafii, sakramenty udzielane poza mszami świętymi, msze polowe odprawiane dla osób pozostających w samochodach czy spowiedź „drive-in" (USA). W niektórych przypadkach zignorowano nawet rygorystyczne restrykcje, co wskutek denuncjacji spotkało się ze skandalicznymi próbami przerwania liturgii ze strony policji (Włochy i Hiszpania). W podrzymskiej diecezji Frascati sankcjami został objęty sam bp Raffaello Martinelli. Wprawdzie nie przerwano jego liturgii Niedzieli Palmowej, ale wystawiono mu mandat za sprawowanie jej przy otwartych drzwiach katedry przegrodzonych liną, co umożliwiło wejście do środka kilkudziesięciu wiernym. Na świecie doszło jednak do bezprecedensowej sytuacji: chrześcijanie zostali de facto pozbawieni możliwości uczestnictwa w obchodach ich najważniejszego święta – Zmartwychwstania Pańskiego.

Porównanie tego, z czym mamy do czynienia dziś do prześladowań religijnych jest o tyle przesadzone, że intencje restrykcji nałożonych na kult religijny są wyłącznie natury sanitarnej, przynajmniej oficjalnie. Jednakże prawdą jest, że państwa, przy pewnej akceptacji władz kościelnych, posunęły się do niespotykanych dotąd kroków, które w praktyce wyglądały jak powszechny interdykt. Chociaż trudno porównać bieżącą sytuację do otwartych prześladowań, to nie sposób nie przyznać racji, że np. Bierut, który więził duchownych, nie mógł sobie pozwolić na podobne traktowanie Kościoła. Dlaczego więc katolicy bez większego sprzeciwu zgodzili się na ingerencję państwa, którą dopiero po czasie zaczynają postrzegać jako podważanie autonomii Kościoła?

DROGA DO NIEZALEŻNOŚCI

Relacje Kościoła z państwem są zawiłe, ponieważ tyczą się złożonej materii, którą jest życie ludzi w społeczeństwie, a sam człowiek podlega jednocześnie różnym obowiązkom względem Boga i cezara. Jednakże wyrażona przez Chrystusa zasada równowagi jest bardzo prosta: oddać Bogu, co boskie, a cesarzowi, co cesarskie (nie zapominając, że sam cesarz i cesarstwo też mają obowiązki względem Boga!). Ekscesy pojawiają się wtedy, gdy jedna z władz wychodzi poza swe prerogatywy. W XVIII w. austriacki cesarz Józef II wyznaczył ustawowo długość świec ołtarzowych, przez co nazywany był „kościelnym cesarstwa". Była to drobnostka w porównaniu z kasatą klasztorów kontemplacyjnych i sekularyzacją dóbr kościelnych, których dokonał w ramach reformy józefińskiej. Odtąd józefinizm stał się synonimem starożytnego cezaropapizmu. Oczywiście bywały także nadużycia ze strony władzy kościelnej. Przykład papieża Juliusza II osobiście szturmującego w zbroi wrogie mu miasta czy rzucanie klątwy w celach czysto politycznych z pewnością nie należą do wzorców postępowania ewangelicznego. Znamienne jest także postępowanie znanego ze sprawiedliwości króla św. Ludwika Francuskiego, który w sporze między cesarzem Fryderykiem II a papiestwem wytykał nadużycia każdej ze stron i nie dając się wciągnąć w konflikt, podkreślał suwerenność polityczną Francji wobec obu.

Na przestrzeni dziejów nadużycia były jednak o wiele częstsze ze strony władzy doczesnej, poczynając od tego, że do czasu edyktu Konstantyna z 313 r. kończącego prześladowanie chrześcijan wszyscy papieże, od św. Piotra Apostoła do św. Euzebiusza, mieli status męczenników.

eprasa.pl c4e9f02f92

FOT. ANATOL CHOMICZ/FORUM

W rzeczywistości to właśnie Kościół, przez swoją nieprzejednaną postawę trwania przy wyznawanych zasadach, zdołał uzyskać zupełną niezależność właściwą jego godności i misji. W narodach pogańskich kwestie religii podlegały bowiem w zupełności władzy państwowej. Chociaż stan kapłański był zazwyczaj stanem wyodrębnionym ze społeczeństwa, często to władca pozostawał najwyższym kapłanem... lub uważał się za bóstwo. W każdym razie zarządzanie religią pozostawało domeną władzy doczesnej, która wobec braku objawionych „wytycznych" z różnym powodzeniem nawiązywała do pierwotnej religii ofiarniczej ludzkości. W najlepszym razie wśród niekończących się ofiar zwierzęcych kult pogan był, podobnie jak u Żydów, wyrazem bezsilności ludzkiej wobec transcendencji bóstwa; w najgorszym zaś – ohydnym kultem demonów. Starożytni poganie rozumieli jednak instynktownie znaczenie ofiary przebłagalnej, dlatego „dobrą nowinę" o ofierze Chrystusa złożonej Bogu przyjmowali łatwiej niż chrześcijańskie obyczaje, do których dotychczas nie przywykli. Sedno kolizji na gruncie politycznym polegało jednak na tym, że chrześcijaństwo było nie do pogodzenia z innymi wierzeniami pogańskiego panteonu.

Ostatecznie Konstantyn, legalizując Kościół, uznał de facto istnienie władzy duchowej, która nie podlegała władzy cesarskiej. Nie dało się jednak z dnia na dzień pozbyć utartych nawyków: Konstantyn, choć nie był nawet ochrzczony, uważał się nie tylko za doczesnego obrońcę Kościoła, lecz także specjalistę od katolickiej ortodoksji. Jego następcy z kolei powielali zwyczaj mieszania się w sprawy doktrynalne i dyscyplinarne Kościoła, podsycając m.in. kryzys ariański, który niemal powszechnie zniweczył wiarę w bóstwo Chrystusa. Trzeba było odwagi biskupów pokroju św. Ambrożego z Mediolanu, stawiającego sukcesywnie czoło aż trzem cesarzom, czy św. Atanazego, aż pięciokrotnie wygnanego z Aleksandrii, aby podtrzymać niezależność Kościoła wobec państwa w kwestii kultu oraz nauczania wiary i obyczajów. Ostatecznie spór częściowo wygasł wraz z upadkiem cesarstwa na Zachodzie, choć papieże nadal musieli cierpliwie znosić natręctwo bardziej „gorliwych" bazyleusów, podtrzymywanych w swym zadufaniu o teologicznej wyższości przez świetnie intrygujących patriarchów Konstantynopola, wykorzystujących Bizancjum w procesie trwałej emancypacji wobec Rzymu, co ostatecznie skończyło się wielką schizmą.

Można by mnożyć przykłady burzliwego podejścia do prerogatyw Kościoła w średniowieczu (męczeństwo śś. Stanisława i Tomasza Becketta) czy w czasach nowożytnych (reformacja czy rewolucja francuska), ale zauważmy przede wszystkim, że żadna inna religia nie przejawiała podobnej postawy: wspomniane prawosławie zdobyło swoją niezależność wobec Rzymu kosztem zupełnej zależności od Bizancjum, a później Moskwy, to samo zjawisko zaszło później w przypadku protestantyzmu. Wyjątkiem były purytańskie próby zakładania teokracji, takie jak w Genewie, ale skutkowały one nietrwałymi tyraniami religijnymi, które skompromitowały kalwinizm.

„PRZEŻYTEK HISTORII"?

Obecne napięcia w kwestii kultu są oczywiście zupełnie innego kalibru, są jednak zasadniczo tej samej natury. Główne pytanie nie brzmi, czy i jak ograniczać uczestnictwo w kulcie Bożym w czasie epidemii, ale KTO ewentualnie takie regulacje powinien wprowadzać. Znamienne jest, że w czasie epidemii hiszpanki, choć na ziemiach protestanckich władza jednostronnie wprowadzała zakazy nabożeństw w kościołach, jednocześnie udostępniała szerokie przestrzenie pozamiejskie, gdzie mogły odbywać się msze polowe. Z kolei w krajach katolickich urzędnicy dyplomatycznie prosili władze kościelne o podjęcie właściwych kroków sanitarnych celem neutralizacji epidemii, bez nakładania sankcji karnych. Nawet jeśli nie każdy podzielał tę wiarę, to rozumiano, że dla katolików msza święta nie jest zwykłą modlitwą, ale rzeczywistą ofiarą i żywą obecnością Boga-człowieka Jezusa Chrystusa, które dla katolików mają większe znaczenie niż chleb powszedni.

Nie miejsce tu rozważać, na ile zachodnie konstytucje czy konkordaty pozwalają państwom ingerować w sprawy kultu z powodów sanitarnych, a na ile zapewniają religii katolickiej zupełną wolność, choć zdroworozsądkowo można zauważyć, że czym innym jest nakaz dezynfekcji klamek czy budynku świątyni, a czym innym ograniczanie fizycznego dostępu do życiodajnych sakramentów. Należy natomiast wskazać przyczynę, która umożliwiła zaistnienie obecnych niebezpiecznych precedensów. Dzisiaj urzędnik zamyka progi świątyni z powodu liczby wiernych, jutro, przy innej władzy, być może zaingeruje z powodu domniemanej epidemii „mowy nienawiści", potępiającej z ambony grzechy wołające o pomstę do nieba.

KOŚCIÓŁ WOJUJĄCY

Od kilku wieków trwa proces politycznej dechrystianizacji państw i społeczeństw, od czasu ostatniego soboru większość hierarchów przestała zaś wierzyć w zasadność katolickich państw. Sam papież Franciszek nazwał je w jednym z wywiadów „przeżytkiem historii". Znamienne, że to ten sam papież, reagując na protest włoskich biskupów, 28 kwietnia zalecił posłuszeństwo wobec odroczonego przez władzę otwarcia kościołów. Sceptycyzm wobec swej misji i rozłam między państwem a Kościołem ostatecznie poddają go cezarowi. Jakie jednak zadanie otrzymał Kościół od Chrystusa, jeśli nie sprowadzenia do Niego wszystkich narodów, ich zupełnej chrystianizacji, wraz z ich instytucjami? I jak Kościół, który nie chciałby wojować tu, na Ziemi, o Królestwo Niebieskie i zbawienie dusz, mógłby przetrwać napór dalszej dechrystianizacji? Kościół wojujący przeżył upadłe mocarstwa, trzymając się wbrew ludzkim pragmatycznym kalkulacjom otrzymanego od Boga porządku zbawienia: „Kto bowiem chciałby duszę swoją zachować, straci ją; a kto by stracił duszę swoją dla mnie, zachowa ją" (Łk 9, 24).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4e9f02f92

Nowa warstwa

Fragment najnowszej książki Douglasa Murraya, który ujawnia wojny kulturowe toczone w imię „sprawiedliwości społecznej” i „polityki tożsamości” oraz odkrywa, jakie interesy za tym stoją i jak przybywa ofiar tych starć

Załóżmy, że uczymy komputerowy model rozpoznawać twarze. Pada pytanie: „Czy na pewno wybieramy z Internetu albo własnej biblioteki fotografii zdjęcia, które reprezentują wszystkich?”. Google pokazuje zdjęcia ludzi w chustach na głowie i bez chust, ludzi wszystkich kolorów skóry i w bardzo różnym wieku. W licznych nowoczesnych produktach wykorzystuje się uczenie maszyn, dlatego głos lektora zapewnia: „Staramy się, by technologia nie powtarzała negatywnych ludzkich uprzedzeń”. Zajmowano się m.in. niedopuszczaniem do tego, by „obraźliwe lub oczywiście nieprawdziwe informacje” pojawiały się na początku wyszukiwania, i tworzeniem narzędzia informacji zwrotnej, za pomocą którego ludzie mogliby oznaczać „nienawistne lub nieodpowiednie” sugestie automatycznego uzupełniania.

„To złożona sprawa – dowiadujemy się – i nie istnieje panaceum”. „Ale od samego początku zdajemy sobie z tego sprawę i możemy się wszyscy włączyć w dialog. Bo technologia powinna służyć wszystkim”. Jak najbardziej. Ale przy okazji podaje się ludziom łatwo przewidywalny zbiór uprzedzeń rodem prosto z Doliny Krzemowej.

Przypuśćmy, że posłużymy się własnym przykładem Google’a i poszukamy „fizyków”, nie da się zignorować w wynikach braku fizyczek. Maszyna radzi sobie, podkreślając inne rodzaje różnorodności. Mimo że w wyszukiwarce Google jako pierwszy wyskakuje obraz białego fizyka, który stoi z kredą przy tablicy na Uniwersytecie Kraju Saary, po nim następuje czarnoskóra doktorantka z Johannesburga. Na fotografii numer cztery przechodzimy do Einsteina, na piątej mamy Stephena Hawkinga.

WYPACZANIE HISTORII

Oczywiście takie podejście ma pewne zalety. Bardzo mało osób chciałoby zniechęcić młode kobiety do zostania fizykami tylko dlatego, że na przestrzeni dziejów w dziedzinie tej przeważali mężczyźni. Tak samo bardzo mało osób chciałoby przekonać młodego człowieka o dowolnym kolorze skóry, że jakaś dziedzina jest dla niego zamknięta tylko dlatego, że do tej pory ludzie o jego karnacji w niej nie dominowali. Jednak wyszukiwania nie przedstawiają „bezstronnego” obrazu świata, tylko wizję wypaczającą historię i narzucającą jej uprzedzenia z teraźniejszości.

Weźmy wyniki prostego wyszukiwania w rodzaju „sztuka europejska”. Istnieje ogrom obrazów, które mogłyby pojawić się po wpisaniu tych słów w wyszukiwarkę Google Obrazy. Pierwsze przychodzą do głowy „Mona Lisa”, „Słoneczniki” van Gogha i tym podobne. Tymczasem pierwszy jest obraz Diego Velázqueza. Co samo w sobie może nie zaskakiwać, choć już wybrany obraz jest nieoczekiwany. Zaskakujące jest to, że w odpowiedzi na wyszukiwanie „sztuka europejska” dostajemy nie „Panny dworskie” ani nie portret papieża Innocentego X tegoż hiszpańskiego malarza. Ktoś poszukujący „sztuki europejskiej” ujrzy portret asystenta Velázqueza, Juana de Pareja, który był czarnoskóry.

To doskonały portret, ale jego pierwszeństwo dziwi. Cztery wymienione wcześniej obrazy bardziej zgadzałyby się z oczekiwaniami. Później następuje „Madonna z Dzieciątkiem” (jak dotąd pierwsza), przy czym Madonna ma czarną skórę. Dalej mamy portret czarnoskórej kobiety z czegoś pod nazwą „ludzie o ciemniejszej karnacji w dziejach sztuki europejskiej”. Ten sam wiersz kończy się grupowym portretem trzech czarnoskórych. W wierszu następnym widzimy dwa portrety czarnoskórych i obraz Vincenta van Gogha (jak dotąd pierwszy). I tak dalej, i tym podobne. Każdy wiersz przedstawia dzieje sztuki europejskiej złożone w dużej mierze z portretów czarnoskórych osób. Jest to naturalnie ciekawe i z pewnością „reprezentatywne” dla tego, co niektórzy chcieliby dziś zobaczyć. Ale w żaden sposób niereprezentatywne dla przeszłości. Historia sztuki europejskiej nie składa się w jednej piątej, w dwóch piątych ani w połowie z przedstawień czarnoskórych. Portrety pędzla osób czarnoskórych albo ich przedstawiające były rzadkością aż do ostatnich dziesięcioleci, gdy populacja Europy zaczęła się zmieniać. I w tej wersji przeszłości jest coś nie tylko osobliwego, lecz także złowrogiego. Można zrozumieć, dlaczego maszynie nauczonej „bezstronności” mogłoby się wydawać, że jest to właściwe przedstawienie rozmaitych grup. Nie jest to jednak po prostu zgodny z prawdą obraz dziejów Europy czy sztuki.

A nie jest to w Google’u przypadek odosobniony. Na prośbę o znalezienie obrazów związanych ze „sztuką ludzi Zachodu” otrzymujemy najpierw obraz czarnoskórego mężczyzny (z „Czarnoskórych w sztuce zachodniej w Europie”). Potem dominują obrazy rdzennych Amerykanów.

Gdy chce się zobaczyć obrazy „czarnych mężczyzn”, Google pokazuje na początku zdjęcia portretowe czarnoskórych. Osoby innej karnacji pojawiają się dopiero po kilkunastu wierszach obrazów. Z kolei wyszukiwanie „białych mężczyzn” daje najpierw wizerunek Davida Beckhama – który jest biały – ale już drugi pojawia się czarnoskóry model. W każdym kolejnym wierszu, który składa się z pięciu obrazów, dostajemy jednego czarnoskórego albo dwóch. Wielu spośród pokazanych tu białych to skazańcy, podpisani hasłami w rodzaju: „Uwaga na przeciętnego białego mężczyznę” czy: „Biali mężczyźni są źli”.

Im głębiej zapuszczać się w tę króliczą norę, tym wyniki wyszukiwań stają się coraz bardziej niedorzeczne, przynajmniej w porównaniu z oczekiwaniami, choć bardzo szybko można zorientować się, dokąd prowadzi ta cała dezinformacja.

Wpisanie „para gejowska” wywołuje w Google Images liczne linijki par szczęśliwych gejów. Przystojnych i radosnych. Z kolei szukanie „par hetero” daje co najmniej jeden, dwa z pięciu obrazów w linijce, które przedstawiają dwie lesbijki albo dwóch gejów. W kilku rzędach obrazów „par hetero” znajduje się w sumie więcej fotografii gejów niż heteroseksualistów, mimo że szukano czegoś innego.

eprasa.pl c4e9f02f92

Liczba mnoga daje jeszcze bardziej osobliwe wyniki. Pierwsze zdjęcie „par hetero" przedstawia dwoje czarnoskórych, drugie parę lesbijek z dzieckiem, czwarte dwóch czarnoskórych gejów, a piąte dwie lesbijki. A mówimy tu tylko o pierwszym wierszu. Od trzeciej linijki „par heteroseksualnych" mamy wyłącznie gejów. Pod fotografią mieszanej (biało- i czarnoskórej) pary gejów widnieje hasło: „Pary uczą się od związków gejowskich". Następnie mamy: „Pary hetero mogą się uczyć od par gejowskich". Dalej para gejów z przysposobionym dzieckiem. I samo zdjęcie uroczej parki gejów z magazynu o życiu w luksusie dla gejów, „Winq". Dlaczego po trzech linijkach obrazów dla „par hetero" wszyscy są homo?

CORAZ DZIWNIEJ

Jak łatwo się domyślić, robi się coraz dziwniej. Na wpis „biała para hetero" jako drugie otrzymujemy zdjęcie knykcia z napisem „NIENAWIŚĆ". Trzecie pokazuje dwoje czarnoskórych. To samo zapytanie w liczbie mnogiej („białe pary hetero") wywołuje wiele obrazów tak odjechanych, że od razu wiadomo, że coś jest na rzeczy. Na obrazie numer dwa mamy parę mieszaną rasowo. Numer cztery to dwóch gejów (biało- i czarnoskóry) z dwojgiem czarnoskórych dzieci. Od wiersza drugiego przeważają fotografie par gejów, opatrzone hasłami takimi jak: „Pary międzyrasowe", „Pary uroczych gejów" i „Dlaczego pary gejowskie są zwykle szczęśliwsze od par hetero".

Jednak wystarczy wpisać te same hasła w innych językach i otrzymuje się inne wyniki. Im bardziej oddalamy się od języków europejskich, tym więcej dostaje się tego, o co się prosiło. Na przykład po wygooglowaniu „białych mężczyzn" po turecku na Google Turcja ogląda się mnóstwo obrazów białych ludzików lub mężczyzn o nazwisku „Biały". Szukanie w Google Obrazach po francusku daje efekty podobne jak w angielskim. Wpisanie w wyszukiwarkę hasła w języku angielskim daje wyniki najbardziej jawnie i bezczelnie różniące się od poszukiwań. Osobliwość niektórych wyników po angielsku jest tak skrajna, że nie może tu chodzić tylko o maszynę dbającą o różnorodność. Po prostu nie jest to MLF [Machine Learning Fairnes, czyli bezstronność uczenia się maszyn – przyp. red.].

Szukający „białej pary" zobaczy wśród pięciu pierwszych obrazów parę mieszaną rasowo i takąż parę gejów, a potem parę białą, która urodziła czarnoskóre dziecko przy użyciu czarnych embrionów. Wpisujący „pary Azjatów" dostanie to, czego chciał, czyli po prostu liczne zdjęcia par azjatyckich. Dopiero w czwartym wierszu znaleźć można Azjatkę na zdjęciu z czarnoskórym. Poza jeszcze jednym wyjątkiem są to pary złożone jak najbardziej z Azjatów. Nie widać żadnych prób wprowadzania gejów. W ogóle nie ma par gejowskich.

uprzedzeń

Bardzo to tajemnicze. Gdyby w wyszukiwaniach stosowano jedynie MLF, szukanie białych par hetero mogłoby pokazać kilka par gejowskich. Ale nie skończyłoby się przewagą par, które nie są ani hetero, ani białe. Mamy tu w określonych przypadkach ślady świadomych starań promowania obrazów par, które w żaden sposób nie pasują do kryteriów wyszukiwania.

Wygląda na to, że na MLF nakłada się warstwę czegoś innego: jest to MLF z dodatkiem działania człowieka. I czynnik ludzki postanowił, zdaje się, dać nauczkę ludziom, którzy wzbudzają złość programistów albo ich firm. To by tłumaczyło, dlaczego szukający par czarnoskórych czy gejowskich dostają, czego chcą, natomiast w odpowiedzi na wyszukiwanie par białych albo heteroseksualnych pojawia się coś przeciwnego. Wyjaśnia, dlaczego zainteresowanych zdjęciami par Azjatów nie trzeba drażnić ani reedukować, w przeciwieństwie do ludzi szukających „par białych". Analogicznie heteroseksualiści pochodzenia azjatyckiego nie muszą oglądać rozmaitych par ras mieszanych ani dowiadywać się, że tego rodzaju związki są nie tylko normalne, lecz także bardziej normalne od innych, nie trzeba im też wciskać fotografii par gejowskich. Gdy ktoś chce tylko poszukać pary Azjatów, dostarczy mu się mnóstwo zadowolonych heteroseksualistów z Azji – młodych i starych. Google nie będzie się starało wpływać na obraz tego, czym jest para i jak może wyglądać przeciętny związek.

DOUGLAS MURRAY
„SZALEŃSTWO TŁUMÓW. GENDER, RASA, TOŻSAMOŚĆ"
ZYSK I S-KA 2020

Tymczasem gdzieś w trakcie kodowania podjęto zupełnie świadomą próbę zdenerwowania, wkurzenia, dezorientacji i rozwścieczenia ludzi, którzy szukają pewnych terminów. Google jak gdyby chciało świadczyć usługę, z której jest dumne, dla niektórych, ale na pewno nie dla poszukujących par heteronormatywnych czy rasy kaukaskiej. Ludzie tacy są już problemem i trzeba im odmówić, niwecząc próby dotarcia do materiału, na którym im zależy. Trzeba im pokazać gigantycznego „fu…a" na miarę technologii. Rzecz jasna w interesie bezstronności. To samo robi „The New York Times", w nieskończoność drukując artykuły o gejach w biznesie i balecie. Tyle że Dolina robi to tak regularnie i konsekwentnie, że o wiele trudniej jest jej się tego wyprzeć.

Proszę wpisać „czarnoskóra rodzina" i zobaczy się same uśmiechnięte czarnoskóre rodziny, nie czyniąc wyjątku nawet dla rodziny mieszanej. Z kolei odpowiedzią na hasło „biała rodzina" są trzy z pięciu obrazów w pierwszym wierszu, na których pokazana jest rodzina albo czarnoskóra, albo mieszana. Niedługo potem następują same rodziny czarnoskóre.

Wszystko wskazuje na to, że chcąc pozbawić komputery uprzedzeń charakterystycznych dla ludzi, nakazano im stworzyć nowy typ nieuprzedzeń. W efekcie otrzymujemy jednak wypaczoną wersję historii i nową warstwę uprzedzeń, celowo wprowadzonych do systemu przez ludzi atakujących innych, którzy podobno posiadają określone przesądy. W celu wykorzenienia ludzkich uprzedzeń ludzie nasycili nimi cały system.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Douglas Murray – brytyjski dziennikarz, pisarz, autor książki „Dziwna śmierć Europy: imigracja, tożsamość, islam".

eprasa.pl c4e9f02f92

Pochód pierwszomajowy w 1989 r. w Warszawie

FOT. TOMASZ WIERZEJSKI/FOTONOVA

Niespokojny maj

Sebastian Ligarski

Maj roku 1989 należał do najbardziej niespokojnych miesięcy od 1983 r.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej 1 Maja był jednym z głównych świąt celebrowanych przez władze komunistyczne – w przeciwieństwie do święta 3 Maja (konstytucji z 1791 r., a nade wszystko Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski), które zniknęło z kalendarza świąt państwowych w 1951 r. Środowiska kontestujące ustrój PRL do lat 80. XX w. rzadko brały udział w pochodach, otwarcie manifestując swój sprzeciw wobec władz. Do takich wyjątków należały 1 maja w 1968 r., gdy np. we Wrocławiu manifestowano przeciwko aresztowaniu studentów w marcu i kwietniu tamtego roku, czy 1 maja 1971 r., gdy w Szczecinie i Gdańsku doszło do tzw. czarnych pochodów przeciwko nieukaranym sprawcom zabójstw uczestników rebelii grudnia 1970 r. Inaczej wyglądała sytuacja w czasie stanu wojennego, gdy kontrmanifestacje tego dnia stały się coroczną areną starć pomiędzy członkami podziemnych struktur opozycji a władzą w postaci ZOMO, wojska i innych jednostek siłowych. Nic zatem dziwnego, że pomimo ponownej legalizacji Solidarności w kwietniu 1989 r., a szczególnie trwającej kampanii wyborczej, do 1 maja przygotowywali się wszyscy uczestnicy sceny politycznej.

BITWA Z ZOMO

Do obchodów robotniczego święta wezwała Solidarność Walcząca razem z Polską Partią Socjalistyczną – Ruchem Demokratycznym i Ruchem Młodzieży Niezależnej pod hasłami: wolnych wyborów, zlikwidowania nomenklatury i usunięcia PZPR z zakładów pracy, godziwej płacy i warunków pracy. Hasła te pojawiły się na ulotkach, które kolportowano w kraju.

Największa manifestacja odbyła się 1 maja we Wrocławiu. Władze bardzo jej się obawiały. Służba Bezpieczeństwa

eprasa.pl c4e9f02f92

zbierała wszelkie informacje na temat przygotowań i przekazywała je do władz partyjnych. Powołano specjalny sztab, którego głównym celem było wyizolowanie tej społeczności politycznej, jej kontrolowanie, przeciwstawienie jej rozsądnej opozycji (za jaką uważany był Komitet Obywatelski „Solidarności") i przedstawienie jako grupy awanturników burzących ustalony kompromis na linii władze – opozycja. Do rozmów nad zagadnieniami bezpieczeństwa i organizacji zaproszono przedstawicieli KO „S", którzy przyjęli postawę neutralną. Zresztą w tym czasie zorganizowali swój wiec wyborczy.

Pomimo tego 1 maja doszło do walk z ZOMO, Zbigniew Wojtczak został przejechany przez milicyjną nyskę, a wiele osób zostało rannych. Według różnych szacunków w starciach wzięło udział 8–10 tys. ludzi. „Padały hasła przeciwko władzom, ale także przeciwko Wałęsie. Aby rozpędzić demonstrantów, którzy obrzucili milicjantów kamieniami, funkcjonariusze wjeżdżali w tłum samochodami. Atmosferę podgrzała plotka, że zomowcy zabili cztery osoby. Na milicjantów posypały się kamienie i deski, starciom nie zapobiegł nawet przybyły na miejsce zdarzeń Władysław Frasyniuk. Podczas pięciogodzinnych starć uszkodzono 46 samochodów, a kilkudziesięciu zomowców i demonstrantów zostało rannych" – pisała Paulina Codogni. Leszek Budrewicz, członek Ruchu Wolność i Pokój, a równocześnie członek KO „S" we Wrocławiu, pisał: „Szybko porwałem tubę, wszedłem między tłum i krzyczę, żeby milicja odeszła i nie prowokowała, bo nie ma powodu. Milicja wycofała się. Wtedy jakaś nieliczna grupa – moim zdaniem z Opola – wytoczyła kontener ze śmieciami na kółkach na Trasę W-Z, zatrzymując ruch. Teraz wiadomo było, że tamci wrócą. Zaczęliśmy to ściągać, Frasyniuk przemawiał do ludzi, że takie działania nie mają sensu, mieliśmy legalny wiec i awantura jest niepotrzebna". Eskalacja konfliktu doprowadziła do dalszych walk na ulicach stolicy Dolnego Śląska, które zakończyły się późnym wieczorem.

1 maja swoją manifestację zorganizowała też Pomarańczowa Alternatywa, która notabene wypożyczała sprzęt nagłaśniający od PPS-RD i zbierała podpisy pod kandydaturą Waldemara „Majora" Fydrycha na fotel senatorski. Ponadto w całym kraju doszło jeszcze do kilku innych manifestacji. W Gdańsku odbył się wiec zorganizowany przez SW i Federację Młodzieży Walczącej. Jak pisał Jarosław Wąsowicz: „Happening pod hasłem »1 maja, ale jaja!« miał się rozpocząć o 11.00 na Długim Targu. W tym czasie jednak przy Ratuszu Głównomiejskim odbywał się wiec zorganizowany przez Solidarność Walczącą i zwolenników Andrzeja Gwiazdy. Próby rozpoczęcia imprezy FMW w tym miejscu spotykały się ze zdecydowanie wrogim nastawieniem uczestników wiecu. Młodzież przeniosła się w okolice fontanny Neptuna. Sytuacja się rozwiązała, kiedy do wiecujących członków i sympatyków SW i Andrzeja Gwiazdy dotarła informacja o użyciu sił milicyjnych w okolicach pomnika Jana III Sobieskiego przeciw demonstracji zwolenników Lecha Wałęsy. Radykałowie ruszyli im z odsieczą. Wtedy prowadzony przy Neptunie happening przeniósł się na schody ratusza. Młodzież skandowała hasła kojarzące się z okresem kultu jednostki: »Józef Stalin!«, »Niech żyje partia!«, »Opozycja do podziemia!«, »Niech żyje socjalizm!«, »Socjalizm tak, wypaczenia nie!«, »Precz z kapitalizmem!« i inne. […] Momentami liczba uczestników happeningu osiągała 6 tys. osób. Sprzed Ratusza Głównomiejskiego […] postanowiono przenieść się pod budynek KW PZPR. W odległości kilkuset metrów od gmachu partii tłum został brutalnie zaatakowany przez MO. Happening przerodził się w otwartą konfrontację. Podczas starć zatrzymano wiele osób, które dotkliwie pobito. Wzmogło to opór młodzieży uczestniczącej w starciach".

Walki trwały dalej. W ich czasie ranny został 23-letni Adam Kligensberg, uderzony pałką w oczy. Trafił do szpitala, ponieważ groziła mu utrata wzroku. 17-letni Dariusz Bojsmard został pobity do nieprzytomności, studentowi Tadeuszowi Cichockiemu zaś uderzeniem pałką w twarz uszkodzono zęby, po czym przez sześć godzin przetrzymywano go w komisariacie. Ciężko pobity został 16-letni Andrzej Duffek, działacz gdańskiej FMW.

W Warszawie „po mszy w kościele św. Stanisława Kostki w imieniu PPS przemawiali Tadeusz Rachowski i Andrzej Malanowski. Wśród transparentów znajdowały się: »Chcemy godziwej płacy, a nie emigracji – PPS«; »Zacznijmy reformę gospodarczą«. Próba zorganizowania przez PPS i MRKS wiecu na Rynku Starego Miasta w Warszawie nie udała się w wyniku zorganizowanej akcji SB, która legitymowała przychodzących. Pomimo to Grzegorz Ilka, Cezary Miżejewski oraz Mariusz Ambroziak z »Solidarności« z Ursusa rozwinęli czterometrowy transparent »Dość podwyżek cen – PPS«, skandując »Kraków – Warszawa wspólna sprawa« i rozrzucając ulotki na pl. Zamkowym nieopodal kościoła św. Anny. Pomimo interwencji MO uczestnikom akcji udało się uciec i ocalić transparent".

W Poznaniu, po mszy św. w kościele Matki Bożej Bolesnej, ok. 3,5 tys. manifestantów z transparentami „PPS", „Solidarność" i „Solidarność Walcząca" usiłowało dostać się do centrum Poznania. Zatrzymano 10 osób. Do podobnych manifestacji doszło jeszcze w Częstochowie, Koszalinie, Lublinie, Łodzi, Olsztynie, Ostrołęce, Szczecinie, Bydgoszczy, Jastrzębiu-Zdroju. A władze czekała jeszcze rocznica 3 maja...

3 MAJA

SB przygotowywała się do święta Konstytucji 3 maja, zbierając informacje odnośnie do projektowanych obchodów i ich przebiegu. Tego dnia profilaktycznych zatrzymań dokonano we Wrocławiu, gdzie SB weszła do mieszkania członka PPS-RD Czesława Borowczyka i zabrała z niego Józefa Piniora, Aleksandra Sarata, Barbarę Chycko i właściciela mieszkania. Władze chciały zdusić ewentualne protesty w zarodku.

We Wrocławiu tego dnia odbył się duży wiec w auli Politechniki Wrocławskiej, gdzie potępiono działania władz 1 maja. W innych miastach się nie udało. W Katowicach demonstracja miała miejsce po mszy św. w katedrze, którą zorganizowały Solidarność Walcząca i Młodzieżowy Ruch Oporu SW. Tysięczny tłum skandował hasła: „Bojkot wyborów", „Morawiecki", „Precz z komuną". Zakończono ją pod dworcem głównym PKP.

W Białymstoku członkowie Komitetu Obywatelskiego „S" wzięli udział w uroczystej mszy św. odprawionej w bazylice prokatedralnej. „Po jej zakończeniu kilkutysięczny pochód przeszedł na Plac Zgromadzeń, gdzie do licznie (około 10 tys.) zebranych przemówił Stanisław Marczuk. Podkreślił on, iż związek wyrósł na ideałach Konstytucji 3 Maja i odrodzenia duchowego, jakiego doświadczyli Polacy za sprawą Jana Pawła II […]. Następnie prof. Andrzej Kalaciński i Krzysztof Putra kandydujący z listy Komitetu Obywatelskiego do Senatu i Sejmu wygłosili przemówienia i przedstawili swoje programy wyborcze, w których stwierdzili, iż będą

eprasa.pl c4e9f02f92

dążyć do doprowadzenia za cztery lata do wolnych i demokratycznych wyborów, ustanowienia nowej konstytucji, demokratycznych wyborów samorządowych, poprawy poziomu życia obywateli" – pisali Marek Kietliński i Krzysztof Sychowicz.

Msze św. odbywały się w całym kraju, a podczas nich nierzadko księża nawoływali do głosowania na konkretnych kandydatów z list KO, przedstawicieli władz zaś należało skreślać. Podczas manifestacji w Białymstoku na ulicach miasta pojawiła się taksówka z nazwiskiem jednego z kandydatów KO „S", w jej trakcie zaś wznoszono okrzyki „Precz z komuną" czy „Młodzież z partią się rozliczy".

W Olsztynie wieczorny wiec wyborczy poprzedziła msza św. w kościele NSPJ z udziałem około tysiąca osób. Następnie po jej zakończeniu uczestnicy z transparentami NZS i S, skandując hasła „Nie ma wolności bez Solidarności", „Nie ma sukcesu bez NZS-u", „Wracaj Gierek, będzie kwita – lepszy złodziej niż bandyta", przeszli do siedziby miejscowego KO „S".

W Lublinie tego dnia wiec odbył się na pl. Litewskim. Tomasz Przeciechowski wspominał: „Komitet Obywatelski, o ile pamiętam, jakieś oświadczenie przygotował. Odbył się duży wiec, gdzie przedstawiciele Komitetu występowali. Kampania wyborcza już się wtedy nieźle zaczęła. To było chyba pierwsze spotkanie z okazji 3 maja, na którym nie pałowano". W Warszawie milicja zatrzymała uczestników kilku niezależnych od siebie pochodów zmierzających pod Grób Nieznanego Żołnierza.

I na tym zakończyła się trzeciomajowa aktywność w 1989 r. Nie oznaczało to jednak końca niespokojnej majówki. Nie dość, że krajem wstrząsały strajki, choćby górników, to krakowska młodzież szykowała się do uderzenia na Sowietów.

ZACZĘŁO SIĘ 14 MAJA...

14 maja 1989 r. w Krakowie odbyły się msza św. i manifestacja poświęcona pamięci Stanisława Pyjasa, zamordowanego przez SB w 1977 r. Po mszy św. w kościele oo. Dominikanów przy ul. Stolarskiej ok. 200 osób, nierzadko ubranych w czarne ubrania, przeszło w ciszy i milczeniu na miejsce zbrodni, czyli do budynku przy ul. Szewskiej w Krakowie. W tym samym dniu w Warszawie uczczono pamięć Grzegorza Przemyka. Dzień później w Krakowie odbyły się obchody tzw. międzynarodowego dnia objectorów, czyli osób odmawiających z powodów pacyfistycznych służby wojskowej. Organizatorem wiecu przed budynkiem Collegium Novum UJ były Ruch „WiP", Międzymiastówka Anarchistyczna, Pomarańczowa Alternatywa oraz NZS. Wzięło w nim udział ok. 150 osób, które domagały się likwidacji przysposobienia obronnego w szkołach, zniesienia obowiązku szkolenia studentów, zniesienia obowiązkowego poboru do wojska i zaprzestania represji wobec tych, którzy odmawiają służby wojskowej. Następnie przemaszerowano pod gmach Prokuratury Wojskowej, gdzie spalono cztery książeczki wojskowe.

Po manifestacji 17 maja 1989 r. w Krakowie zatrzymano 14 osób. Rannych zostało 27 funkcjonariuszy, uszkodzono 19 pojazdów milicyjnych

Do podobnych obchodów doszło we Wrocławiu, w Bydgoszczy, Łodzi, Poznaniu. Następnego dnia o godz. 13 na Rynku Głównym Ruch „Wolność i Pokój" zorganizował wiec pod hasłem „Sowieci do domu". Na początku głos zabrał Radosław Huget, student relegowany z Uniwersytetu Jagielońskiego w 1968 r., który odczytał akt protestu przeciwko dalszemu stacjonowaniu w Polsce wojsk sowieckich, w którym uznano ten fakt za dalszą okupację kraju. Po następnych przemówieniach grupa ok. 200 osób przemaszerowała pod konsulat sowiecki. Budynek ten obrzucono monetami, wznosząc okrzyki: „To jest na bilet". Następnie protestujący zablokowali bramę wejściową do budynku, urządzając tzw. sitting oraz malując na bramie konsulatu hasła: „Soviet go home", „Soviet no future". Milicja usunęła blokadę, przy czym zatrzymała 45 osób, które zresztą po pewnym czasie zwolniono.

17 maja krakowska młodzież z WiP i NZS ponownie zebrała się na Rynku Głównym, protestując przeciwko zatrzymaniu dzień wcześniej ich kolegów oraz eksponując hasła „Sowieci do domu". Po ok. 20 minutach mniej więcej 300 osób ponownie udało się pod konsulat, gdzie doszło do zorganizowania kolejnego sittingu. Tym razem jednak demonstracja nie zakończyła się tak spokojnie. Wobec gromadzących się w rejonie Plant manifestantów, którzy rozpoczęli budowanie barykad oraz obrzucali milicjantów kamieniami, wysłano armatkę wodną. Po kilku minutach doszło do gwałtownych starć. Zakończyły je dopiero mediacje, które podjęli działacze małopolskiej Solidarności. Ogółem w walkach rannych zostało siedmiu manifestantów, zatrzymano 14 osób, w tym siedmiu studentów, czterech uczniów, trzech pracowników z krakowskich zakładów pracy. Rannych zostało też 27 funkcjonariuszy, z czego dwóch hospitalizowano. Uszkodzono 19 pojazdów milicyjnych i 49 tarcz.

Wydarzenia z 17 maja miały bezpośredni wpływ na najostrzejsze walki, do których doszło w Krakowie 18 maja w czasie wiecu wyborczego KPN i po nim. Manifestanci, którzy po raz kolejny udali się w stronę konsulatu ZSRS, zostali zatrzymani przez siły porządkowe, doszło do starć z milicją, która użyła armatek wodnych. Nie powstrzymało to jednak młodzieży, która zaczęła wznosić barykady, równocześnie atakując milicjantów butelkami z benzyną i denaturatem, kamieniami, cegłami, płytami chodnikowymi, prętami. Około godz. 21 jeszcze mniej więcej tysiąc osób uczestniczyło w walkach, które trwały do godz. 23. Funkcjonariusze SB relacjonowali o dwóch delegacjach działaczy opozycji, w tym Solidarności, które o godz. 19 i 22 spotkały się z szefostwem Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych (zwierzchnikiem był gen. Jerzy Gruba, odpowiedzialny za pacyfikację strajku w kopalni Wujek 16 grudnia 1981 r.). W obu przypadkach szefostwo groziło surowymi konsekwencjami uczestnikom walk oraz wzywało do ich natychmiastowego zakończenia i udania się do domów. Dopiero drugiej delegacji udało się namówić protestujących do opuszczenia barykad. Warto w tym miejscu odnotować, że krakowskie starcia były szeroko omawiane podczas posiedzeń Biura Politycznego KC PZPR, a w dzienniku M.F. Rakowskiego znalazła się niezwykle intrygująca notatka dotycząca rozmowy Jerzego Urbana z gen. Jerzym Grubą o ewentualnym prowokacyjnym wpuszczeniu demonstrantów na teren konsulatu ZSRS.

Wybuchowy maj powoli się kończył, na bliskim horyzoncie jawiły się wybory kontraktowe, a środowiska niezwiązane z tzw. drużyną Lecha czerwiec przeznaczyły na dalszą walkę o swoje ideały.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem OBBH IPN w Szczecinie.

eprasa.pl c4e9f02f92

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Syberyjska egzekucja

W lutym niemal zupełnie niezauważona przeszła 80. rocznica pierwszej dużej deportacji Polaków z ziem wschodnich II RP w głąb ZSRS. Bolszewicy w latach 1939–1941 wywieźli kilkaset tysięcy naszych rodaków: mężczyzn, kobiet i dzieci. Kości wielu z nich do dziś bieleją na spalonych słońcem stepach Kazachstanu i w skutych lodem tajgach Syberii.

Część zesłańców miała szczęście. Opuściła łagry i kołchozy na mocy amnestii lub po zakończeniu drugiej wojny światowej. Na palcach jednej ręki można zaś policzyć tych, którym udało się uciec i wyrwać z największego w historii obozu koncentracyjnego, którym było państwo Stalina.

Jednym z tych nielicznych śmiałków był Michał Krupa, autor głośnych w Wielkiej Brytanii wspomnień „Płytkie groby na Syberii". Teraz książka ukazała się również w Polsce.

Krupa został aresztowany przez NKWD, przeszedł brutalne śledztwo na Łubiance, a potem wylądował w łagrze nad Peczorą. W prawdziwym piekle na ziemi. Udało mu się jednak, w sensacyjnych okolicznościach, uciec z łagru, a potem – gdy schwytano go po drodze – przeżyć własną egzekucję.

„Rozległy się strzały: jeden, drugi, trzeci – wspominał. – Z Modlitwą Pańską na ustach po czwartym strzale upadłem na ziemię. Palący ból rozbłysnął wielobarwnymi pasmami w oczach, poczułem, jakby mi zadano śmiertelny cios ciężkim młotem, a potem straciłem kontakt z rzeczywistością. Czułem tylko obezwładniające zimno, od którego zdrętwiały mi kończyny, i pulsujący ból w głowie. Ktoś ciągnął mnie po śniegu. Dwie pary czarnych butów wyróżniały się na tle bieli. Po co kopali w zamarzniętej ziemi? Chowano mnie do grobu żywcem!".

To wręcz niebywałe, że Krupa mógł wyjść obronną ręką z tylu skrajnie niebezpiecznych sytuacji i tarapatów. W Związku Sowieckim śmierć czyhała na niego na każdym kroku. A jednak – wola życia młodego mężczyzny okazała się silniejsza. Udało mu się przedostać na teren Afganistanu, skąd trafił do Wielkiej Brytanii.

★★★★★★
MICHAŁ KRUPA
„PŁYTKIE GROBY NA SYBERII"
REBIS 2020

Dawno nie czytałem tak wstrząsających, a jednocześnie pasjonujących wspomnień. Podobno polskie władze nadal szukają tematu na epicki film historyczny ukazujący bohaterstwo Polaków. Poszukiwania można uznać za zakończone. Temat za znaleziony. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wileńska kukułka

Nie można wyobrazić sobie dziejów międzywojennego Wilna bez Witolda Hulewicza. Poeta, tłumacz, krytyk literacki, animator kultury, a przede wszystkim znakomity organizator. Przybysz z zewnątrz, który zaczynał od posady sekretarza w Oddziale Sztuki przy Urzędzie Delegata Rządu, w ciągu kilku lat zdominował życie kulturalne miasta nad Wilią.

Gdy zatem organizowano rozgłośnię Polskiego Radia w Wilnie, Hulewicz został jej kierownikiem programowym. Jak zwykle okazał się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, gdyż rozgłośnia jeszcze nie pojawiła się w eterze, a już zaistniała na łamach prasy. Wzbudzało to dodatkowe zainteresowanie jej programem, tym bardziej że kierownik programowy zapowiadał realizację pomysłów, jakich nie było w programach innych stacji.

Na wstępie zadbał o właściwy sygnał dla rozgłośni. Wybierano go z dużym pietyzmem, miał bowiem uwzględnić specyfikę Wilna. Duże szanse miała aria z kurantem ze „Strasznego dworu", gdyż Moniuszko przez wiele lat działał w Wilnie i był uważany za swojego. Ostatecznie jednak wygrał głos kukułki, co miało być symbolem lasów Wileńszczyzny.

Hulewicz uczynił z literatury znak firmowy swojej rozgłośni. Osobiście przygotował słuchowisko „Pogrzeb Kiejstuta" z „zawodzeniem płaczek, pieśniami wajdelotów, stukotem końskich kopyt pod strojnymi młodzieńcami". Słuchowisko odtworzono w plenerze, a jeden z mikrofonów umieszczono nad brzegiem Wilii, by słychać było szum rzeki. Pogoda dopisała, a spektakl transmitowano 17 maja 1928 r. na całą Polskę.

Od tej pory poszło już z górki, a takie słuchowiska jak „Obrona Sokratesa" czy „Miasto Santa Cruz" przeszły do historii polskiej radiofonii. Hulewicz zresztą konsekwentnie stawiał na żywe słowo i lansował miejscowych twórców. Co więcej, zaczął przygotowywać audycje w języku litewskim, co wzbudziło irytację władz z Kowna. Trudno się zresztą temu dziwić, skoro tamtejsza ludność wolała „słuchać ciekawych odczytów i komunikatów z Wilna" niż własnej stacji.

Pan kierownik osobiście prowadził „Skrzynkę radiową", odpowiadając w eterze na listy słuchaczy. Oczywiście nie można było zadowolić wszystkich, jednak program rozgłośni kierowano do jak najszerszego kręgu odbiorców. Nadawano komunikaty rolnicze, porady pedagogiczne, audycje dla rzemieślników i hobbystów, a także reportaże i programy satyryczne. To właśnie na antenie wileńskiej rozgłośni Franciszek Żwirko (pochodzący z Wileńszczyzny) i Stanisław Wigura trzy dni przed śmiercią opowiadali o swoich fascynacjach… ©℗

eprasa.pl c4e9f02f92

Piotr Semka

W swojej najnowszej książce „Klęska imperium zła. Rok 1920" Andrzej Nowak przypomina, że walka z sowieckim duchem falsyfikowania historii wcale się nie skończyła

Żołnierze 1. Armii Konnej pod dowództwem Siemiona Budionnego FOT. WIKIPEDIA

Włodzimierz Iljicz i zielone ludziki

Klęska imperium zła. Rok 1920" – taki tytuł nosi nowa książka Andrzeja Nowaka na temat największego polskiego zwycięstwa XX w. Autor przypomina – jak sadzę, myśląc o młodszych czytelnikach – skąd w ogóle wzięło się to określenie definiujące Związek Sowiecki. Po raz pierwszy termin ten padł 8 marca 1983 r. w przemówieniu prezydenta USA Ronalda Reagana na dorocznej konwencji Narodowego Zgromadzenia Ewangelików w Orlando na Florydzie. „Ze złem, z takim złem nie może być kompromisu" – stwierdził wówczas Reagan. Wzywał, by przeciwstawić się tym, którzy ośmielają się porównywać do takiego zła politykę Stanów Zjednoczonych i próbują oczernić znaczenie ich wysiłków militarnych, bez których nie uda się odstraszyć, zmusić do odwrotu strasznego przeciwnika (przypomnijmy: Reagan adresował te słowa do chrześcijańskich odbiorców w Ameryce w momencie, kiedy znaczna część ich hierarchii – także katolickiej – krytykowała zawzięcie podjęty przez niego program forsownego dozbrojenia armii Stanów Zjednoczonych). W tym właśnie kontekście i wobec takich adresatów pojawia się formuła „imperium zła": „Strzeżcie się pokusy pychy – pokusy ustawienia się ponad tym wszystkim i nazwania obu stron konfliktu równie złymi, ignorowania faktów historii i agresywnych impulsów imperium zła".

ZABIJAĆ I WZBUDZAĆ STRACH

Jak wskazuje Andrzej Nowak – Polacy równe sto lat temu stanęli w obliczu pierwszego ujawnienia się poza Rosją nowego, agresywnego sowieckiego imperializmu, jego specyficznej ideologii oraz narzędzi podboju. I nie tylko nie ulegli jego syrenim śpiewom, lecz także potrafili znaleźć w sobie dość siły, aby to zagrożenie zwyciężyć. Dokładnie tak samo jak Reagan, który w ocenie komunizmu okazał się nieporównanie przenikliwszy niż sławieni niekiedy za swoją inteligencję poprzedni prezydenci Ameryki, z chlubnym wyjątkiem w osobie Harry'ego Trumana.

Co takiego było w Polakach, że okazali się immunizowani na tę specyficzną formę kłamstwa, którą był komunizm? Przecież Polska nie była wtedy zamożnym krajem. Rosyjscy rewolucjoniści mogli budzić sympatię choćby z powodu zgładzenia cara, którego podwładni wysłali na Sybir tysiące Polaków, którego Kozacy bili nahajkami naszych rodaków w rewolucji 1905 r. i który wygnał na fronty wielkiej wojny setki tysięcy chłopców z Warszawy, Lublina czy Wilna. A jednak Polacy w większości wyczuli w systemie Lenina coś wyjątkowo złego, coś złowrogiego. I co więcej – mieli rację.

Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski – szykujący się już do wkroczenia do Warszawy na czele z Feliksem Dzierżyńskim, Julianem Marchlewskim i Feliksem Konem – wydaje 4 sierpnia 1920 r. rozkaz. Brzmi on tak: „Wszystkich [ludzi] niebezpiecznych dla socjalistycznej rewolucji w Polsce, wszystkich przedstawicieli polskiej wielkiej burżuazji i szlachty, wszystkich znanych ze swej sympatii dla białopolaków – aresztować i skierować do obozów koncentracyjnych [naprawit' w konclagierja]".

Ile by takich łagrów powstało na ziemiach polskich? Ile z ich ofiar by przeżyło?

Andrzej Nowak cytuje jeszcze jeden tajny dokument. Oto 25 sierpnia, już po klęsce w Bitwie Warszawskiej, Lenin martwi się, czy Estonia i Łotwa, z którymi Sowieci czysto taktycznie zawarli traktaty pokojowe w pierwszej połowie 1920 r., teraz nie przyłączą się do Polski w ataku na zdruzgotaną Armię Czerwoną. Aby zastraszyć obie bałtyckie republiki, „czerwony car" wydaje polecenie, żeby przebrać czerwonoarmistów za „zielonych" i wtargnąć zbrojnie na kilka kilometrów w głąb Estonii i Łotwy. Ubrani w mundury bez odznaczeń dywersanci mieli powywieszać parę tysięcy „kułaków, księży i ziemian".

Trudno nie skojarzyć tego pomysłu z „zielonymi ludzikami", którzy z polecenia Putina rozpoczęli w 2014 r. agresję na ukraiński Krym.

Nowak pisze: „To był pomysł »wojny hybrydowej«. Zabijać niewinnych ludzi w sąsiednich krajach, by wzbudzić strach, by wyrabiać w ten sposób postawę trwożliwej podległości sowieckiemu impe-

eprasa.pl c4e9f02f92

rium – o to tutaj chodzi. Jednocześnie owo imperium udaje, że nie ma z aktem terroru nic wspólnego. Ale przecież chce zarazem, żeby się domyślano, kto za nim stoi. Tak właśnie buduje się strach. Tak w praktyce działa »imperium zła«: przez połączenie kłamstwa i strachu, przez ich tajemniczą miksturę. Niniejsza książka o tym właśnie traktuje. Ale także o tym, jakie znaczenie w walce ze strachem i z kłamstwem, które imperium rozprzestrzenia ze swego centrum, ma Polska".

SZÓSTY ZMYSŁ POLAKÓW

Niektórzy mieszkańcy kraju nad Wisłą wierzą, że Bóg stawiając nasz naród przed rozmaitymi wyzwaniami, które bywają oszczędzane innym szczęśliwiej położonym krajom, uzbroił Polaków w szósty zmysł intuicyjnego rozpoznawania zła grożącego ich krajowi. Na dodatek zła lubiącego się przebierać w szaty cnoty. Tak nasi pradziadowie szybko zauważyli teutoński wilczy charakter w pozornie superpobożnym zakonie krzyżackim. Podobnie wyczuliśmy nienasycony szwedzki imperializm strojący się w kostium protestanckich cnót. Dosyć wcześnie nasi myśliciele zaczęli się zastanawiać, jak upiorne cechy despotyzmu caratu mogą połączyć się z ideami komunizmu i ateizmu. Temu poświęcona jest druga część książki – „Głębsze źródła zwycięstwa". Krakowski autor zadaje sobie trud, by sprawdzić, kiedy w polskim piśmiennictwie pojawia się po raz pierwszy pojęcie komunizmu i w jakim świetle przedstawiają je autorzy słowników.

W pierwszym nowoczesnym „Słowniku języka polskiego" Samuela Bogumiła Lindego, wydawanym w latach 1807–1814, autor notuje wyraz „komuniści" w jednym tylko znaczeniu – jako wspólnotę kapłanów świeckich, tzw. bartoszków sprowadzonych do Polski za czasów Jana III Sobieskiego. Już jednak w kolejnym, wydanym w roku 1861 w Wilnie „Słowniku języka polskiego" pojawiają się trzy równorzędne znaczenia terminu „komunista". Obok wspomnianego ekwiwalentu zakonnika „bartoszka" pojawia się także takie określenie: „należący do sekty politycznej żądającej równego podziału własności", a zaraz dalej trzecie znaczenie, żartobliwe: „nazwa dawana ludziom przywłaszczającym cudzą własność".

Nowak składa w swej książce hołd przenikliwości Zygmunta Krasińskiego, który w swoich pismach dostrzegł w komunizmie ideę, która może kiedyś wpłynąć jeszcze potworniej na rosyjski system caratu. W liście ze stycznia 1849 r. (adresat niestety nieznany) Krasiński proroczo wieszczy:

„Przyjdzie chwila straszna, przepowiedziana, w której ateizm i schizma, komunizm i Moskwa w jedno zło się zleją i to zowie się »Antechrystą«. Ja to widzę jak na dłoni. Car stanie na czele komunizmu w końcu! Na czele ateizmu w końcu! [...] Któż zacny, któż poczuwający się jeszcze, że człowiekiem jest, chciałby jednemu lub drugiemu służyć? A jednak: jeden i drugi służalców znajdzie nieskończoną liczbę. Podłość wielka nastanie, strach gdyby natchnienie, będzie ludzi porywał, gnał, pędził i zmuszał do szkaradnych czynów".

Czy można się dziwić, że Piłsudski, wychowany przez matkę na dziełach romantyków, potrafił zauważyć potem w ekipie Lenina wszystkie straszne cechy caratu, na dodatek bez łagodzącego wpływu chrześcijańskiego miłosierdzia?

WOODROW WILSON Z INNEJ STRONY

Część trzecia książki nosi tytuł: „Trzeci pochód ententy czy pierwsza zdrada Zachodu?"

Ów termin „Trzeci pochód ententy" to wyświechtany termin z sowieckiej propagandy, która aż do końca istnienia Związku Sowieckiego głosiła, że wyprawa na Kijów nie była żadną samodzielną inicjatywą Piłsudskiego, tylko realizacją rozkazów rzekomych antysowieckich sztabów z Paryża i Londynu. Tezę tę przypominał w swoich książkach np. Norman Davies i opowiadał, jak straszyła ona na Zachodzie aż do lat 70. W wielu, zdawałoby się poważnych, podręcznikach uniwersyteckich na zachodnich szkołach wyższych.

Było dokładnie na odwrót – wskazuje Nowak. Polskę w chwili śmiertelnego zagrożenia ignorowano lub pouczano, że ma pertraktować z Leninem. To była pierwsza zdrada Zachodu – którą to tezę Andrzej Nowak rozwijał już w książce o tej właśnie nazwie wydanej w Wydawnictwie Literackim w Krakowie już parę lat temu.

I nie wrzuca wszystkich do jednego worka. Francja pod najbardziej trzeźwym wpływem premiera Alexandre'a Milleranda jednak Polsce pomagała militarnie i kadrowo (doradcy), wysyłając do naszego kraju 1,5 tys. dział, 300 tys. karabinów i 2,8 tys. karabinów maszynowych. Na przeciwnym biegunie stała Wielka Brytania, której premier David Lloyd George spisał Polskę na straty w imię budowania poprawnych stosunków z Rosją sowiecką. A lodowatą obojętność na konflikt Polski z Sowietami objawiły najmocniej Stany Zjednoczone. Tak uwielbiany w Polsce prezydent Woodrow Wilson – w czasie, gdy czerwony zalewał Polskę – był zimny jako lód.

To Wilson był adresatem memoriału Hugh Gibsona, wysłanego do Białego Domu przez ambasadora amerykańskiego w Warszawie. „Wskazując na bezpośrednie zagrożenie niepodległości Polski przez atakującą Warszawę Armię Czerwoną, Gibson prosił, by prezydent Wilson zechciał zmobilizować swoim osobistym wystąpieniem zachodnich aliantów (zwłaszcza Wielką Brytanię) do adekwatnej reakcji na to zagrożenie nie Polski tylko, ale całego porządku europejskiego?". Jak brzmiała odpowiedź polityka, którego imieniem Warszawa uczciła plac na Żoliborzu? Posłuchajmy: „Drogi Panie Sekretarzu: Raczej nie mogę się zgodzić z sugestią pana Hugh Gibsona, ponieważ uważam, że minął już czas, kiedy moja osobista interwencja czy sugestia w dziedzinie polityki zagranicznej byłaby skuteczna, choć jestem głęboko zainteresowany wszystkim, co dotyczy Polski".

Na koniec książki Andrzej Nowak przypomina, że walka z sowieckim duchem falsyfikowania historii wcale się nie skończyła. Że putinowska władza zachęca coraz to nowych badaczy do pisania historii, w której to Polska napadała na miłujące pokój państwo Lenina. Tu najbardziej bulwersujące są oskarżenia wobec Polski o rzekome zamęczenie za linią frontu w 1920 r. aż 690 tys. rosyjskich jeńców czy wymyśloną opowieść o rzekomej masakrze polskich wojsk na 4 tys. Żydów w jednym z ukraińskich miasteczek.

Wojna o pamięć – także tę o roku 1920 – trwa. Nie łudźmy się, że ktoś nas zwolni z obowiązku udziału w tym sporze z rosyjskimi historykami, przestrzega Andrzej Nowak.

W czasie pandemii, gdy trudno się spodziewać widowiskowych obchodów wiktorii sprzed stu lat, potraktujmy lekturę tej książki jako prywatne regularne seminarium rocznicowe z dziedziny historii. Naprawdę warto.

ANDRZEJ NOWAK „KLĘSKA IMPERIUM ZŁA. ROK 1920"
BIAŁY KRUK 2020

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4e9f02f92

Rabowanie zbiorów Zachęty przez Niemców, Warszawa, lipiec 1944 r.

FOT. CAF/PAP

Z Tomaszem Bonkiem, dziennikarzem i pisarzem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Indiana Jones z bezpieki

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Legendę „złotego pociągu” stworzyli komuniści?

TOMASZ BONEK: Ta historia zaczyna się tuż po drugiej wojnie światowej. W zniszczonej Polsce żyje się biednie. Brakuje dosłownie wszystkiego. Nie lepiej jest nawet na tzw. Ziemiach Odzyskanych – odbity Dolny Śląsk leży w gruzach, a pionierzy państwa, próbując organizować życie, szukają wszelakich dóbr, które pozostawili tu Niemcy: maszyn, żywności, paliw, metali kolorowych i innych materiałów. No i złota.

W końcu kilka resortów, razem z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego, zawiązuje spółkę, która ma się zająć pozyskiwaniem mienia – nazywają ją Przedsiębiorstwem Poszukiwań Terenowych. Jej inspektorzy współpracują ściśle z ubekami, prowadzą śledztwa, przesłuchują świadków, ogłaszają w prasie, że będą płacić nagrody za informacje, które mogą doprowadzić ich do odkrycia czegokolwiek cennego. Tak zaczyna się wielkie PRL-owskie poszukiwanie, które trwać będzie aż do 1989 r. Oczywiście nie tylko złota, lecz także wszystkiego, co cenne.

W latach 90. na Dolnym Śląsku wybucha natomiast faktyczna gorączka złota. Inspiruje ją emerytowany major SB, który – po połknięciu bakcyla poszukiwania skarbów – prawdopodobnie mocno wierzy w historię, którą sam skrzętnie przez lata kreuje. Przekonuje więc kilkoro dziennikarzy, że warto zainteresować się tematem, a ponieważ narracja jest niemalże bajkowa, wielu redaktorów ją podchwytuje. Piszą o tym, że pod Śnieżką leżą zakopane depozyty cennych dzieł sztuki i złota pozostawionego przez Niemców uciekających z Breslau. Że w sztolniach góry Wielisławki, podziemiach Lubiąża, Twierdzy Kłodzkiej i w Górach Sowich na pewno są skarby. W końcu na ekrany telewizorów i łamy prasy wjeżdża „złoty pociąg”...

Co ów mityczny skład przewoził?

Na przestrzeni kilkudziesięciu lat funkcjonowało kilka wersji dotyczących ładunku. Raz miało to być kilkadziesiąt ton złota w sztabkach pochodzących ze skarbców banków Breslau oraz prywatne depozyty oddane na przechowanie przez mieszkańców miasta. Później ktoś do tego dołożył rzekomy transport pieniędzy z Tschenstochau (czyli Częstochowy), aż w końcu opowiadano także o przemysłowej platynie, a nawet bezcennych dziełach sztuki.

Odnalezienie tego wszystkiego miało stanowić remedium na krach ekonomiczny Polski Ludowej?

Trzeba pamiętać, że w zrujnowanym po latach rozbiorów kraju, który odzyskał niepodległość raptem na dwie dekady i znów został dotknięty pożogą, bieda aż piszczała. Po 1945 r. brakowało dosłownie wszystkiego. Izolacja za żelazną kurtyną i informacje o bogactwie Zachodu stymulowały marzenia o skarbach, bo ich odnalezienie mogłoby odmienić życie. Marzyli wszyscy, nawet PRL-owscy dygnitarze, którzy uwierzyli w opowieści i konfabulacje kilku naiwniaków. Szukali więc „niemieckiego sezamu” bardzo poważnie, na wielką skalę, angażując w to ministerstwa, wojsko, służbę bezpieczeństwa, naukowców, milicję, instytucje publiczne, a nawet radiestetów i dziennikarzy. Istne szaleństwo!

Animatorów stanu wojennego inspirował Indiana Jones?

Jeden z bohaterów mojej książki, odpowiadający w latach 80. za dolnośląskie zabytki, opowiedział mi, że pod jednym z wrocławskich kin spotkał esbeka, który właśnie obejrzał film o tym ekranowym herosie. Wiedział już, że od dłuższego czasu namawia on swoich przełożonych do intensywnego poszukiwania skarbów ukrytych przez Niemców, a kiedy opowie-

eprasa.pl c4e9f02f92

dział o tym zdarzeniu kilku swoim współpracownikom, ci zaczęli funkcjonariusza od razu nazywać doktorem Jonesem.

Esbek miał tymczasem fantazję, dostęp do zeznań tajnych współpracowników, akt operacyjnych, a także dokumentacji komisji ścigania zbrodni hitlerowskich, dla której również pracował. Przy tym umiał pisać, więc tworzył analizy, elaboraty, zestawiał fakty, resztę dopowiadał. Raporty słał do Warszawy, aż trafiły m.in. na biurko gen. Kiszczaka, który właśnie został szefem MSW. Wówczas w ruch poszły nawet koparki.

Tutaj pojawia się Günther Grundmann.

Raporty owego esbeka wysyłane do Warszawy zawierały m.in. informacje o tym, że udało się rozszyfrować tajną listę kilkudziesięciu skrytek z dziełami sztuki, które miał na Dolnym Śląsku w ostatnich latach wojny zorganizować właśnie ów prowincjonalny konserwator zabytków z Breslau. Trafiały do nich bezcenne przedmioty z muzeów i prywatnych kolekcji. Ten gorliwy urzędnik III Rzeszy rzeczywiście otrzymał takie zadanie. Tyle że on nie ukrywał skarbów, ale wywoził cenne przedmioty do zamków, pałaców, rezydencji i kościołów, aby tam je zabezpieczyć przed działaniami wojennymi. Większość z nich odzyskano tuż po wojnie. Sporo jednak zaginęło.

Dużo mniej znany jest Herbert Klose...

To kolejna postać będąca źródłem legendy o „złotym pociągu”. Był aspirantem sztabowym w prezydium policji w Breslau. Po wojnie osiedlił się w domu rodziców swojej żony, pod górą Wielisławką w okolicach Złotoryi. Opowiedział wtedy inspektorowi Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych, że w sztolniach, tuż przy jego domu, Niemcy mogli coś ukryć. PPT jednak niczego tam nie znalazło. Kilka lat później, po donosach sąsiadów, Klose wpadł w ręce UB. Posądzany o działalność dywersyjną przeciwko Polsce, prawdopodobnie brutalnie przesłuchiwany, wymyślił historię złota ukrytego w budynku policji w Breslau, gdzie pracował. Mówił, że pilnował 56 skrzyń ze sztabami, które następnie tajemniczy mjr Egon Ollenhauer miał wywieźć i ukryć gdzieś w okolicach.

Poszukiwacze podążali za widmem?

Początkowo w opowieści Klosego mało kto wierzył. Nawet ubekom ze Złotoryi wydały się mało prawdopodobne. Podejrzewali, że przesłuchiwany chce ich wywieść w pole, zmienić kierunek śledztwa, gdyż się boi, iż będą grzebać w jego wojennej przeszłości, może wyciągną mu przynależność do Policji Bezpieczeństwa etc. Sprawa trafiła jednak na podatny grunt we Wrocławiu, gdzie nadzorował ją oficer z żyłką poszukiwacza skarbów, tropiciel Werwolfu.

Zrabowanych przez Niemców kosztowności i antyków strzegł Werwolf?

Tudzież inne niemieckie organizacje podziemne, działające tuż po wojnie na tzw. Ziemiach Odzyskanych, organizowały sobie skrytki z bronią, żywnością, odzieżą, pieniędzmi. Trafiali na nie śledczy. Myśleli, że skoro chowali tego typu dobra, to pewnie też pilnują olbrzymiego majątku, który wielu uciekających po wojnie Niemców mogło zostawić w pobliżu swoich dawnych domów.

Dlaczego reportaż o skarbach III Rzeszy ukrytych na Dolnym Śląsku zatrzymała cenzura?

Cykl prowokacyjnych audycji inspirowanych przez SB został wyemitowany na antenie Polskiego Radia Wrocław w latach 70. Ich bohaterem był Klose, który opowiadał o wywożeniu złota z Breslau przez ekipę Ollenhauera. Ci sami dziennikarze opracowali też reportaże telewizyjne. O sprawie zrobiło się głośno nawet za granicą. Zainteresowała się nią m.in. jedna z niemieckich telewizji, która chciała zakupić prawa do jej sfilmowania i przyjechać na zdjęcia do Polski. W MSZ i MSW ktoś się przestraszył, ponieważ plotka niosła, że Niemcy pod pretekstem realizacji dokumentu sami zaczną szukać złota, i zablokował zarówno emisję cyklu w TVP, jak i przyjazd filmowców zza zachodniej granicy.

A tymczasem skarbce banków w Breslau opróżnili Sowieci?

Nie chcę zdradzać rozwiązania zagadki, odsyłam do książki. Powiem jedynie, że już w maju 1945 r. do Wrocławia przybyła specjalna brygada Armii Czerwonej, która zajęła budynki kilku banków, kilka miesięcy wcześniej z miasta wyruszyły zaś na zachód transporty, także kolejowe, wywożące rozmaity dobytek lokalnych instytucji finansowych. Część dotarła do Essen i Erfurtu, ale niektóre pozostały na Dolnym Śląsku...

TOMASZ BONEK „ZAGINIONE ZŁOTO HITLERA” ZNAK HORYZONT 2020

MSW tropiło też „Bursztynową Komnatę”...

Poszukiwania intensyfikowały się wraz ze śledzeniem wszelkich dokumentów umożliwiających postawienie przed międzynarodowymi trybunałami zbrodniarzy hitlerowskich. W 1964 r. te zbrodnie miały się w Niemczech przedawnić, więc służby specjalne krajów bloku wschodniego próbowały wszelkimi metodami do tego nie dopuścić. W to wszystko wkomponowały się m.in. zeznania Ericha Kocha, więzionego przez wiele lat w Barczewie, byłego gauleitera Prus Wschodnich, który dał do zrozumienia esbekom, że zna losy „Bursztynowej Komnaty”.

Zainteresowanie notabli pohitlerowskim sezamem nie minęło wraz z końcem PRL.

W marcu 2019 r. otrzymałem e-mail od przedstawiciela pewnej fundacji, który twierdził, że jest w posiadaniu „dzienników wojennych”, w których niemiecki oficer Michaelis relacjonuje, gdzie i jak, oczywiście razem z Grundmannem i Ollenhauerem, ukrywał tony złota i dziesiątki dzieł sztuki.

W 2015 r. cały świat obiegła natomiast plotka o rzekomym odnalezieniu miejsca ukrycia „złotego pociągu”.

W latach 90. do ministra środowiska Stanisława Żelichowskiego zgłosił się informator wskazujący miejsce ukrycia skarbów na Dolnym Śląsku. Po tym, jak zgodę wydał ówczesny wicepremier Grzegorz Kołodko, zaczęto ich szukać.

Jeszcze wcześniej do polskiej ambasady w RFN przyszedł list z propozycją wskazania, oczywiście w zamian za nagrodę, miejsca ukrycia skarbu wywiezionego z Krakowa przez Hansa Franka…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Bonek – dziennikarz, pisarz, tropiciel i odkrywca sekretów Dolnego Śląska. Autor książek: „Przeklęty skarb”, „Miasto skarbów”, „Lubiąż, klasztor mrocznych tajemnic”, „Zaginione złoto Hitlera. Bezpieka PRL na tropie skarbu Festung Breslau”.

eprasa.pl c4e9f02f92

FOT. GARY CAMERON/REUTERS/FORUM

Zły dotyk wujka Joe?

Jacek Przybylski

Pół roku przed wyborami prezydenckimi demokraci w USA sami zapędzili się w pułapkę. Ich faworyt do pokonania Donalda Trumpa został oskarżony o napastowanie. Joe Biden zapewnia, że to kłamstwo. Lewicowe aktywistki z #MeToo nagle zaczęły zaś wątpić, czy rzeczywiście „zawsze wierzyć kobiecie"

Śpiący Joe. Do tej pory to właśnie to określenie, wymyślone zresztą przez Donalda Trumpa, było najsłynniejszym przezwiskiem 77-letniego senatora Joe Bidena. Republikanie się z niego śmiali. Cieszyli się nawet demokraci. W prezydenckich prawyborach udało im się bowiem wybrać – co prawda – rzeczywiście nieco nudnawego, ale za to tzw. bezpiecznego kandydata.

Długoletni amerykański senator, który w razie wygranej w listopadowych

eprasa.pl c4e9f02f92

wyborach zostałby najstarszym prezydentem w historii Ameryki, nie bez powodu nazywany był przecież przez swoich sympatyków „wujkiem Joe". Słynął co prawda z gadulstwa, a jego skłonność do gaf stała się legendarna, ale ogromne polityczne doświadczenie sprawiało, że demokraci ze spokojem patrzyli w przyszłość. Wprawdzie Biden nigdy nie był wymarzonym kandydatem Amerykanek – już rok temu członkinie Partii Demokratycznej zwracały uwagę na to, że były wiceprezydent cierpi na niebezpieczny „nawyk" zbyt długiego obejmowania kobiet, głaskania ich, wąchania ich włosów, całowania w szyję, a także fundowania niezamawianych „masaży pleców" – to jednak dla większości partyjnych aktywistek miał jedną zasadniczą zaletę: ogromne szanse na pokonanie znienawidzonego przez lewicę Donalda Trumpa.

Wiele obściskiwanych pań, które są znajomymi Bidena i jego żony, w zeszłym roku stanęło więc w jego obronie, mimo że czule przytulane nieznajome kobiety nie zawsze chętnie zgadzały się z oceną „wujaszka Joe", który podkreślał, że jego czułości są czysto przyjacielskie i nie mają charakteru erotycznego. Jeszcze przed oficjalnym rozpoczęciem kampanii prezydenckiej siedem kobiet wprost zarzuciło Bidenowi, że dotykał je w sposób, który sprawił, iż czuły się niekomfortowo. – Zanim kogoś uściskasz, zapytaj, czy możesz – przypomniała więc słynna amerykańska feministka Gloria Stein. A były wiceprezydent grzecznie przeprosił i obiecał, że będzie poświęcał więcej uwagi „respektowaniu strefy osobistej" różnych osób.

W PODZIEMIACH SENATU

W pierwszych miesiącach 2020 r. Joe Biden, korzystając z zamieszania, które wywołała pandemia, błyskawicznie pokonał zaś kilkunastu rywali w walce o partyjną nominację i pewny siebie czekał już tylko na konwencję Partii Demokratycznej, podczas której oficjalnie ma być ogłoszony kandydatem na prezydenta.

Ostatnie tygodnie przyniosły jednak dużo poważniejsze oskarżenie, które może przekreślić kandydaturę Joe Bidena lub przynajmniej znacząco zmniejszyć możliwość jego wygranej. Niemal pewny rywal urzędującego prezydenta zaczął być nagle nazywany „obleśnym Bidenem". Tara Reade, była pracownica senackiego biura Bidena, asystentka ds. programu stażowego, w marcu oskarżyła go bowiem publicznie o molestowanie seksualne, niewybredne komentarze o seksualnym zabarwieniu, a także o napaść seksualną z użyciem siły fizycznej. W 1993 r. ówczesny senator ze stanu Delaware miał przycisnąć ją do ściany w podziemnym korytarzu jednego z senackich budynków i dotykać w miejscach intymnych.

Chociaż do napaści seksualnej miało dojść 27 lat temu, to pani Reade ma na poparcie swych oskarżeń więcej niż tylko złe wspomnienia. Tuż po incydencie kobieta opowiedziała wszystko matce. Ta zaś – jak ujawnił w ostatnich dniach magazyn „The Intercept" – w 1993 r. dodzwoniła się do telewizyjnego programu Larry'ego Kinga i oznajmiła, że jej córka jest „molestowana przez prominentnego senatora". Nie podała jednak żadnego nazwiska.

Tara Reade twierdzi także, że złożyła pisemną skargę na skandaliczne zachowanie senatora swoim szefom. Jej przełożeni zignorowali wówczas doniesienie na Bidena, a sama pokrzywdzona w efekcie skargi została zdegradowana, co sprawiło, że zdecydowała się odejść z pracy. Kluczowe w tej sprawie może się okazać drugie pismo – Tara Reade skargę miała bowiem zgłosić również do działu kadr senatu.

– Był moim szefem i naprawdę go lubiłam oraz to, co sobą reprezentował. Po napaści seksualnej byłam zdruzgotana. Był przecież w wieku mojego ojca. Był moim szefem – opowiadała w ubiegłym tygodniu 56-letnia obecnie Tara Reade w wywiadzie dla tygodnika „Time", tłumacząc, że dopiero teraz opowiedziała publicznie o napaści sprzed lat, bo odwagi dodały jej oskarżenia wysuwane wobec Bidena w ciągu ostatnich miesięcy również przez inne kobiety.

Nie trzeba było długo czekać, aby internauci przemianowali „wujaszka Joe" na „obleśnego Bidena". Sam oskarżony kilka tygodni unikał tego tematu, a jego sztabowcy próbowali zbyć kwestię oskarżeń, podkreślając wielkie zasługi senatora w walce przeciw przemocy domowej. Gęstniejącą atmosferę skandalu próbowały rozproszyć również tak istotne działaczki Partii Demokratycznej jak senator Kirsten Gillibrand oraz Stacey Abrams – która ma wielką nadzieję na to, że zostanie oficjalnie wskazana przez Joe Bidena jako kandydatka na wiceprezydenta. Obie zgodnie oświadczyły publicznie, że wierzą w niewinność byłego wiceprezydenta. Nic to jednak nie dało. Afera stała się zbyt głośna, aby dało się ją zamieść nawet pod skrywający wiele wyjątkowo śmierdzących brudów waszyngtoński dywan.

Biden milczenie w tej sprawie przerwał jednak dopiero 1 maja, gdy do odniesienia się do zarzutów wzywały go już nie tylko prawicowe, lecz także czołowe lewicowe media. – To nie jest prawdą, to się nie wydarzyło. Kropka – oświadczył Biden w wywiadzie na antenie telewizji MSNBC, podkreślając, że tego typu oskarżenia są absurdalne. – Nie wiem, dlaczego ona to mówi. Nie wiem, dlaczego po 27 latach nagle pojawia się taka sprawa. Nie rozumiem tego – przekonywał były zastępca Baracka Obamy. Dlaczego skoro nic się nie wydarzyło, to tak długo czekał z tak prostym komunikatem, który – jeśli to prawda – mógłby szybko zakończyć sprawę? Tego nie wiadomo.

NIE WIERZ NIGDY KOBIECIE

Wiadomo jednak, że Bidena na razie ratuje epidemia koronawirusa. Przy śmierci dziesiątek tysięcy bledną nawet największe waszyngtońskie seksskandale. Jest jednak pewne, że zwolennicy Donalda Trumpa w szczytowym momencie kampanii mogą zapytać, czy Biden nie jest przypadkiem przestępcą seksualnym.

Oskarżenia ze strony Tary Reade i lakoniczne zaprzeczenie ze strony Joe Bidena postawiły również w wyjątkowo trudnej sytuacji rzeszę zwolenniczek #MeToo. Hashtag tego ruchu zrobił furorę w wielu krajach świata, dając wielu ofiarom molestowania odwagę do wysunięcia publicznych oskarżeń wobec ich oprawców. Wsparcie milionów kobiet doprowadziło m.in. do postawienia przed sądem słynnego producenta filmowego i laureata Oscara Harveya Weinsteina, który w marcu 2020 r. za gwałt i molestowanie usłyszał wyrok 23 lat więzienia.

Oczywiście zwolenniczki Partii Demokratycznej nie miały żadnych wątpliwości, komu ufać w tego typu sprawach, gdy oskarżonym był ktoś ze środowiska Partii Republikańskiej. Od trzech lat konsekwentnie przekonywały bowiem, że urzędnicy, dziennikarze czy szefowie wielkich korporacji w sprawach o molestowanie powinni po prostu

eprasa.pl c4e9f02f92

„wierzyć kobiecie". Kiedy więc Christine Blasey Ford oskarżyła o molestowanie republikańskiego kandydata do Sądu Najwyższego Bretta Kavanaugha, lewicowe aktywistki stanęły za nią murem. Solidarnie broniły pani Ford, mimo że w jej zeznaniach było mnóstwo nieścisłości, a na poparcie swoich oskarżeń kobieta nie miała żadnych dowodów poza własnymi wspomnieniami. Pani Ford bezwarunkowo uwierzyły też wówczas prominentne działaczki Partii Demokratycznej: spikerka Izby Reprezentantów Nancy Pelosi oraz propagatorka ruchu #MeToo Stacey Abrams.

„Niewygodna prawda jest taka, że ta historia dotyka nas w inny sposób, bo uderza w serce najważniejszych wyborów naszego życia" – zauważyła Tarana Burke, jedna z założycielek ruchu #MeToo. Wiele aktywistek tym razem nie chce więc „wierzyć kobiecie"

Kobiety walczące po latach z seksualnymi predatorami popierał też wówczas sam… Joe Biden.

– Od początku mówiłem, że jeśli kobiety występują publicznie i twierdzą, że coś takiego im się przytrafiło, to należy przyjąć założenie, że mówią prawdę. Następnie trzeba przyjrzeć się okolicznościom i faktom. I tak też uważam teraz. Kobiety mają prawo być wysłuchane, ale na końcu liczy się prawda. A w tym wypadku oskarżenia są po prostu fałszywe – broni się teraz były wiceprezydent.

Reporterzy dziennika „The New York Times" – których trudno oskarżać o sympatię do Donalda Trumpa – dotarli już jednak do dwóch kobiet, które potwierdzają przynajmniej część słów pani Reade. Mimo to prominentne działaczki Partii Demokratycznej w sprawie oskarżeń wobec Joe Bidena nie chcą „wierzyć kobiecie". Widmo potencjalnego seksualnego drapieżnika w szeregach Partii Demokratycznej sprawiło, że niektóre gorące zwolenniczki ruchu #MeToo nagle zmieniły zdanie, co do prawdomówności kobiet, które nagle po latach przypominają sobie, że ktoś dawno temu je molestował. „W apelu o to, by wierzyć kobietom, nigdy nie chodziło o »dawanie wiary wszystkim kobietom bez względu na to, co mówią«, ale o zmianę kultury, w której kobietom z założenia się nie wierzy" – napisała w swoim felietonie 47-letnia Alyssa Milano, aktorka i jedna z liderek ruchu #MeToo, podkreślając, że nadal popiera kandydaturę Joe Bidena.

Mimo lewicowego zaślepienia po stronie pani Reade opowiedziała się część aktywistek ruchu #MeToo, niektóre zwolenniczki Berniego Sandersa i wiele Amerykanek z prawej strony sceny politycznej. Po stronie domniemanej ofiary stanęła m.in. aktorka Rose McGowan, jedna z ważnych postaci w ruchu #MeToo. Wezwała jednocześnie Joe Bidena do porzucenia marzeń o Białym Domu, a Partię Demokratów wprost nazwała „sektą". – Jesteś oszustką – zwróciła się też wprost do wspomnianej wyżej Alyssy Milano, podkreślając, że Milano, która wcześniej ścigała Trumpa i Kavanaugha, a teraz wzięła stronę Bidena, stała się niewiarygodna.

Za „wiarygodną" Tarę Reade uznał też prezydent Donald Trump. Część lewicowych feministek czeka więc, aż ktoś im wreszcie powie, co mają teraz myśleć. „Niewygodna prawda jest taka, że ta historia dotyka nas w inny sposób, ponieważ uderza w serce najważniejszych wyborów naszego życia. Przykro mi was rozczarować, ale nie mam tu łatwej odpowiedzi" – napisała na Twitterze Tarana Burke, jedna z założycielek ruchu #MeToo.

DEMOKRACI W TARAPATACH

Niezależnie od tego, jak rozwinie się sprawa oskarżeń wobec byłego wiceprezydenta, elity Partii Demokratycznej wpadły w nie lada tarapaty. Jeśli zlekceważą tak poważny zarzut, to zostaną oskarżone o wielką hipokryzję i mogą stracić nie tylko szansę na odbicie Białego Domu, lecz także większość w Izbie Reprezentantów. Jeżeli z kolei pozwolą na publiczne śledztwo w tej sprawie, to znacząco osłabią szanse Bidena na zwycięstwo w listopadowych wyborach prezydenckich. Dotąd to przecież Donald Trump – znany z niewyparzonego języka – był oskarżany o gwałt i napaść seksualną, a jego komentarze dotyczące kobiet budziły zażenowanie nawet wśród jego największych zwolenników. Jeśli więc „wujek Joe" to tak naprawdę „obleśny wujaszek", to wielu młodych wyborców, a także wiele kobiet podczas listopadowych wyborów po prostu zostanie w domach. Aby temu zapobiec, elity Partii Demokratycznej walczą o potężną broń, a więc o zgodę Michelle Obamy na to, by u boku Bidena walczyła ona o urząd wiceprezydenta. Gdyby to się demokratom udało – na razie Biden obiecał jedynie, że kandydatem na wiceprezydenta będzie kobieta – to żona Baracka Obamy byłaby w stanie zmobilizować do głosowania zarówno elektorat czarnoskórych mieszkańców USA, jak i miliony Amerykanek zawiedzionych poziomem amerykańskich polityków.

Na razie w przedwyborczych sondażach wciąż prowadzi kandydat Partii Demokratycznej. Sprzyja mu bowiem pogłębiający się w Stanach Zjednoczonych kryzys gospodarczy, wywołany pandemią koronawirusa, który uderza w notowania Trumpa.

Amerykanie to Joe Bidena uważają też za bardziej kompetentnego w walce z pandemią COVID-19, a akurat odpowiedź na to pytanie będzie kluczowa dla wyniku listopadowych wyborów w Ameryce. Dzięki temu „wujek Joe" wygrywa z Trumpem zarówno w całej Ameryce (według średniej ze wszystkich sondaży 47,6 do 42,3 proc.), jak i w pięciu z sześciu kluczowych dla zwycięstwa w wyborach stanów, takich jak Pensylwania, Floryda, Wisconsin, Michigan czy Arizona. Lewica wciąż marzy więc o odzyskaniu Białego Domu i upokorzeniu Donalda Trumpa, który przeszedłby do historii jako prezydent jednej kadencji.

Zwolennicy prezydenta Trumpa słusznie zarzucają jednak demokratom koszmarną hipokryzję i stosowanie podwójnych standardów. I choć niektóre aktywistki #MeToo mogą uznać, że lewicowi politycy mają większe prawo do molestowania niż ich prawicowi odpowiednicy, to tak jawne zakłamanie waszyngtońskich elit może sprawić, że na samą myśl o czołowych politykach młodym wyborcom będzie się robić mdło. I nie tylko im.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4e9f02f92

FOT. VALERY SHARIFULIN/TASS/FORUM

KIM ŻYJE, A KOREA STRZELA

W europejskich mediach uznano, że skoro Kim Dzong Un się nie pokazuje, to nie żyje. Zaczęto nawet rozstrzygać, kto po nim zostanie kolejnym dyktatorem w Korei Północnej. Okazało się jednak, że Kim żyje. Pokazał się na ceremonii otwarcia fabryki nawozów. Dyktator wrócił zresztą „z przytupem" – na granicy Korea Północna ostrzelała posterunek Korei Południowej, na co ostrzelani też odpowiedzieli ogniem.

LEKARZE LECĄCY Z OKIEN

Do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy" już trzech rosyjskich lekarzy wypadło z okien budynków. Wszystkich łączą sprawy związane z koronawirusem. Najpierw „nieszczęśliwy wypadek" spotkał lekarkę pogotowia spod Moskwy, która miała być oskarżana przez zwierzchników o zarażenie pacjentów koronawirusem. Potem zginęła, wypadając z okna, lekarka z Krasnojarska, która sprzeciwiała się przekształceniu jednego z bloków placówki w lecznicę dla pacjentów z COVID-19. Ostatni wypadł z okna lekarz pogotowia z obwodu woroneskiego. Był zarażony koronawirusem i twierdził, że zwierzchnicy nadal zmuszają go w tej sytuacji do pracy.

PAPAJA MA KORONAWIRUSA

W Tanzanii prezydent kraju zakwestionował statystyki dotyczące zarażeń COVID-19 i w związku z tym zlecił kontrolę miejsc, gdzie trafiały testy wykrywające koronawirusa. W ramach tej kontroli miano potajemnie testować m.in. zwierzęta, rośliny oraz olej silnikowy. Okazało się, że próbki pobrane od kozy i z papai według laboratorium dały wynik pozytywny, czyli wykazały istnienie koronawirusa.

PLAŻA ODKAŻONA

Zahara de los Atunes to kurort położony niedaleko Kadyksu. Jego władze postanowiły przed sezonem przygotować plaże dla potencjalnych wypoczywających. Żeby pozbyć się koronawirusa, wypuszczono ciągniki, które przejechały 2 km plaży i pokropiły ją… wybielaczem. W ten sposób zabito nie tylko wirusa, ale dokładnie wszystko. Zdewastowano lokalny ekosystem. Władze ostatecznie przyznały, że pryskanie wybielaczem to był błąd. Ale dodały, że intencje miały dobre.

URZĘDNIK Z PIWEM NA WIZJI

W kalifornijskim Vallejo odbyło się internetowe posiedzenie komisji planowania miasta. Jej szef Chris Platzer popijał piwo, a w pewnym momencie przedstawił wszystkim do kamery swojego kota, którego potem rzucił gdzieś poza kadr. Krótko po tych ekscesach pan Platzer zrezygnował ze stanowiska. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Kto bogatemu zabroni?

X Æ A-12. To nie jest wiadomość od kosmitów (choć odtajnione niedawno przez Pentagon nagrania „niezidentyfikowanych zjawisk na niebie" mogą dać nowe argumenty miłośnikom teorii spiskowych).

X Æ A-12 to imię nowo narodzonego syna Elona Muska. Oj, przepraszam, efekt pracy w „zacofanej" redakcji: oczywiście, nie „syna", ale istoty bezpłciowej, która wolą rodziców sama określi swoją płeć (gdy tylko psychologowie pomogą X Æ A-12 uporać się z traumą z dzieciństwa).

Maluch będzie musiał nieustannie tłumaczyć rówieśnikom, że – jak ogłosiła na Instagramie jego mamusia – „X to nieznana zmienna. Æ to moja elfia pisownia słowa Ai (miłość i/lub sztuczna inteligencja). Dalsza część imienia A-12 to ukłon w stronę samolotu CIA A-12, będącego prekursorem SR-17 (nasz ulubiony samolot)". Litera „A" ma być jednocześnie symbolem Archanioła (ulubionej piosenki mamusi), a liczba „12" znaku szczura w chińskim horoskopie. Według rodziców X Æ A-12 wymawia się po prostu… „Sasha". Oczywiście miliarder i jego dziewczyna-piosenkarka mogli mocniej skrzywdzić syna, nazywając go np. „Epidemią COVID-19" (w XVIII i XIX w. niektórzy nazywali przecież dzieci Epidemią Cholery czy Sądem Ostatecznym).

Nadanie dziwacznego imienia przez Elona Muska to niezły chwyt marketingowy, który odwrócił uwagę mediów od tweetów Muska z 1 maja. „Akcje Tesli są zbyt drogie" – ćwierknął wówczas miliarder, przez co cena spółki na giełdzie spadła o 10 proc., zmniejszając wartość spółki o 14 mld dol. Kurs już odbił, ale część analityków uznała, że rada nadzorcza powinna zakazać miliarderowi zbliżania się do Twittera. Ale kto bogatemu zabroni? ©℗

eprasa.pl c4e9f02f92

Klęski Erdoğana

Witold Repetowicz

Recep Tayyip Erdoğan mógłby się cieszyć, że koronawirus odwrócił uwagę od jego dwóch wielkich porażek – zmuszenia Turcji przez Rosję do zaakceptowania jej warunków gry w Syrii oraz odparcia ataku demograficznego przez Grecję – gdyby nie to, że Turcja nie odniosła sukcesu również na polu walki z pandemią

Gdy 27 lutego, w odpowiedzi na zabicie ponad 30 tureckich żołnierzy w starciu pod miastem Sarakib w syryjskim Idlibie, Erdoğan ogłosił rozpoczęcie interwencji w Syrii, w Europie, w tym w Polsce, nie brakowało głosów zachwytu. W kolejnych dniach Turcja wydawała triumfalistyczne komunikaty o zabiciu tysięcy żołnierzy syryjskich, zniszczeniu kolejnych baz, czołgów, samolotów etc. w ramach swojej operacji „Wiosenna Tarcza". Pokazywała nawet nagrania, które były analizowane przez takie światowe autorytety militarne jak gen. Ben Hodges, który dowodził siłami USA w Europie. Niektórzy wieszczyli wojnę rosyjsko-turecką, a z całą pewnością koniec „chwilowego" sojuszu Turcji i Rosji. A Erdoğan stawiał sprawę jasno: jeśli Al-Asad nie wycofa się poza linię deeskalacji uzgodnioną przez Turcję, Rosję i Iran w 2018 r. w ramach tzw. formatu astańskiego, to poczuje całą moc tureckiej armii i zostanie zniszczony.

Głosy podważające wiarygodność tureckich komunikatów wojennych zagłuszane były antyrosyjską euforią. Turcja w opinii, a raczej sennych zwidach, wielu komentatorów miała zadać śmiertelny cios rosyjskiej polityce w Syrii. „Szczegół" polegający na tym, że Erdoğan ani przez chwilę nie obarczył Rosji odpowiedzialnością za śmierć swoich żołnierzy, tylko wskazał Al-Asada jako winnego, nie wzbudzał żadnych wątpliwości u zwolenników tych tez. Podobnie jak to, że w tym samym czasie odbywały się kolejne wspólne patrole rosyjsko-tureckie na kurdyjskich terenach Syrii Północno-Wschodniej. A gdy zapowiedziane zostały rozmowy Erdoğana z Putinem w Moskwie, np. „The Economist" ogłosił, że Turcja zmusiła Rosję do rozmów na temat Idlibu.

UPOKORZENIE NA KREMLU

W końcu marca wszystko to wydawało się prehistorią. Rzekomo całkowicie zniszczona armia syryjska już 3 marca odbiła strategiczne miasto Sarakib, co oznaczało koniec tak szumnie ogłoszonej przez Turcję i podziwianej przez świat zachodni operacji „Wiosenna Tarcza". Nie dotrwała ona do wiosny, umarła po cichu po zaledwie pięciu dniach. Syryjska armia, oczywiście z pomocą Rosjan, bardzo szybko odbiła niemal wszystkie tereny zdobyte po 27 lutego przez Turcję i wspieranych przez nią dżihadystów.

Natomiast 5 marca Erdoğan przybył na Kreml, gdzie czekało go upokarzające powitanie. Już po tej wizycie świat obiegło nagranie, z premedytacją zresztą upublicznione przez rosyjską telewizję, jak Erdoğan i jego świta, w tym jego zięć, a zarazem minister finansów Berat Albayrak, szef dyplomacji Mevlüt Çavuşoğlu i minister obrony, a zarazem jeden z głównych zwolenników opcji eroazjatyckiej w Turcji, gen. Hulusi Akar, przez dwie minuty przestępują z nogi na nogę pod zamkniętymi drzwiami, oczekując na kiwnięcie, że Putin jest już gotowy przyjąć tureckiego przywódcę. Zbliżenia twarzy Erdoğana, dokonywane przez rosyjskich operatorów, nie pozostawiały wątpliwości, że przekaz gospodarza Kremla został właściwie odczytany przez jego gościa z Ankary. Żeby jeszcze bardziej upokorzyć Turków, Rosjanie obstawili całe miejsce portretami i popiersiami carskich pogromców Turcji, takich jak Katarzyna II czy feldmarszałek Aleksandr Suworow.

Putin doskonale wiedział, że może sobie na to pozwolić, a Erdoğan w odpowiedzi nie zerwie rozmów i i tak podpisze wszystko, czego zażąda Rosja. Wbrew pozorom taktyka Putina od samego początku była całkowicie zrozumiała. Po zabiciu tureckich żołnierzy pod Sarakibem dał Turcji kilka dni na dokonanie odwetu. Z jednej strony bowiem Erdoğan jest idealnym dla Putina liderem Turcji, więc polityka rzucania go

eprasa.pl c4e9f02f92

Prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan (z lewej) i prezydent Rosji Władimir Putin
FOT. MIKHAIL SVETLOV/GETTY IMAGES

na kolana mogłaby doprowadzić do jego upadku, a to nie byłoby korzystne dla Kremla. Z drugiej zaś strony Rosja lubi od czasu do czasu przypominać Al-Asadowi, kto tam rządzi i że bez rosyjskiej pomocy jest bezradny.

Spełnienie żądań Turcji, aby Al-Asad dobrowolnie wycofał się z terenów zdobytych od rozpoczęcia jego ofensywy w grudniu 2019 r., oczywiście nie wchodziło w grę. Erdoganowi zależało natomiast na tym, by Rosja pozwoliła mu na utrzymanie kontroli nad jakimś skrawkiem Idlibu, by mógł zachować twarz i ogłosić rzekomy sukces, tj. zmuszenie Rosji do ogłoszenia zawieszenia ognia. Fakt, ofensywa została zatrzymana, ale za cenę zgody Turcji na dobrowolne oddanie pod kontrolę Rosji znacznych terenów w Idlibie oraz wspólnych patroli na strategicznej autostradzie łączącej Aleppo z Latakią. Tymczasem przed 27 lutego siły Al-Asada były jeszcze dalekie od dojścia do tego ważnego szlaku komunikacyjnego. Ponadto gdy Erdoğan gościł na Kremlu, w Idlibie zginęło kolejnych dwóch żołnierzy tureckich i już nie było mowy o „odwecie" ani pokazaniu „siły tureckiej armii". Podobnie było 19 marca, gdy zginęło kolejnych dwóch żołnierzy tureckich, tym razem w zasadzce zorganizowanej przez rozczarowanych dżihadystów. Turcja w odpowiedzi wycofała się z dwóch miasteczek w tym rejonie. A na autostradzie Aleppo-Latakia pojawiły się patrole rosyjsko-tureckie, co zresztą doprowadziło do protestów i starć oddziałów tureckich ze wspieranymi przez nich dotychczas dżihadystami, w których zginęli kolejni tureccy żołnierze.

Niemal w tym samym czasie, gdy Erdoğan ogłaszał rozpoczęcie operacji „Wiosenna Tarcza", tureckie służby specjalne podstawiały w Stambule autobusy dla migrantów, by zwozić ich na granicę z Grecją. Turcja ogłosiła otwarcie granic, twierdząc, że rzekomo nie ma wyjścia ze względu na kryzys humanitarny w Idlibie. Setki tysięcy cywili rzeczywiście uciekało tam przed toczącymi się walkami, ale tylko znikomej części z nich udało się przedostać do Turcji i bynajmniej nie było ich wśród osób szturmujących grecką granicę. Byli za to wypuszczeni z więzień dżihadyści, czyli turecka wersja „zielonych ludzików". Tureccy żołnierze niszczyli też greckie instalacje graniczne, a na miejscu starć „uchodźców" z grecką strażą graniczną znaleziono pojemniki po gazie łzawiącym. Oczywiście Turcy próbowali wmówić opinii publicznej, że to Grecy atakowali nimi „uchodźców", którzy jedynie odrzucali od siebie gazowe pociski. Tyle że na pojemnikach były tureckie napisy mówiące o tym, że jest to własność wojska.

Erdoğan był przekonany, że zmusi Europę do dalszych ustępstw, a przy okazji zatrze złe wrażenie, jakie na tureckiej opinii publicznej mogła wywrzeć porażka jego „Wiosennej Tarczy". Nic bowiem lepiej by nie zadziałało na bardzo naiwne masy tureckich fanów sułtana jak widok europejskich przywódców u jego stóp. Tak jak to się działo w 2015 r. Tym razem jednak większość europejskich liderów poparła Grecję. Turcja starała się jeszcze uaktywnić „pożytecznych idiotów", zasypując zachodnie media fejkowymi lub zmanipulowanymi materiałami ukazującymi rzekomą brutalność i brak humanitaryzmu greckich służb. Grecja jednak wytrwała i tylko bardzo niewielkiej liczbie migrantów udało się przekroczyć granicę.

GOSPODARKA NA ŁOPATKACH

To jednak również jest już prehistoria, gdyż niespełna trzy tygodnie po tym, jak Turcja otworzyła granicę, by dokonać ataku demograficznego, musiała w panice ją zamykać i ewakuować swoje „zielone ludziki" z granicy. Gdy rozpoczynał się ten atak, zagrożenie koronawirusem w Europie było ledwie potencjalne i zupełnie abstrakcyjne. Turcja również to lekceważyła, choć w tym czasie epidemia szalała już u jej wschodniego sąsiada – w Iranie. Tymczasem znaczną część migrantów użytych do ataku na granicę z Grecją stanowili Afgańczycy migrujący z Iranu. Dwa tygodnie później zaraza szalała już we Włoszech i stawała się coraz większym problemem dla Niemiec, Hiszpanii i Francji, a w Turcji nie było wciąż odnotowanego żadnego przypadku zakażenia. Erdoğan snuł wówczas wizje wzrostu znaczenia Turcji jako źródła importu towarów dla zniszczonych gospodarek europejskich po opanowaniu pandemii. A niemiecka kanclerz Angela Merkel, w swoim stylu, zaczęła obiecywać zwiększenie wysokości haraczu płaconego sułtanowi, mimo że już wówczas widać było, że zamiast jego płacenia wystarczy stanowczo bronić granicy. Tak jak to zrobiła Grecja.

Tylko że to już również prehistoria. 9 marca ujawniono pierwszy przypadek zachorowania w Turcji i błyskawicznie, z dnia na dzień, kraj ten zaczął awansować w ponurej statystyce zarówno zakażeń, jak i zgonów. 19 marca, gdy przerażone władze Turcji zamknęły znowu granicę z Grecją, było już 359 chorych oraz cztery zgony. Dzień w dzień pięła się dalej w rankingach zakażeń i zgonów, obecnie jest zaś w ścisłej czołówce z ok. 130 tys. zakażonych oraz 3,5 tys. zgonów. Jednocześnie władze tego kraju znacznie wolniej niż większość państw europejskich wprowadzały kolejne ograniczenia dotyczące przemieszczania się. Wynikało to z determinacji Erdoğana i jego zięcia Albayraka, by utrzymać sztucznie napompowany wzrost gospodarczy.

Poza tym, o ile wszystkie kraje poniosą poważne konsekwencje ekonomiczne pandemicznego kryzysu, o tyle turecka gospodarka już przed jego rozpoczęciem była tak słaba, że może tam bardzo szybko nastąpić całkowita katastrofa. A wtedy Erdoganowi pozostanie wyłącznie próba wyłudzenia pomocy od Europy. Tyle że Europa sama będzie jej potrzebować. Pytanie, czy Europejczycy wyciągną wnioski z tureckich porażek, a przywódcy UE przestaną pozwalać sobą pomiatać i szantażować się przez sułtana, pozostaje otwarte.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4e9f02f92

Rycyna od Putina

FOT. MICHAL CIZEK/AFP/EAST NEWS

Piotr Włoczyk

Rosjanin z paszportem dyplomatycznym i trucizną w walizce ląduje w Pradze, aby zabić m.in. burmistrza stolicy Czech. Czeskie media przekonują, że ta zdumiewająca historia zdarzyła się naprawdę. Reżim Putina miał się w ten sposób zemścić na znienawidzonych samorządowcach

Trzy tygodnie temu na lotnisku Václava Havla wylądował mężczyzna z rosyjskim paszportem dyplomatycznym. Czekało na niego auto z rosyjskiej floty dyplomatycznej i zabrało go do ambasady w praskich Dejvicach" – tak brzmi początek sensacyjnego tekstu, który pod koniec kwietnia ukazał się w czeskim tygodniku „Respekt". Jego autor twierdzi, że dotarł do źródeł w czeskim kontrwywiadzie, które ustaliły, że mężczyzna z rosyjskim paszportem dyplomatycznym przywiózł wówczas w walizce rycynę. Trucizna ta, uzyskiwana z nasion rącznika pospolitego (*Ricinus communis*), powoduje powolną śmierć w niewyobrażalnych męczarniach.

Ofiarami zamachu mieli paść Zdeněk Hřib, 38-letni burmistrz Pragi, który wielokrotnie dawał się już we znaki Kremlowi, a także Ondřej Kolář, który ostatnio również doprowadził Putinowskich propagandzistów do szewskiej pasji. Ondřej Kundra, autor tekstu w „Respekcie", przekonuje, że mężczyzna z paszportem dyplomatycznym i rycyną w walizce jest w rzeczywistości funkcjonariuszem jednej z rosyjskich agencji wywiadowczych. „Czeska policja otrzymała pewne informacje na jego temat i został on uznany za prawdziwe zagrożenie dla samorządowych polityków, którzy w ostatnich miesiącach byli krytyczni wobec Kremla" – powiedział Kundra.

„To nie tylko fantazje. To są chore fantazje" – skomentowała sprawę Maria Zacharowa, rzecznika rosyjskiego MSZ. „To kolejny akt wielkiej prowokacji ze strony niektórych sił w Republice Czeskiej, które chcą za wszelką cenę zniszczyć rosyjsko-czeskie relacje".

Czeskie władze oficjalnie nie komentują tej sprawy, ale pośrednio dają znać, że coś jednak jest na rzeczy. O ile bowiem Rosjanie twierdzą, że z powodu koronawirusa od połowy marca żaden ich dyplomata nie przyleciał do Pragi, o tyle Czesi potwierdzają, że w tym okresie faktycznie pojawił się na lotnisku jeden Rosjanin z paszportem dyplomatycznym.

W całej tej historii mnóstwo jest znaków zapytania, ale jedno jest pewne – czeskie władze przydzieliły Hřibowi policyjną ochronę, a on sam twierdzi, że od pewnego czasu był śledzony. W rozmowie z BBC Hřib podkreślił, że nie może powiedzieć, dlaczego dostał ochronę, ale stwierdził równocześnie, iż jeżeli zostałby zamordowany, to „oznaczałoby to, że rosyjskie agencje przekroczyły czerwoną linię".

Bez wątpienia zamordowanie Hřiba byłoby nowym zjawiskiem. Rosyjskie służby brały na cel na terenie Europy swoich byłych funkcjonariuszy, którzy przeszli na drugą stronę, ale zamordowanie burmistrza stolicy kraju unijnego wydawałoby się jednak czymś nie do pomyślenia. Jaki motyw mieliby Rosjanie?

PRECZ Z KONIEWEM

Hřib, głośny krytyk Putinowskiej Rosji, był gorącym orędownikiem zmiany nazwy placu, przy którym znajduje się rosyjska ambasada w Pradze. W końcu 27 lutego obecnego roku pl. Pod

eprasa.pl c4e9f02f92

Kasztanami został przemianowany na pl. Borisa Niemcowa, znanego rosyjskiego opozycjonisty, który w 2015 r. został zastrzelony pod murami Kremla. Stało się to dokładnie w piątą rocznicę śmierci Niemcowa. W uroczystości brała udział m.in. Żanna Niemcowa, córka zamordowanego. – Dziękuję wszystkim, którzy zgadzali się na zmianę nazwy, a także tym, którym się to nie podobało – powiedziała wówczas Niemcowa. Praga nie jest tu wyjątkiem. Również włodarze Waszyngtonu, Wilna i Kijowa nazwali imieniem Niemcowa ulice i parki znajdujące się bezpośrednio przy rosyjskich ambasadach w tych krajach.

Rosjanie ciskali wówczas gromy na Hřiba, bo nie dość, że zmienił adres ambasady, to jeszcze uhonorował przy okazji inną wielką przeciwniczkę reżimu Putina. Równocześnie bowiem jedną z alej w stołecznym parku Stromovka nazwano na cześć Anny Politkowskiej, rosyjskiej dziennikarki zastrzelonej w 2006 r. w Moskwie. Hřib stwierdził wówczas, że nowa nazwa jest „politycznym gestem wobec Rosji i wyrazem solidarności z rosyjską opozycją oraz ruchem praw człowieka".

Oprócz Hřiba policyjną ochronę dostał również Ondřej Kolář, 36-letni burmistrz 6. dzielnicy Pragi. Kolar powiedział w rozmowie z czeską stacją Prima, że „jest tu Rosjanin, który dostał zadanie zlikwidowania mnie". Z kolei w rozmowie z „The Financial Times" Kolář stwierdził: „W zeszłym roku poprosiłem policję, by mnie ochraniali. Tym razem to oni powiedzieli, że muszą mnie chronić".

Kolář zwrócił się rok temu z prośbą o ochronę, ponieważ zaczął otrzymywać coraz więcej pogróżek. Była to reakcja na jego postulat usunięcia z Pragi pomnika Iwana Koniewa, marszałka Związku Sowieckiego, który dowodził wojskami sowieckimi przejmującymi z rąk Niemców Czechosłowację, a w 1956 r. zdławił powstanie na Węgrzech. Pomnik, który Sowieci podpisali „Wyzwoliciel Pragi", został ostatecznie usunięty na początku kwietnia. Rosyjscy nacjonaliści i komuniści nie przebierali w słowach, potępiając Koláře za tę decyzję. Usunięcie pomnika doczekało się też reakcji oficjalnych organów Kremla. Rosyjska prokuratura rozpoczęła od razu śledztwo w sprawie „publicznej profanacji symboli chwały rosyjskiej armii".

Czeskie ministerstwo spraw zagranicznych odpowiedziało na to, że „jeżeli rosyjskie instytucje wciąż będą podejmowały tak konfrontacyjne kroki, utrzymane w takim duchu, to będzie to znak, że strona rosyjska straciła zainteresowanie w budowaniu wzajemnych, korzystnych relacji pomiędzy naszymi państwami".

– To poważna eskalacja w tarciach między Czechami a Rosją. Czegoś takiego nie widzieliśmy od początku lat 90. – mówi „Do Rzeczy" dr Jan Šír, ekspert ds. stosunków czesko-rosyjskich z Uniwersytetu Karola w Pradze. I dodaje: – Oczywiście mieliśmy przypadki, gdy Rosja wywierała szkodliwy wpływ na życie publiczne w Czechach w ostatnich trzech dekadach, ale te wrogie akcje były raczej trudne do wykrycia i nie były zakrojone na dużą skalę. Teraz jednak widzimy skoordynowaną akcję, która objawia się pod postacią jawnej presji dyplomatycznej i zastraszania, ataków na czeskie misje dyplomatyczne za granicą – którym rosyjskie władze nie zapobiegają – agresywne działania wywiadowcze i dezinformację oraz skoordynowane ataki hakerskie na infrastrukturę państwową. Tak więc to, co się teraz dzieje, nie wzięło się znikąd.

Celem rosyjskich służb specjalnych miał być Zdeněk Hřib FOT. RATUSZ GŁÓWNY MIASTA PRAGI

OBRONA MITU

Czesi już wcześniej odczuli gniew Rosjan z powodu usunięcia pomnika Koniewa. Dwa dni po zdemontowaniu postumentu „zamaskowani sprawcy" obrzucili budynek ambasady Czech w Moskwie świecami dymnymi, a na płocie wywiesili hasło: „Stop faszyzmowi". Uczestnicy tej akcji próbowali też wbić Czechom szpilę innym kolportowanym przez siebie hasłem: „Nasze czołgi będą w Pradze!". Trudno uwierzyć, by taka akcja mogła się odbyć bez wiedzy rosyjskich służb.

Jakby tego było mało, tuż po usunięciu pomnika Koniewa szpitale w Pradze oraz tamtejsze lotnisko zostały zaatakowane przez hakerów. Czescy specjaliści ds. bezpieczeństwa w sieci wskazywali, że za atakami tymi stała Rosja. Doktor Šír podkreśla, że sytuacja ta przypomina ataki, których doświadczyli Estończycy, gdy w 2007 r. postanowili usunąć ważny sowiecki pomnik z czasów wojny.

Poza „Respektem" również „Deník N" potwierdził w trzech źródłach, że historia z rosyjskim dyplomatą i trucizną w walizce jest prawdziwa, a także że domniemany spisek na życie samorządowców był tematem rozmowy czeskiego ministra spraw zagranicznych i rosyjskiego ambasadora w Pradze. „Deník N" podał przy okazji, że Pavel Novotný, kolejny praski samorządowiec krytyczny wobec Kremla, także dostał ochronę policyjną. Również BBC potwierdziło w swoich źródłach, że podstawowe fakty podane przez „Respekt" są zgodne z prawdą.

Część ekspertów twierdzi jednak, że nie można wykluczyć innej wersji. Wysłanie do Czech człowieka z rycyną miało tylko wystraszyć Czechów i pokazać, że Rosja nie cofnie się przed niczym, by bronić swojej wersji historii. – Tak wygląda taktyka zastraszania. Zawsze chodzi o wysłanie ostrzeżenia pod adresem innych. Rosjanie starają się zmusić inne narody do zaakceptowania oficjalnej rosyjskiej interpretacji historii względem „Wielkiej Wojny Ojczyźnianej". Ten mit stał się pod rządami Putina centralną częścią ideologii obozu władzy – mówi „Do Rzeczy" dr Šír. – Mit „Rosji walczącej z faszyzmem" stał się wyjątkowo ważny dla Kremla, ponieważ pomaga rosyjskim elitom władzy odbudowywać w dużej części utraconą legitymację do rządzenia, uodpornić się na każdy rodzaj krytyki i atakować przeciwników, przypinając im łatki „faszystów". Te wojny o pamięć stały się nieodłączną częścią rosyjskiej polityki zagranicznej. Dzięki nim Rosja stara się zdobyć dominację narracyjną w trwającej konfrontacji z Zachodem. Dlatego to tak ważne dla Putina.

Ondřej Kolář, burmistrz 6. dzielnicy Pragi, wydaje się jednak przekonany, że historia o człowieku z rycyną w walizce nie była blefem. – Wiemy, co w przeszłości robili agenci rosyjskich służb specjalnych, kiedy chcieli otruć Skripala środkiem paralityczno-drgawkowym – powiedział w rozmowie z BBC. – Skoro mieli tyle odwagi, by zrobić to w Wielkiej Brytanii, to dlaczego nie mieliby tego zrobić w Pradze?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4e9f02f92

Ekolodzy na wojnie

Teresa Stylińska

Czy odrażający plan wytrucia 2 mln kotów może być dziełem ludzi, którzy mienią się obrońcami środowiska naturalnego? Tymczasem tak właśnie jest. W dodatku okazuje się, że życie różnych istot ma bardzo różną wartość. Życie żuczków czy żabek jest cenne. Życie kotów jest bez znaczenia

Koty można i nawet należy zabijać, w sposób zorganizowany, zgodnie ze starannie nakreślonym planem eksterminacji, który jest wspólnym dziełem zagorzałych obrońców środowiska (dla uproszczenia, nie całkiem adekwatnie, nazwijmy ich ekologami), organizacji pozarządowych, a nawet instytucji państwowych. To wszystko dzieje się w cywilizowanej, zdawałoby się, Australii, gdzie w tym roku ma zakończyć się realizacja pięcioletniego planu wyeliminowania, jak to się eufemistycznie ujmuje, 2 mln kotów.

Historia zatacza więc koło. W dawnych czasach koty wraz z czarownicami trafiały na stos. Czy, poza zapewne skalą, jest jakaś różnica między dawnymi praktykami a tym, co dzieje się teraz? Taka, że w średniowieczu za winne pomocy w czarach uważano jedynie koty czarne. Dziś umaszczenie nie gra roli. Na śmierć w równej mierze zasługują koty czarne, bure, białe, rude, pręgowane i w łaty.

ŚLAD KOCIEJ ŁAPY

Czym ekologom zawiniły koty? Swą naturą: są drapieżnikami, polują więc na inne zwierzęta i zupełnie nie przejmują się tym, że ich łupem mogą paść gatunki rzadkie lub zagrożone wyginięciem. Takich gatunków jest wiele właśnie w Australii. Dlatego koty są tam na straconej pozycji, bo, zdaniem ekologów, to one czynią największe spustoszenie w środowisku, choć przecież wiadomo, że nie tylko one.

Pod pręgierzem są przede wszystkim koty dzikie, najbardziej aktywne. Jeśli niczego nie upolują, to umrą z głodu. Ale koty domowe też są na celowniku, bo nawet jeśli każdy ma w domu pełną miseczkę, to instynkt i tak każe im polować. Stwierdzono wprawdzie, że koty domowe trzymają się blisko domu, rzadko zapuszczając się dalej niż na odległość stu metrów, jednak ponieważ jest ich dużo, skutki ich obecności tak czy inaczej są niedobre. Dlatego tęgie ekologiczne głowy intensywnie myślą, jak koty domowe utrzymać w ryzach. Najlepiej nie wypuszczać.

Jak to wygląda w liczbach? Sprawę najdokładniej przebadano oczywiście w Australii. Z tamtejszych szacunków wynika, że ofiarą kotów – dzikich, wolno żyjących w miastach oraz domowych – co roku pada 377 mln samych tylko ptaków. Statystycznie codziennie łupem kotów padałoby ich więc ponad milion. W USA z kolei, gdzie ostatnio badano obyczaje kotów domowych, wyliczono, że na każdego miesięcznie przypada 3,5 upolowanego zwierzęcia różnych gatunków.

Ile kotów żyje w Australii? Szacunki są bardzo rozbieżne. Niektórzy sądzą, że dzikich może być nawet 20 mln, inni – że tylko 4 mln. Profesor William Lynn, etyk z amerykańskiego uniwersytetu Clark, na łamach naukowego portalu The Conversation ocenia jednak, że 20 mln to liczba całkowicie wydumana, oparta na nie wiadomo jakich podstawach, podobnie zresztą jak wiele innych wyliczeń. Słowem, są to wyłącznie orientacyjne szacunki, a nie wartości pewne, a oparte na nich wnioski to „junk science" – śmieciowa nauka.

Polowania nie wyczerpują listy kocich win. Koty, o zgrozo, na talerzu preferują mięso i żadną miarą nie dają się przekonać do diety wegańskiej. Ekolodzy nie byliby ekologami, gdyby nie pokusili się o wyliczenie, jaki w związku z tym pozostawiają ślad węglowy. Okazuje się, że „pawprint" – ślad łapy, przez analogię do terminu „footprint", śladu, który jest dziełem człowieka – ma wynosić 2251 kg dwutlenku węgla na jednego kota rocznie. Dla porównania: pies produkuje 1750 kg, a kanarek zaledwie 28 kg. Kot jest zatem na z góry straconej pozycji.

HUMANITARYZM WEDŁUG EKOLOGÓW

Najprostsza metoda eksterminacji to podrzucenie na teren, gdzie żyją dzikie koty, paczuszek z jedzeniem nafaszerowanym trucizną. „Aby udało się zabić je w ten sposób, koty muszą znaleźć przynętę i ją zjeść. Pakietów niestety trzeba wyłożyć dużo, ok. 50 na 1 km kw. Mimo to koty nie zawsze na nie trafią, zanim trucizna ulegnie rozkładowi. A nawet jeśli je znajdą, to 80 proc. kotów przynęty nie ruszy, bo wolą jeść to, co upolują. Na przynętę koty skuszą się tylko wówczas, gdy są głodne" – taki wykład wygłosiła w Melbourne w 2015 r., na Szczycie na rzecz Gatunków Zagrożonych, australijska badaczka ekologiczna. To wtedy przyjęto rządowy plan zabicia 2 mln kotów.

Obrończyni zagrożonych zwierząt mówi o truciu kotów tak, jak gdyby miała do czynienia z materią nieożywioną, a nie żywym stworzeniem, które ona i jej podobni bez oporów skazują

eprasa.pl c4e9f02f92

FOT. ADOBE STOCK

z kotami

na cierpienie i śmierć. To beznamiętny instruktaż zabijania, z uwzględnieniem okoliczności. „Koty świetnie się przystosowują, dlatego musimy szukać ich pięty achillesowej i zainwestować w szeroki wachlarz metod kontroli (sic!)" – relacjonowała w The Conversation przebieg konferencji.

Co zrobić, gdy kot przynętę omija? Ekologiczna wyobraźnia pracuje na pełnych obrotach. Koty to zwierzęta bardzo czyste, nie lubią mieć brudnego futerka. Zaleca się więc zastosowanie „wyrzutni trucizny", uruchamianych automatycznie, gdy obok przechodzi kot. Zwierzę na pewno wyliże plamę. I to będzie jego koniec. Takie metody są też opisane na stronie internetowej wydziału ds. ratowania gatunków zagrożonych australijskiego ministerstwa rolnictwa, wraz z wysokością finansowania – bo to państwo wykłada pieniądze.

Inwencja ekologów na tym się jednak nie kończy. Jeśli i to zawiedzie, to należy zastosować eliminację pośrednią. Na przykład przez zarażanie królików wirusem śmiertelnej dla nich choroby krwotocznej. Króliki masowo padają, a mniej królików to także mniej kotów, bo koty tracą potencjalny łup. Druga, bardziej wymyślna, metoda to wszywanie kapsułek z trucizną pod skórę zwierząt, na które koty polują. Kiedy kot ofiarę skonsumuje, sam wyda na siebie wyrok.

Wszystkie te sposoby lepiej niż cokolwiek innego ilustrują stan ducha obrońców środowiska, dokonujących selekcji zwierząt: jedne mają prawo żyć, inne należy wytępić. Co ciekawe, nie jest to wcale zasada bezwzględna. Bo w pogoni za celem można wszyć kapsułki nawet tym zwierzętom, które program ma chronić!

ZAPROSZENIE DLA SZCZURÓW

Fundamentaliści ekologiczni wykazują się więc ponadprzeciętnym cynizmem. Ich poczynania budzą przy tym wątpliwości nie tylko natury moralnej. Niektórzy badacze i praktycy wprost podważają ich sens. Nawet jeśli ofiarą kotów padają przedstawiciele gatunków zagrożonych, to co z tego? Tak funkcjonuje przyroda. Ingerowanie w procesy naturalne nie przynosi niczego dobrego. Dlaczego człowiek ma decydować o prawie innych do życia?

Ptaki giną nie tylko i nawet nie przede wszystkim przez koty – zauważa na przykład brytyjska organizacja charytatywna Cats Protection. Łupem kotów, jak mówi Sarah Elliott, naczelna weterynarz organizacji, padają jednostki słabe, chore, niezdolne do przeżycia. Koty realizują to, co i tak nastąpiłoby w sposób naturalny.

John Bradshaw, profesor antrozoologii z uniwersytetu w Bristolu, ujmuje to tak: „Koty bez wątpienia zabijają wiele małych stworzeń. Ale czy na dłuższą metę powoduje to jakiekolwiek szkody w środowisku naturalnym? Wszelkie dowody na to są bardzo słabe". Ten pogląd podziela wspomniany prof. William Lynn, którego zdaniem ekolodzy popełniają wielki błąd, przedkładając wartość ekosystemów nad życie zwierząt takich jak koty.

Na koty są też inne sposoby, bardziej humanitarne, choć niekoniecznie rozważne. Oto władze nowozelandzkiego miasteczka Omaui zdecydowały, że nie ma w nim miejsca dla kotów, bo – rzecz jasna – trzeba chronić ginące gatunki. W Omaui nie ma planów wyrzucenia kotów z miasta ani ich eksterminacji, ale są szczegółowe zarządzenia. Wszystkie koty należy zarejestrować, poddać sterylizacji i raczej nie wypuszczać z domu. Gdy kot dokona żywota, właściciel nie otrzyma zgody na posiadanie nowego.

Dzięki temu za kilkanaście lat Omaui stanie się miastem bez kotów. Czy także bez szczurów i myszy? To właśnie podnoszą zaniepokojeni mieszkańcy. Od decyzji nie minęły nawet dwa lata, złych skutków więc na razie nie widać, ale to może zmienić się szybciej, niż ktokolwiek sądzi. Są na to dowody. Na Wyspie Wniebowstąpienia, terytorium zamorskim Wielkiej Brytanii, przeprowadzono akcję wytępienia kotów. Od 2006 r. już ich na wyspie nie ma, za to mieszkańcy zmagają się z plagą wielkich szczurów. Dla ptaków szczury są równie groźne, bo zjadają pisklęta, za to dla ludzi zdecydowanie mniej sympatyczne niż koty.

KOMU NALEŻY SIĘ KARA?

W Australii, na Nowej Zelandii i na egzotycznych wyspach koty nie są gatunkiem miejscowym. Pojawiły się wraz z osadnikami przybyłymi z Europy i zadomowiły w świecie lokalnym. Sprowadził je człowiek. Teraz człowiek sięga po inżynierię społeczną – czy może zwierzęcą? – by zmienić to, co sam spowodował. Jest więc winien podwójnie i może to on, a nie koty, powinien ponieść karę?

Zacytujmy parę uwag z gorących internetowych dyskusji pod informacjami o akcjach przeciw kotom: „Najbardziej bezwzględny gatunek inwazyjny to człowiek. To nie koty należy wytępić"; „Z pewnością istnieją takie zwierzęta, które zmieniają środowisko. Z punktu widzenia świata zwierzęcego nie robią jednak niczego złego. Dlaczego ich życie ma być warte mniej niż życie innych zwierząt?"; „Farmy wiatrowe dziesiątkują dzikie zwierzęta i wcale nie są zielone, ale jeżeli chcecie pozbyć się nietoperzy, sów, orłów i ptaków drapieżnych, to są wprost znakomite".

Koty, wbrew średniowiecznym mniemaniom, nie mają daru czarowania. Gdyby było inaczej, dobrze wiedziałyby, kogo zakląć w chronione zwierzę. A potem upolować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4e9f02f92

FOT. ADOBE STOCK

Naftodestrukcja czy naftorozwój?

Tomasz Cukiernik

Obserwowany spadek cen ropy naftowej mocno uderzy w finanse publiczne państw Europy, w tym Polski. Pomoże też jednak gospodarkom w okresie wychodzenia z koronawirusowego kryzysu

Mimo że udział podatków w cenie paliw rośnie, zmniejszają się wpływy budżetowe z tego tytułu. W 2019 r. w litrze benzyny 95-oktanowej (przy średniej cenie 5 zł/l – według Polskiej Organizacji Przemysłu i Handlu Naftowego) podatki stanowiły ok. 54 proc., podczas gdy na przełomie kwietnia i maja br. przy cenie 3,92 zł/l jest to już ponad 63 proc. Podobnie sytuacja wygląda w przypadku oleju napędowego. Udział podatków w cenie diesla wzrósł z 49 proc. w 2019 r. do 57 proc. obecnie. Mimo to spadają wpływy podatkowe, ponieważ z jednej strony z powodu koronawirusowego kryzysu zmniejsza się wolumen sprzedaży paliw, a z drugiej niższa cena paliw obniża wpływy z VAT, który liczony jest od ceny sprzedaży (przy tym samym wolumenie sprzedaży niższa cena nie powoduje zmian we wpływach z akcyzy, opłaty paliwowej i opłaty emisyjnej). W aktualnej sytuacji od litra benzyny i oleju napędowego płacimy ok. 20 gr mniej VAT niż w 2019 r. Podobna sytuacja zachodzi w przypadku autogazu, choć wpływy z VAT są niższe o ok. 10 gr na litrze.

SPADEK POPYTU I WPŁYWÓW

Ceny paliw w Polsce byłyby jeszcze niższe, gdyby koncerny paliwowe, korzystając z sytuacji, nie podniosły sobie marży handlowej. W przypadku benzyny 95-oktanowej w 2019 r. marża wynosiła 3 proc. (według POPiHN), podczas gdy teraz wynosi ponad 10 proc. (według e-petrol.pl). Z kolei marża na dieslu została zwiększona z 2 proc. w 2019 r. do niemal 9 proc. obecnie. W efekcie klienci tracą na tym manewrze koncernów paliwowych ok. 25 gr na litrze tankowanego paliwa. Głębszy spadek cen zablokował także umacniający się względem złotówki dolar. Z tego powodu litr paliwa jest droższy o ok. 5 gr na litrze, niż byłby, gdyby dolar kosztował tyle, ile średnio w roku 2019. – Ponieważ dolar w relacji do złotego jest teraz stosunkowo drogi, cena baryłki wyrażona w złotych jest stosunkowo wysoka. Mniejsze są wahania pary walutowej euro-dolar, dlatego w strefie euro niskie ceny paliw są bardziej zauważalne – wyjaśnia dr Michał Borychowski z Katedry Makroekonomii i Gospodarki Żywnościowej Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu.

Amerykański Urząd Informacji Energetycznej podał, że od 13 marca, kiedy to ogłoszono stan wyjątkowy, do 24 kwietnia zużycie benzyny silnikowej w USA zmniejszyło się o 40 proc. Jak to wygląda w Polsce? POPiHN poinformowała mnie, że „w obecnej chwili nie ma zgody członków na udostępnianie tych danych". Wydaje się, że koncerny paliwowe obawiają się spadku wartości ich akcji po podaniu do wiadomości publicznej tych danych. – Szacuję, że spadek sprzedaży paliw sięga trzydziestu–trzydziestu paru procent. Szacuje się, że jeździ blisko połowa samochodów osobowych, natomiast w przypadku samochodów ciężarowych, które transportują towary, kosmetyki, produkty spożywcze czy medyczne, spadek będzie mniejszy – mówi dr Borychowski.

eprasa.pl c4e9f02f92

Ta sytuacja wywołuje wiele konsekwencji. Niskie ceny ropy naftowej w połączeniu ze spadkiem sprzedaży bardzo niekorzystnie wpłyną na finanse publiczne, szczególnie w krajach Unii Europejskiej, gdzie paliwa są bardzo wysoko opodatkowane, znacznie bardziej niż choćby w USA. Tam udział podatków w cenie benzyny wynosi aktualnie ok. 22 proc., a w cenie ON – ok. 21 proc. W efekcie amerykańskie finanse publiczne ucierpią znacznie mniej niż europejskie. – To jest mocny cios, który może być odczuwalny dla budżetu państwa – mówi dr Jakub Bogucki, analityk rynku paliw z e-petrol.pl. Ministerstwo Finansów zakłada, że konsekwencje kryzysu związanego z epidemią COVID-19 odbiją się negatywnie na wpływach do budżetu w różnych kategoriach podatkowych. „Obecnie jesteśmy na etapie szacowania parametrów makroekonomicznych, które zostaną zaprezentowane w Aktualizacji Programu Konwergencji i przekazane KE do końca kwietnia" – poinformował mnie resort finansów. – W całej Europie spadek sprzedaży paliw wynosi 30 proc. Przekładając to na polski rynek, jest to spadek w wysokości 10 mld zł z akcyzy plus 8 mld zł z VAT, czyli w skali roku kilka procent wpływów podatkowych – wylicza Szymon Parulski, doradca podatkowy. Do tego dochodzi zmniejszenie wpływów z VAT w paliwach z tytułu niższej ceny, co można skalkulować na ok. 3–4 mld zł.

RECEPTA NA SPADEK WPŁYWÓW

Tymczasem polskie finanse publiczne już teraz wyglądają źle, bo w czasach dobrej koniunktury nie oszczędzano, ale realizowano coraz to nowsze pomysły wydatkowe. – Sytuacja w innych krajach Unii Europejskiej wygląda podobnie, tylko większość państw miała poduszkę. Na etapie wzrostu zamiast deficytu miały one nadwyżki budżetowe, tak jak np. Czechy. Nie muszą się zadłużać tak bardzo, nie muszą się stresować malejącymi wpływami, bo ich baza podatkowa była bardziej rozproszona. U nas wpływy podatkowe w dużej mierze skupiały się na bardzo dużej konsumpcji, więc myślę, że innym krajom będzie łatwiej, bo mają rezerwy, których my nie mamy – mówi Parulski. – Już teraz wysokość deficytu budżetowego szacuje się na ok. 40 mld zł, a wskutek kryzysu może się on zwiększyć nawet do 80 mld zł. Jest to wina rządu, że nie szukał oszczędności wcześniej. Niemcy od trzech lat uchwalały budżet zrównoważony – dodaje dr Borychowski.

Co państwo powinno zrobić w tej sytuacji? – Są dwie opcje, czyli zwiększanie zadłużania, jak robią wszyscy, lub zwiększenie opodatkowania innych obszarów – mówi Parulski. Sugeruje, że w kontekście malejących cen paliw rząd powinien zwiększyć ich opodatkowanie. – Jeżeli ceny spadły o ponad 1,5 zł/l, to jest idealne miejsce, żeby te różnice wyrównać wyższym opodatkowaniem paliwa. Jeżeli ceny ropy są niskie, to dlaczego tę premię zostawiać koncernom? Można zrobić podatek ruchomy: minimalna baza, która jest wymagana przez UE, a reszta uzależniona od cen ropy – uważa Parulski, który jest też zwolennikiem podatku cukrowego i cyfrowego.

Jest jeszcze trzecia opcja ratowania finansów publicznych – szukanie oszczędności. – Trzeba mniej wydawać. Budżet powinien zdecydowanie przemyśleć swoje wydatki i tam poszukać najpierw jakichś oszczędności, dlatego że nowe dochody trudno będzie uzyskać, bo podniesienie podatków zniechęci ludzi do prowadzenia czy rozkręcania działalności gospodarczej, więc to niewiele da – mówi dr Borychowski. – Politycy powinni polikwidować różne przywileje czy ulgi dla różnych grup zawodowych. Szerokim gestem rozdano 13. emerytury, a potem mówiono o 14., 15. Każda taka „akcja" kosztuje ok. 10–12 mld zł. To jest gra warta świeczki – wylicza. Impuls konieczności zmniejszania wydatków poprzez redukcję biurokracji może być także początkiem reform, które uzdrowią całe finanse publiczne.

Niskie ceny ropy są natomiast korzystnym zjawiskiem dla gospodarki (poza krajami eksportującymi surowiec), bo spadają koszty nie tylko firm transportowych, lecz także niemal wszystkich przedsiębiorstw. Jednak w czasie koronawirusowej epidemii korzystają na tym jedynie te firmy, które funkcjonują. Jak więc mówi dr Piotr Koryś, pracownik naukowy Wydziału Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego i ekspert gospodarczy Instytutu Sobieskiego, na razie „wpływ negatywnych czynników, takich jak załamanie popytu, jest dużo większy niż ten pozytywny wpływ niższych cen paliw".

Ponadto niskie ceny na stacjach paliw mogą zmniejszyć presję inflacyjną, co również jest korzystnym zjawiskiem, ale może mieć ograniczony zasięg. – Niskie ceny ropy będą miały wpływ na inflację o tyle, o ile spadną koszty transportu. Być może będziemy odczuwali pozytywny wpływ poprzez spadek np. cen żywności o tyle, o ile w cenach żywności mamy koszty paliw do ich wytworzenia i przetransportowania, ale potencjalnie możemy się zastanawiać nad mnóstwem różnych innych bodźców na rynku żywności, które być może pogłębią, a być może zneutralizują ten efekt – mówi dr Koryś.

Niskie ceny ropy z pewnością pomogą w procesie wychodzenia z kryzysu wywołanego ograniczeniami wprowadzonymi w ramach walki z koronawirusem. Gospodarka to system naczyń połączonych. Jeśli ludzie i firmy mniej wydadzą na paliwa, to w kieszeniach i na kontach pozostanie im więcej pieniędzy na inne potrzeby czy inwestycje. Z tego powodu w kwestii opodatkowania paliw dr Borychowski i Andrzej Sadowski, prezydent Centrum im. Adama Smitha i członek Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP, mają przeciwny pogląd niż Parulski. – Niskie ceny paliw mogą gospodarce pomóc. Jeżeli energia jest tańsza, to niższe są koszty produkcji, zachęca to do wytwarzania większej ilości dóbr i usług, i w ogóle do zaczynania nowych działalności – wyjaśnia dr Borychowski. – Podatki na paliwa należy obniżyć, żeby cena, która teraz wydaje się niska, była niższa również o zredukowane w niej podatki. Jesteśmy w stanie zapaści i potrzebne jest radykalne obniżenie kosztów prowadzenia działalności w Polsce, również po stronie rządu, a nie tylko Orlenu. Dla planktonu gospodarczego – jak rewelacyjnie zdefiniował małych przedsiębiorców Krzysztof Dzierżawski – koszty paliwa i energii są dotkliwe – mówi Sadowski.

– Dodatkowa obniżka cen paliwa poprzez obniżkę samego opodatkowania dałaby szansę na szybsze tempo wyjścia z zapaści. Rząd ma wybór: albo mniejsze wpływy z opodatkowania z tytułu niższej ceny paliwa oraz niższych podatków, albo ich brak z tytułu zamknięcia firm i niepodniesienia się ich po zapaści. Rząd powinien być taki jak Orlen, tzn. powszechnie obniżyć dla wszystkich przedsiębiorców, zwłaszcza mikro-, podatki, tak jak koncern obniżył dla wszystkich ceny paliw i zrobił to bez zwłoki – podkreśla.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4e9f02f92

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto zapłaci za Tarczę+

Odpowiedź na pytanie zawarte w tytule jest jasna jak słońce: „Pani zapłaci, Pan zapłaci, społeczeństwo zapłaci". Zapłaci każdy z nas, kto płaci podatki i parapodatki (czyli te podatki, które zostały ukryte przez rząd pod przeróżnymi nazwami, mającymi zmylić tych, którzy muszą je płacić).

Niestety, ta „jasna jako słońce" odpowiedź jest zazwyczaj przez hojnych dzięki nie swoim pieniądzom polityków skrzętnie ukrywana. Także teraz, gdy rząd, który zamroził gospodarkę z powodu COVID-19, wzywany jest – również przez najbardziej zapiekłych liberałów – do szczodrego wspierania firm wpadających w coraz większe tarapaty, czyli do – nie inaczej – szybszego zadłużania Polski, nikt nie wspomina, że wszystkie te pieniądze, co do złotego – i to z odsetkami – będą musieli oddać polscy podatnicy; oddać tym, którzy je teraz naszemu państwu pożyczają. A będzie to słony rachunek – już sięga przecież ponad 300 mld zł, a to dalece nie koniec „tarczowania". Gdy dodać do tego, że wszystkie rządy III RP – w ciągu 30 lat – zadłużyły Polskę na 1 bln zł, a teraz – w tak krótkim czasie – powiększymy ten dług o jedną trzecią, włos zaczyna się jeżyć na głowie.

Gdzieś tam, na obrzeżach debaty nad Tarczą Antykryzysową, już zresztą pojawiają się pierwsze wzmianki o konieczności wprowadzenia, w związku z gigantycznymi kosztami walki ze skutkami pandemii, nowych podatków. Jako tych, którzy mieliby je płacić, politycy na razie wskazują bezpiecznych z ich punktu widzenia „innych". Minister finansów Tadeusz Kościński wspomniał np. o potrzebie opodatkowania w ramach UE usług cyfrowych, transakcji finansowych i emisji dwutlenku węgla, by odciążyć w ten sposób budżety państw UE, sponiewierane przez walkę z COVID-19.

Wszelako, nawet jeśli uda się narzucić i potem egzekwować te podatki – a wiadomo, że giganty będą się przed tym zaciekle bronić – to i tak szybko przerzucą je one na nas, swoich klientów. Poza tym pieniędzy z nich nie wystarczy do spłaty góry długów zaciągniętych w związku z gospodarczymi skutkami pandemii COVID-19 i nakręconej z jej powodu paniki. A to oznacza, iż pewnie niedługo usłyszymy, że VAT – zamiast wrócić do 22 proc., jak obiecywano – wzrośnie do 24 albo i 25 proc., że mocno podskoczą składki do ZUS, a może także stawki podatku od dochodów osobistych PIT (nie dla rolników, bo ci go nie płacą i płacić nie będą). Nie wspominając o podwyżce akcyzy na wszystko i wszystkich parapodatków. Ani o nowych podatkach i parapodatkach, które będziemy musieli zacząć uiszczać (takich jak podatek „od Netflixa", czyli od serwisów VOD, który już nadciąga).

Podwyżki te są tym bardziej prawdopodobne, im mniej prawdopodobne jest, że rząd zrezygnuje z choć części nowych prezentów socjalnych, które co roku pochłaniają 80 mld zł. I obstawiam, że czekają nas prędzej niż później. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nienormalna „nowa normalność"

Z „nową normalnością" jest jak ze „sprawiedliwością ludową" za komuny: jeśli obok rzeczownika stoi przymiotnik, to możemy być pewni, że sens wyrażenia jest całkowicie inny niż w wersji bezprzymiotnikowej. Postepidemiczna „nowa normalność" ma z normalnością tyle wspólnego, ile właśnie sprawiedliwość ludowa miała ze sprawiedliwością: nic.

Nie wiem, kto pierwszy użył określenia „nowa normalność", by opisać stan, w który właśnie wchodzimy. Wiem, że z lubością posługują się nim politycy również w Polsce, by opisać pobojowiska po COVID-19. A im częściej o tej nowej normalności słyszę, tym mocniej mnie to irytuje.

Normalność to coś, co powstaje w naturalny, ewolucyjny sposób i nie jest narzucone z góry. Co tworzy się latami dzięki temu, że ludzie robią bez presji to, co uznają za wygodne, naturalne i oczywiste. Normalność znika zaś wszędzie tam, gdzie rząd próbuje nam narzucić reguły zachowania niezgodne z naszym naturalnym instynktem społecznym.

W jaki sposób normalne ma być zatem unikanie innych ludzi, rozmawianie z nimi z odległości dwóch metrów, a najlepiej wyłącznie przez komunikatory internetowe? W jaki sposób normalne ma być chodzenie po pustej ulicy w niewygodnej, zaplutej i zawilgoconej maseczce na twarzy? Co wspólnego z normalnością ma wpuszczenie na swojego smartfona aplikacji naruszającej naszą prywatność, firmowanej przez rząd? Jak ma się do normalności wizyta w centrum handlowym, gdzie nie da się niczego zjeść, a zająć można co drugie miejsce parkingowe? Wyliczać można by długo.

Nie, to nie jest normalność. To nienormalność, do której oczywiście można w jakimś stopniu przywyknąć, ale która będzie mieć swoje fatalne skutki. Rozluźnienie więzi społecznych, izolacja, wzajemna podejrzliwość, donosicielstwo, wrogość, agresja wobec tych, którzy nie dają się spędzać do zagrody jak bydło – wszystko to będą skutki „nowej normalności".

Po co w takim razie ten obłudny termin? To akurat proste – dla zamydlenia oczu. Żeby przekonać nas, że jest „normalnie", podczas gdy od normalności, tej bezprzymiotnikowej, jesteśmy całe parseki. Walka z pandemią jest zarazem globalnym ćwiczeniem z tresury społeczeństw, trochę oczekiwanym, a trochę przymusowym. Manewr z „nową normalnością" to jego część. ©℗

eprasa.pl c4e9f02f92

Miejsce na Twoje pomysły.

SIMPLY SAFELY FOR LESS

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 307 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl c4e9f02f92

Otyły świat

FOT. ADOBE STOCK

Joanna Bojańczyk

Winę za globalną epidemię otyłości ponoszą korporacje przemysłu spożywczego, które układają menu na naszych talerzach. Tylko bogatych stać na zdrowe jedzenie

Napis przy windzie w londyńskim muzeum Tate Modern: „Celebrate your ability to use stairs". Słusznie – chodź po schodach dopóty, dopóki możesz. Jednak sądząc po kolejce do windy, mało kto celebrował. Nie sposób nie zauważyć, że to żartobliwe wezwanie, choć nie dosłownie instruktażowe, jest znamienne dla naszych czasów. Chodź po schodach – będziesz zdrowszy, chodź po schodach – będziesz szczuplejszy. Nasza cywilizacja, która ma obsesję na punkcie zdrowia i szczupłości, jednocześnie w szybkim tempie zmierza ku powszechnej otyłości. W roku 2030 na nadwagę lub otyłość będzie cierpiała połowa światowej populacji. Choroba ta, nieznana 50 lat wcześniej, stała się w ciągu ostatnich lat plagą liberalnych społeczeństw nastawionych na konsumpcję i szybkie zaspokajanie przyjemności.

Mówi o tym dokumentalny pełnometrażowy film w języku francuskim, który ukazał się w telewizji ARTE. „Otyły świat" Sylvie Gilman i Thierry de Lestrade – jeśli ktoś zna francuski, polecam. Film opowiada o perfidii ponadnarodowych korporacji spożywczych, przede wszystkim producentów napojów słodzonych i śmieciowego jedzenia. Żeby zwiększyć sprzedaż, z premedytacją stosują wszelkie metody manipulacji. Rządy, których zadaniem jest chronić zdrowie swych obywateli, okazują się bezsilne wobec tych działań.

CUKIER NIE TUCZY

Wydaje się oczywiste: jemy za dużo, jemy niezdrowe, tanie, łatwe do przygotowania jedzenie.

Jednak jak mogło dojść do tego, że w ciągu kilku dziesięcioleci zmieniło się menu ludzkości? Krok po kroku tłumaczą to w filmie specjaliści od żywienia, lekarze, socjologowie, politycy z różnych krajów. Pokazują walkę wytoczoną lobby spożywczemu, w którego interesie jest sprzedaż śmieciowego żarcia. Przeciwnik jest bogaty, silny i bezwzględny.

Zaczęło się w latach 80., kiedy „eksperci" od żywienia sformułowali naukowe zasady, które odpowiedzialnością za tycie obciążyły przede wszystkim tłuszcze. Unikajmy mleka i mięsa, mówiono ludziom, jedzmy więcej pieczywa, ryżu,

eprasa.pl c4e9f02f92

ziemniaków. Przecież kartofle daje się świniom, żeby tyły! Cukier zlekceważono i to był sprytny manewr. Producenci napojów przystąpili do akcji, instrumentalizując dane i przekładając je na język marketingu. „Możesz jeść, co chcesz, spalisz w ćwiczeniach" – zachwalali w reklamach wynajęci przez korporacje spożywcze pseudoeksperci. „Cukier nie szkodzi, przecież nie ma w nim tłuszczu" – zachwalały się chipsy „fat free Pringles".

„Zrób parę ćwiczeń, poskacz, potańcz, a z rozkoszą wypijesz butelkę coca-coli (zawiera 9 łyżeczek cukru)".

Strategia okazała się skuteczna, przekaz został zapamiętany. Pominięto to, co podkreślali lekarze – fizjologia ludzka tak nie działa. Aby spalić hamburgera, potrzebna jest godzina intensywnego wysiłku, kawałek pizzy – ponad dwie godziny... Ale propaganda produktów zbożowych zadziałała: w Stanach Zjednoczonych producenci zbóż i kukurydzy dostali rządowe subwencje. Syropem kukurydzianym zaczęto słodzić nie tylko napoje i ciastka, lecz także pieczywo, sery, konserwy. Wiadomo – słodkie sprzedaje się lepiej. Zwłaszcza dzieciom. Są łatwym celem, więc na nie skierowano główne ostrze reklamy. Kto odmówi dzieciakowi? Na śniadanie dziecko dostawało słodkie płatki, „te, które widziałeś w telewizji", razem z nimi zabawkę do kolekcji. Kontrolę nad talerzami przejęły ponadnarodowe firmy zrzeszające producentów żywności, było to kilka korporacji: Unilever, Coca-Cola, PepsiCo, Danone, Kellogs. Narzędziami dystrybucji były sieciowe supermarkety: Carrefour, Tesco, Auchan, Safeway…

WILK CHRONI JAGNIĘ

W serialu „Homeland" żona głównego bohatera wraca z zakupów i rozpakowuje torby w kuchni. Wyjmuje pudełka, słoiki, butelki, puszki. W tych zakupach nie ma ani jednej rzeczy świeżej, ani jednego warzywa… Nie wiem, czy jest to sytuacja typowa dla każdego amerykańskiego domu, ale na pewno znak czasu. – Amerykanie tracą więcej ludzi z powodu słodyczy niż na ulicach – mówi William Lamar, czarnoskóry pastor amerykańskiego Kościoła metodystów w Waszyngtonie. Widząc, jak w jego parafii na czarnym przedmieściu młodzi ludzie tyją i chorują na cukrzycę typu 2, w roku 2017 wytoczył Coca-Coli proces. Domagał się zaprzestania kłamliwej propagandy manipulującej dziećmi i młodzieżą. „Przemysł napojów jest równie potężny jak przemysł petrochemiczny" – oskarżał. „Coca-Cola rozumie, że może pomóc w ograniczaniu konsumpcji cukru" – odpowiedzieli prawnicy, odpierając zarzuty pastora. Tak, wilk pomaga chronić jagnięta…

Nie tylko w Stanach Zjednoczonych na stole jest coraz więcej produktów przetworzonych, gotowych, półgotowych, coraz mniej świeżych i lokalnych. W Europie nie jest lepiej. Nadwagę mają Brytyjczycy, w Niemczech jest 12 mln cukrzyków. W Polsce nadwagę ma 68 proc. mężczyzn i 53 proc. kobiet, jedna czwarta populacji cierpi na otyłość.

Ostatnim niezdobytym przyczółkiem dla przemysłu słodkich trucizn była Ameryka Łacińska, która jeszcze nie tak dawno cierpiała na niedożywienie. Ale właśnie dlatego stała się łatwym obiektem do kolonizacji przez spożywcze korporacje. Podbój przebiegł tam wyjątkowo skutecznie. W Meksyku 75 proc. dorosłych i 35 proc. dzieci i młodzieży cierpi na nadwagę lub otyłość.

Butelka wody kosztuje tam drożej niż butelka słodzonego napoju i jedno jabłko. Fast foody zaatakowały słynną na świecie tradycyjną kuchnię meksykańską opartą na świeżych lokalnych produktach. To fasola i kukurydza, których używano jeszcze w czasach prekolumbijskich i którym Meksykanie zawdzięczają mocne zęby i piękne włosy. Z narodowego menu znikają awokado, sałata. Spada spożycie warzyw, bo chipsy i mrożona pizza kosztują mniej i są dostępne wszędzie.

Tylko w Chile udało się odeprzeć ekspansję korporacji spożywczych. Miejscowi działacze i politycy doprowadzili do uchwalenia prawa wymagającego oznaczanie zdrowych produktów dla dzieci „no logo". Konsumpcja słodkich napojów spadła tam o 20 proc. Jednak bohaterowie tej walki, którzy z sukcesem doprowadzili ją do końca, dostają SMS-y z pogróżkami. Żeby sprawdzić, skąd pochodzą, oddali telefony kanadyjskim specjalistom od informatyki. Ci wykazali, że pogróżki wysyłała izraelska agencja specjalizująca się w szpiegowaniu. Wielkie korpo mają długie ręce...

ZAMOŻNI SĄ SZCZUPLI

Jak wobec tego wszystkiego zachowuje się przemysł mody, któremu wielokrotnie zarzucano promocję chorobliwej chudości i anoreksji? Okazuje się, że pokazywać na wybiegach chude modelki to jedno, a sprzedawać swoje wyroby to drugie. Skoro ludzi grubych przybywa, to nie można ich lekceważyć. Oni też są klientami.

Każdego, kto był w Stanach Zjednoczonych, uderzyły liczba i rozmiar grubasów. Wiadomo, tam wszystko jest duże: kraj, samochody, porcje jedzenia, ubrania. Jednak o ile duże miasta Wschodniego Wybrzeża z Nowym Jorkiem na czele pozostają (jeszcze) w miarę szczupłe, o tyle interior jest otyły. Socjologowie i marketingowcy dostrzegli to już dawno – słynne jest powiedzenie o mieszkankach Manhattanu: „Im mniejszy rozmiar, tym większy apartament".

Fast foody zaatakowały ludzi najmniej zamożnych, to samo uczynił przemysł mody. Dział „size plus" jest teraz w większości sieciowych sklepów. Im tańszy sklep, tym większe ma rozmiary; natomiast sektor luksusowy rozmiarami powyżej amerykańskiej 8 (naszej mniej więcej 40) w ogóle nie zawraca sobie głowy. Tam taki klient nie przychodzi.

Wniosek z tego jest okrutny: ludzie zamożni są szczupli, a im niższy status socjalny, tym więcej kilogramów. Odwrotnie niż kiedyś, kiedy biedacy byli chudzi, a władcy ledwo mieścili się w swoich szatach... Twórcy filmu podają, że w biednych dzielnicach zamieszkanych przez ludność kolorową wskaźnik otyłości wynosi 40 proc., w zamożnych – 10 proc.

Nadwaga została łaskawie dopuszczona do bezlitosnego światka mody. Bez entuzjazmu, raczej z obawy przed oskarżeniami o brak tolerancji dla odmienności. Nisza, w której „size plus" czy „body positive" się ulokowały, wciąż nie jest duża. Jednak znalazła swoich rzeczników wśród influencerów, wytworzyła swoich idoli. Dominika Gwit-Dunaszewska, aktorka, która wystąpiła w kilku serialach i w filmie „Galerianki", nadwagę uczyniła bohaterką swojego życia, książki i felietonów. Nowojorczanka Katie Sturino także nie ma kompleksów na punkcie swojej wagi. Chętnie prezentuje się w kostiumie kąpielowym, zawarła liczne kontrakty reklamowe z producentami kosmetyków.

Tylko nieliczni mają odwagę zapytać: Czy na pewno promowanie otyłości jest tylko prywatną sprawą, wyborem jednostki? Przecież prędzej czy później ta choroba stanie się obciążeniem publicznym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4e9f02f92

FOT. TOPHER COX, TOPHER COX

Zwalczyć wirusa i poprawić system

Z Michałem Kępowiczem, dyrektorem ds. relacji strategicznych w Philips Healthcare
rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Epidemia koronawirusa to wyzwanie dla systemu ochrony zdrowia, lekarzy, pacjentów. W jaki sposób Philips włączył się w pomoc w opanowaniu epidemii?

MICHAŁ KĘPOWICZ: Od początku epidemii COVID-19 Philips ściśle współpracuje z organizacjami międzynarodowymi, m.in. ze Światową Organizacją Zdrowia czy z CDC (Centers for Disease Control and Prevention), czyli amerykańską Agencją ds. Prewencji i Chorób Zakaźnych. Prowadzimy rozmowy z administracjami poszczególnych krajów, aby współpracować przy uzupełnianiu bazy technologicznej, niezbędnej do diagnozowania i leczenia pacjentów oraz zapewnienia zgodności działań z krajowymi wytycznymi dotyczącymi leczenia COVID-19. Wiele naszych rozwiązań wspiera personel medyczny w walce z pandemią. W tym szczególnym momencie misja Philips dotycząca poprawy jakości życia jest dla nas ważniejsza niż kiedykolwiek i traktujemy ją jako najwyższy priorytet. Zmobilizowaliśmy całą organizację, aby jak najskuteczniej zrealizować potrójne zobowiązanie: względem naszych klientów, by w dalszym ciągu zaspokajać ich kluczowe potrzeby; względem naszych pracowników, by dbać o ich zdrowie i bezpieczeństwo, oraz względem naszych interesariuszy, by zapewnić ciągłość biznesu.

Pracownicy Philips oraz nasi partnerzy na całym świecie pracują przez całą dobę, by dostarczyć sprzęt najbardziej potrzebny do ratowania życia, w tym przede wszystkim respiratory, na które zapotrzebowanie w obecnej sytuacji jest największe. Gdy rozwój epidemii w Chinach zaczął przybierać na sile, podjęliśmy działania mające na celu zwiększenie produkcji zarówno respiratorów, jak i innych urządzeń niezbędnych w walce z pandemią. Obecnie produkujemy tygodniowo 4 tys. sztuk respiratorów; to czterokrotny wzrost produkcji w stosunku do stanu sprzed pandemii. Wprowadziliśmy także nowy model respiratora Philips Respironics E30.

Ponadto w Polsce, jako wsparcie dla systemu ochrony zdrowia w obecnej sytuacji, przekażemy na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy 25 zestawów przenośnych USG – urządzeń, które wspierać będą personel medyczny w procesie diagnozowania i leczenia pacjentów z COVID-19. W ramach współpracy z Fundacją OnkoCafe – Razem Lepiej wspieramy polskie szpitale, przekazując produkty konsumenckie. Obecnie, także z OnkoCafe, pracujemy nad projektem wsparcia onkologii.

Brak respiratorów we wszystkich krajach dotkniętych pandemią, m.in. w Chinach, we Włoszech, w Hiszpanii, Stanach Zjednoczonych czy Wielkiej Brytanii, powodował, że lekarze musieli podejmować dramatyczne decyzje, kogo podłączyć do aparatury. Czy powoli udaje się opanować sytuację, jeśli chodzi o liczbę oferowanych respiratorów?

Zapotrzebowanie na te urządzenia w czasie pandemii wzrosło do niespotykanych rozmiarów, a dla firm wytwarzających te systemy dostarczenie ich w tak krótkim czasie stało się wyzwaniem. Nam udało się zrobić gigantyczny krok, by znacząco zwiększyć dostępność respiratorów. Zwiększyliśmy liczbę linii produkcyjnych, prowadzimy produkcję 24/7, a także ściśle współpracujemy

eprasa.pl c4e9f02f92

z naszymi dostawcami, by zapewić dostawy materiałów niezbędnych przy zwiększonej produkcji. Wprowadzony nowy model respiratora Philips Respironics E30 może być bezpiecznie stosowany w przypadku ograniczonego dostępu do w pełni funkcjonalnego respiratora, stosowanego do intensywnej terapii. 8 kwietnia 2020 r., w ramach procesu zatwierdzania do użytkowania w nagłych przypadkach (Emergency Use Authorization – EUA), amerykańska Agencja Żywności i Leków (FDA) zatwierdziła to urządzenie do użytku w Stanach Zjednoczonych w okresie zagrożenia zdrowia publicznego wywołanego przez COVID-19.

Oprócz respiratorów potrzebne są też urządzenia monitorujące czynności życiowe pacjenta – kardiomonitory, a także systemy obrazowania, czyli tomografy komputerowe, mobilne RTG i USG, pomagające diagnozować i dokonać oceny stanu zdrowia leczonych pacjentów. Także te urządzenia Philips wspierają personel medyczny w walce z COVID-19. Ważny oręż w walce z pandemią stanowią także rozwiązania z obszaru e-zdrowia, używane do centralnego monitorowania, a także zarządzania oddziałami intensywnej terapii w szpitalach (program Philips eICU), lub systemy pozwalające na wirtualny kontakt lekarzy z pacjentami przebywającymi w domu. Ostatnio udostępniliśmy rozwiązanie informatyczne Philips VitalHealth, ułatwiające prowadzenie internetowego screeningu i monitoringu stanu pacjentów za pośrednictwem kwestionariuszy kontrolnych, przy wsparciu zewnętrznych call center dla pacjentów z podejrzeniem COVID-19. Ma ono na celu zapobieganie niepotrzebnym wizytom u lekarzy lub w szpitalach oraz umożliwienie zdalnego monitorowania pacjentów z ryzykiem infekcji.

Czy można już wyciągać pierwsze wnioski z epidemii COVID-19, jeśli chodzi o wprowadzanie koniecznych zmian w funkcjonowaniu systemów ochrony zdrowia?

Epidemia COVID-19 jest ogromnym wyzwaniem dla systemów ochrony zdrowia na świecie. Systemy opieki zdrowotnej w wielu krajach są obecnie ukierunkowane głównie na pacjentów z koronawirusem, przy jednoczesnym spowolnieniu lub nierzadko całkowitym zatrzymaniu opieki nad pacjentami z innymi schorzeniami. Dotyczy to nawet tych systemów ochrony zdrowia, które do tej pory bardzo dobrze funkcjonowały. Przykładowo w Holandii liczba przypadków nowo zdiagnozowanych nowotworów spadła aż o 30 proc. W Nowym Jorku problemem jest nie tylko koronawirus, lecz także narastająca fala zgonów z powodu zawałów serca, ich liczba wzrosła aż siedmiokrotnie. Jeśli problemy dotyczą nawet tych systemów ochrony zdrowia, które były dobrze zorganizowane, to można przypuszczać, że jeszcze większe problemy dotkną systemów, które nie miały przejrzystej mapy procesów i nie były przygotowane na konieczność dzielenia się swoimi zasobami z nowymi jednostkami, przeznaczonymi do walki z wirusem.

Ta sytuacja kolejny raz pokazuje, że trzeba być przygotowanym na gwałtowne zjawiska epidemiczne, mieć strategie i plany umożliwiające dynamiczne reagowanie. Istotne jest również, aby zarządzanie w czasach, kiedy nie ma takich kryzysów jak obecny, odbywało się w sposób jasny, przejrzysty, efektywny i skuteczny.

Powoli zaczyna się mówić o konieczności odmrażania systemu ochrony zdrowia. Co powinno być lekcją dla systemu ochrony zdrowia po pandemii koronawirusa?

Już teraz powinny być prowadzone działania mające na celu odmrożenie systemu ochrony zdrowia; w przeciwnym razie ryzykujemy pogorszenie stanu zdrowia pacjentów niecovidowych, których w Polsce jest kilka milionów. Oczywiście należy to zrobić tak, aby zapewnić pacjentom jak największe bezpieczeństwo. Musimy ochłonąć po pierwszym szoku spowodowanym epidemią i przystąpić do regularnego działania, powrócić do koncepcji Narodowej Strategii Onkologicznej, krajowej sieci onkologicznej czy zreorganizowania opieki psychiatrycznej. Istnieje też potrzeba stworzenia całościowej strategii dla systemu ochrony zdrowia, która będzie zawierać narzędzia do dynamicznego reagowania na gwałtowne zjawiska epidemiologiczne i demograficzne.

Kolejną sprawą jest uporządkowanie sfery zarządczej i procesowej w podmiotach leczniczych tak, aby skutecznie realizować obowiązki wobec pacjenta, a także wobec klienta systemowego. Taki ład powinien być stabilny i chronić osoby wymagające diagnozy oraz leczenia, niezależnie od turbulencji, które pojawiają się w związku z nieplanowanymi, nowymi wyzwaniami. Istotne jest też coraz większe wykorzystywanie zasobów informacji na wszystkich poziomach zarządzania w ochronie zdrowia, począwszy od środowisk regulacyjnych (Ministerstwo Zdrowia, NFZ), a skończywszy na pacjencie. Jednym z przykładów ostatnio wdrożonych rozwiązań tego typu jest stworzony przez Philips portal, pozwalający holenderskim szpitalom na wzajemne udostępnianie informacji medycznych o pacjentach z COVID-19. W dobie walki z pandemią dzielenie się danymi medycznymi jest niezwykle ważne, może np. pomóc w alokowaniu zakażonych pacjentów w szpitalach tak, by uniknąć przeciążenia w danej placówce czy na oddziale intensywnej terapii. Od momentu uruchomienia platformy, tj. od 28 marca br., obecnie aż 95 proc. holenderskich szpitali korzysta z tej możliwości cyfrowej wymiany danych.

Technologie informatyczne, duże zbiory danych czy sztuczna inteligencja to narzędzia, które mogą pomóc wyłowić rzetelną wiedzę spośród oceanu informacji, pośród których wiele jest niesprawdzonych i niezweryfikowanych. Pandemia COVID-19 udowodniła też, jak ważna dla zarządzania systemem opieki zdrowotnej jest telemedycyna. Zapewnia szybki dostęp do pomocy medycznej, niezależnie od miejsca, w którym się znajdujemy. Obecny kryzys pokazał, że wartość rozwiązań telemedycznych jest znacznie większa niż tylko generowanie oszczędności. W wielu przypadkach telemedycyna to jedyny sposób na zapewnienie bezpieczeństwa pacjentom i personelowi medycznemu. Nie należy zapominać o ogromnym znaczeniu kontaktu bezpośredniego w gabinecie lekarskim, jednak ta transformacja już się odbywa i należy z niej wyciągnąć wnioski, które pozwolą na sprawne połączenie medycyny analogowej z cyfrową, aby zmienić świat pacjenta na lepszy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Michał Kępowicz *– dyrektor ds. relacji strategicznych w Philips Healthcare.*

eprasa.pl c4e9f02f92

Onkologia nie jest zamknięta

FOT. ADOBE STOCK

Z dr Jolantą Smok-Kalwat, onkologiem klinicznym
rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Na początku był lęk: wielu pacjentów onkologicznych obawiało się iść do szpitala z obawy przed zakażeniem COVID-19. Obawy zwiększało to, że chorzy onkologicznie są w grupie najwyższego ryzyka ciężkiego przebiegu choroby. Czy faktycznie widać, że np. kobiet leczonych z powodu raka piersi w szpitalu jest mniej?

DR JOLANTA SMOK-KALWAT: W naszej klinice na pewno liczba pacjentek onkologicznych się nie zmniejszyła. Przyjmujemy wszystkich chorych. Różnica? Dzisiaj jest spokojniej: kiedyś z pacjentką przychodziły dwie, trzy osoby, obecnie przychodzi sama. Leczenie jednak się odbywa, są konsylia wielospecjalistyczne kwalifikujące do leczenia, przeprowadzane są operacje chirurgiczne, są radioterapia, chemioterapia, prowadzimy programy terapeutyczne. W żaden sposób nie ograniczamy leczenia.

Nie ma ryzyka zakażenia koronawirusem?

Staramy się jak najbardziej wyeliminować taką możliwość. Wszyscy pacjenci przychodzący do szpitala są w maseczkach; jeśli nie mają własnych, to je od nas otrzymują. Sprawdzamy temperaturę, są płyny dezynfekcyjne. W szpitalu jest znacznie mniej osób, dlatego ryzyko transmisji wirusa jest znacznie mniejsze. Mamy specjalny zespół ds. zakażeń, który „ustawił" nam wszystkie procedury. Onkologia nie jest zamknięta. Leczymy pacjentów tak jak wcześniej.

W okresie epidemii koronawirusa NFZ zezwolił na zmiany w funkcjonowaniu programów terapeutycznych, polegające np. na zamianie leków podawanych w formie dożylnej na formę podskórną lub na tabletki. Czy w przypadku raka piersi też można stosować taką zamianę?

Jeśli chodzi o raka piersi, to jednym z leków, które stosujemy chętniej w formie podskórnej, jest trastuzumab. To lek, który stosujemy w raku piersi HER2+, gdy występuje nadekspresja receptorów HER2. Ma ją ok. 20 proc. pacjentek. Niegdyś miały one gorsze rokowanie; dzięki zastosowaniu tego leku wyrównujemy ich szanse. Lek rzadko jest stosowany w monoterapii, zwykle dodaje się do niego hormonoterapię lub chemioterapię. Można go podać na każdym etapie choroby: zarówno w leczeniu indukującym, jak i jako uzupełnienie po operacji chirurgicznej oraz w terapii paliatywnej. Poprawia on rokowanie na każdym etapie zaawansowania choroby u pacjentek HER2 dodatnich. Można go stosować w formie dożylnej lub podskórnej. W okresie epidemii COVID-19 szczególnie ważna jest możliwość jego stosowania podskórnego.

Podskórna forma podawania ma przewagę nad dożylną poza wygodą pacjentki?

Przede wszystkim pacjentka krótko przebywa w szpitalu. Jest to szczególnie ważne obecnie, kiedy musimy dbać o to, żeby nie było transmisji koronawirusa. Powinniśmy stosować leki ograniczające ryzyko dodatkowej infekcji. Nasi pacjenci mają osłabioną odporność, są bardziej narażeni niż osoby zdrowe. Ważne jest stosowanie leczenia, które chroni przed innymi infekcjami. Większość pacjentek jeszcze przed epidemią COVID-19 miała podawany trastuzumab w formie podskórnej, jeśli jednak dostawały lek dożylnie, to mogą obecnie przejść na formę podskórną. W czasach COVID-19 nie możemy odstąpić od jakości leczenia, gdyż choroby nowotworowe nieleczone zabijają w 100 proc. Musimy jednak szczególnie dbać o bezpieczeństwo pacjentek.

W wielu krajach widać problem mniejszej zgłaszalności na badania profilaktyczne. Kobiety powinny przychodzić na mammografię, wykonywać USG czy lepiej poczekać na koniec epidemii?

Nie można czekać. COVID-19 jest chorobą zakaźną, jednak większość osób przechodzi ją bezobjawowo lub tylko z lekkimi objawami, a nowotwór nie zna litości. W naszym szpitalu są wykonywane wszystkie badania profilaktyczne. Wydaje mi się, że obecnie wiele osób, gdy czuje niepokojące objawy, uważa, że lepiej poczekać, że objawy się skończą albo epidemia minie. To może być za późno, bo rak nie poczeka. Jeśli ktoś odczuwa dolegliwości, miał wyznaczone badanie, to niech dzwoni, umawia się. Nie pozostawiamy pacjentów samych.

Proszę pamiętać, że najważniejszym korzystnym czynnikiem rokowniczym w chorobie nowotworowej jest niski stopień jej zaawansowania. Choroba wykryta wcześnie daje większe szanse na wyleczenie. Jeśli odczuwamy cokolwiek niepokojącego, to powinniśmy zgłosić się do lekarza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr n med. Jolanta Smok-Kalwat *– specjalista onkologii klinicznej, chemioterapii, anestezjologii i intensywnej terapii, Klinika Onkologii Klinicznej Świętokrzyskiego Centrum Onkologii.*

eprasa.pl c4e9f02f92

Zmniejszyć ryzyko

Katarzyna Pinkosz

Chorzy na nowotwory krwi to jeszcze jedna grupa szczególnego ryzyka w czasie epidemii. Leczenie trzeba kontynuować tak, by jednocześnie zminimalizować ryzyko zakażenia w szpitalu koronawirusem

Paulina miała 33 lata i dwuletniego synka, gdy wyczuła powiększone węzły na szyi i pod pachą. Winę zrzucała na zmęczenie i osłabienie po trzymiesięcznym pobycie w szpitalu przy chorym dziecku. Gdy nie znikały, poszła do lekarza. Badania, kolejny pobyt w szpitalu, po trzech tygodniach diagnoza: chłoniak nieziarniczy grudkowy. – To jeden z chłoniaków indolentnych, czyli takich, które rozwijają się powoli. Generalnie to choroba osób starszych, jednak zdarzają się zachorowania u młodszych – tłumaczy prof. Iwona Hus, hematolog z Instytutu Hematologii i Transfuzjologii.

Jeśli chłoniak grudkowy jest ograniczony do 1-2 grup węzłów chłonnych, stosuje się radioterapię, co może doprowadzić do wyleczenia. Jeżeli choroba jest uogólniona, dotyczy węzłów w wielu lokalizacjach, ale zmiany są niewielkie i nie ma objawów ogólnych, to nie podejmuje się leczenia. – Pacjent nawet przez kilka lat może mieć nieznacznie powiększone węzły chłonne i leczenie nie jest konieczne. Choroba może jednak przyspieszyć albo transformować w agresywny nowotwór: chłoniaka rozlanego z dużych komórek B, a wtedy rokowanie jest znacznie gorsze. Gdy od początku zmiany węzłowe są duże i/lub pojawiają się objawy ogólne lub związane z zajęciem szpiku, jak niedokrwistość czy małopłytkowość, wskazane jest rozpoczęcie leczenia – wyjaśnia prof. Hus.

W przypadku Pauliny zmiany były rozległe i dotyczyły wielu węzłów. W takich przypadkach w pierwszej linii stosuje się immunochemioterapię (połączenie chemioterapii z immunoterapią). – Dołączenie do chemioterapii przeciwciała monoklonalnego anty CD20, czyli rytuksymabu, przyczynia się do zwiększenia odsetka odpowiedzi na leczenie, wydłużenia czasu do progresji choroby, jak również wydłużenia czasu całkowitego przeżycia. Oprócz rytuksumabu obecnie można też zastosować silniejsze i bardziej skuteczne przeciwciało, obinutuzumab, który jest dostępny w Polsce w programie lekowym – opowiada prof. Hus.

Paulina otrzymała immunochemioterapię z rytuksymabem, a po zakończeniu terapii pierwszej linii lekarze zadecydowali o podawaniu go w celu podtrzymania remisji.

REŻIM W SZPITALU

Paulina raz na dwa miesiące przyjeżdża do szpitala na podanie leku. – W dobie COVID-19 pobyt w szpitalu różni się tym, że wszyscy mamy maseczki, pielęgniarki i lekarze są w fartuchach ochronnych, jeden pacjent od drugiego pozostaje w odległości, są płyny dezynfekcyjne – opowiada Paulina. Dostaje podskórny zastrzyk i jeszcze tego samego dnia wraca do domu. – Rytuksymab występuje w dwóch formach: podskórnej i dożylnej; ta pierwsza jest dużo wygodniejsza, zarówno dla pacjentki, jak i dla personelu medycznego, gdyż podanie jest szybsze, dzięki czemu większa liczba chorych może być przyjęta w oddziałach leczenia dziennego. W dobie COVID-19 ma to duże znaczenie. Zalecenia ekspertów, m.in. Amerykańskiego Towarzystwa Hematologii, mówią, że lepiej stosować formę podskórną, ponieważ skraca się czas pobytu w szpitalu. W ramach programów lekowych możemy podawać ten lek w formie podskórnej u chorych na chłoniaka grudkowego oraz chłoniaka rozlanego z dużych limfocytów B. Jest też zarejestrowany u chorych na przewlekłą białaczkę limfocytową, niestety w tym wskazaniu jeszcze nie jest refundowany w Polsce – mówi prof. Hus.

TO TAK JAK GRYPA

Z domu Paulina wychodzi tylko na krótki spacer z synkiem. Zawsze w maseczce. Od początku epidemii przestała pracować, wszelkie kontakty ograniczyła do minimum. Zakupy załatwia mąż. Wszyscy bardzo uważają: chorzy onkologicznie są w grupie ryzyka ciężkiego przebiegu COVID-19, a poza tym w przypadku infekcji trzeba by było przerwać leczenie.

A w przypadku Pauliny jego efekty są bardzo dobre. – Nie widać po mnie choroby i myślę, że będzie dobrze, bo przecież po to jest leczenie. Od początku powiedziałam sobie, że „zachorowałam na grypę" i leczę się na grypę, nie dopuszczam do siebie myśli, że mam nowotwór – śmieje się Paulina. Rodzina daje jej siłę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wskazówki dla pacjentów hematoonkologicznych

prof. Iwona Hus

W czasie epidemii COVID-19 pacjenci powinni przestrzegać zaleceń sanitarnych: konieczne są: samoizolacja, zachowanie dystansu społecznego, noszenie maseczek, częsta dezynfekcja rąk. Również rodzina powinna tego przestrzegać. Zdarza się, że pacjenci myślą, iż lepiej zrezygnować z wizyty w szpitalu i „przeczekać" epidemię, jednak to błędne myślenie, bo nowotwór rozwija się niezależnie od epidemii. Tylko lekarz może zdecydować o ewentualnym odroczeniu leczenia. W niektórych przypadkach jest to możliwe, jednak agresywne chłoniaki wymagają leczenia zaraz po rozpoznaniu. Przed wizytą w szpitalu najlepiej skontaktować się telefonicznie z lekarzem lub pielęgniarką. W szpitalu trzeba zwracać uwagę, by kontakt z innymi pacjentami był jak najmniejszy.

eprasa.pl c4e9f02f92

RYCERZE I WARCHOŁY

Legendarna szarża Potockiego

JACEK KOMUDA

Piotr Potocki herbu Pilawa, syn Mikołaja, hetmana koronnego, znany jest z najbardziej niesamowitej szarży, którą poprowadził w bitwie z Kozakami pod Kumejkami w grudniu 1637 r. Jako porucznik dowodził chorągwią jazdy kozackiej ojca, kiedy 16 grudnia zbuntowani Zaporożcy pod wodzą Pawluka ruszyli taborem, chcąc oskrzydlić wojska koronne zgromadzone za linią niezamarzających w zimie bagien. Wówczas hetman polny Mikołaj Potocki nakazał rozerwać linie wozów uderzeniem jazdy.

Jako pierwszą wysłał do ataku własną chorągiew kozacką, lżejszą niż husaria. Nazwa tej formacji jest myląca – w rzeczywistości służyli tam Polacy i Rusini, walczyli oni jednak bez zbroi, w przeciwieństwie do husarii. Do rozerwania taboru zaś bardziej nadawała się jazda lżejsza, mogąca łatwiej manewrować na polu walki. Piotr Potocki walczył, jak podaje Szymon Okolski, „bez pancerza i blachy". Aby zrozumieć, jak niezwykła była jego szarża, należy nadmienić, że prowadził jazdę nie do ataku na piechotę czy konnicę, ale na linie wozów jadących jeden za drugim, najeżonych ostrymi elementami konstrukcji, takimi jak osie czy luśnie, i stanowiących w dodatku dobrą osłonę dla Kozaków, którzy palili zza nich z rusznic.

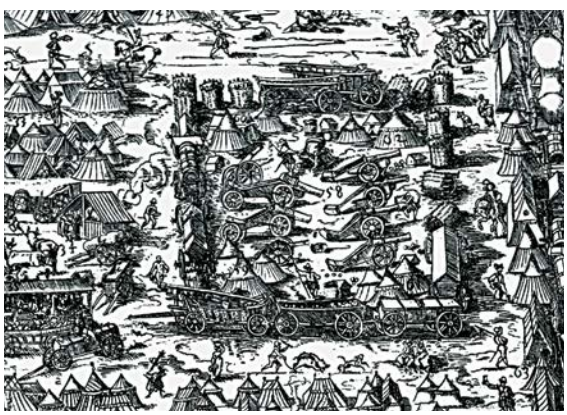

FOT. WIKIPEDIA

Chorągiew pod dowództwem Potockiego dosłownie uderzyła piersiami koni o kozackie wozy, usiłując je przewrócić lub zepchnąć i tym samym otworzyć sobie drogę do wnętrza taboru. Czytającym te słowa wydaje się to proste, z perspektywy jednak uzbrojonego jeźdźca atak na tabor wygląda przerażająco, przede wszystkim dlatego, że bardzo łatwo poranić, wręcz okaleczyć, przy tym konia, który zaczepia się i rani o wystające elementy wozów. W dodatku nie sposób szablą czy pałaszem dosięgnąć ukrywających się za wozami Kozaków. Ci zaś z kolei strzelają prawie z przyłożenia, bo z odległości dwóch, trzech metrów, więc takiej, z której kula z rusznicy jest w stanie przebić nawet dobrą zbroję. Okolski, świadek tych wydarzeń, pisał, że syn hetmana mężnie „chorągiew po kilkakroć przewodził i odwodził, dokąd z innymi chorągwiami [...] taboru [...] nie rozerwał". Wysłane w bój oddziały jazdy trzy razy atakowały tabor i wycofywały się, a potem ponawiały ataki. W czasie odskoku od wozów otwierały ogień kompanie dragonii, nie pozwalając Zaporożcom na przygotowanie się do kolejnej szarży. Dopiero za trzecim razem udało się rozerwać tabor. Husarze i Kozacy polscy wpadli wówczas do wnętrza obozu, rozbili powstańców Pawluka, rozdzielając ich na kilka grup.

Chorągiew kozacka hetmana polnego straciła w boju pięciu zabitych i dziewięciu rannych towarzyszy i pocztowych. W sumie zginęło 77 żołnierzy ze wszystkich 19 rot biorących udział w szarżach i późniejszych atakach. O wiele większe były straty w koniach. Jak podaje Marcin Gawęda, zabito ich 137, a dalszych 190 było rannych lub postrzelonych – nie łudźmy się, większość z nich nie nadawała się już do dalszej jazdy. W sumie daje to 327 wierzchowców; aby zrozumieć tę stratę, należy wspomnieć, że dzisiejsza stadnina w Janowie Podlaskim liczy sobie 430 koni, w tym ogierów, klaczy zarodowych i źrebiąt. Była to prawdziwa końska hekatomba; nawet jeśli się weźmie pod uwagę, że stada królewskie i magnackie w dawnej Rzeczypospolitej były i dziesięciokrotnie liczniejsze niż dzisiaj. Brawurowa szarża pod Kumejkami zapoczątkowała wojskową karierę Piotra Potockiego. W 1643 r. ojciec przekazał mu własne starostwo kamienieckie. Od tego czasu młody Potocki został też rotmistrzem własnej chorągwi kozackiej, a od 1647 r. miał jeszcze lekką chorągiew wołoską. W bitwie pod Ochmatowem w 1644 r. dowodził pułkiem jazdy, później wziął udział w wyprawie na Tatarów.

Kiedy w 1648 r. wybuchło powstanie Bohdana Chmielnickiego, przebywał w Kamieńcu Podolskim, który przygotowywał do obrony. W lutym następnego roku dokonał niespodziewanego ataku na Bar, zakończonego zdobyciem twierdzy. Wywołało to tak wielką wściekłość Chmielnickiego, że – jak podaje jego biograf, prof. Mirosław Nagielski – kazał postawić w swoim obozie dwa zaostrzone pale – jeden dla Piotra Potockiego, drugi dla jego krewnego Andrzeja, przebywającego w niewoli – „aby tak na się patrzeli". Potocki brał udział praktycznie we wszystkich kolejnych wojnach i wyprawach. Przede wszystkim jednak zasłynął jako nieustraszony obrońca Kamieńca, który obronił dwukrotnie: w 1652 r., po rzezi pod Batohem, przed Kozakami i Tatarami, i w 1655 r., przed Kozakami i Moskalami. Do końca pozostał wierny królowi Janowi Kazimierzowi, utrzymując dla niego najpotężniejszą twierdzę na Wschodzie. Zmarł w 1657 r., nie zostawiwszy potomstwa, ale w zamian za to sławę niezłomnego wojownika. ©℗

eprasa.pl c4e9f02f92

ZDROWĄ ZUPĘ Z POKRZYW SERWUJE GOSIA ANDRZEJEWICZ

Od wielu lat jestem fanką zdrowego żywienia i staram się używać w mojej kuchni jak najwięcej polskich superfoodów. Dzisiaj chciałam wam przedstawić moją ulubioną wiosenną zupę, która jest bardzo zdrowa i tania. Każdy chyba wie, jak wygląda pokrzywa, mało osób zdaje sobie jednak z tego sprawę, że można z niej przyrządzić smakowitą, oryginalną oraz bardzo zdrową zupę pełną mikro- i makroelementów, takich jak żelazo, wapń, potas, witamina C (która umożliwia wchłanianie żelaza niehemowego). Poza tym ma w sobie kwas foliowy, witaminy B1, B6, mnóstwo witaminy K i karotenoidów (prowitaminy A oraz luteiny). W ziołolecznictwie pokrzywa uchodzi za prawdziwy fenomen, dodaje sił i podnosi odporność, co w dobie pandemii koronawirusa jest ogromną zaletą.

Zupa z pokrzywy jest zaskakująco smaczna i jestem pewna, że przyznacie mi rację. Smakiem przypomina trochę zupę szpinakową, ale jest dużo bardziej wyrazista.

Do mojej zupy użyłam najmłodszych liści pokrzywy, które zebrałam z mojego ogrodu. Jeśli nie macie swojego ogrodu, to wybierzcie się do lasu lub na łąkę w poszukiwaniu pokrzywy. Pamiętajcie, żeby zbierać ją z użyciem gumowych rękawiczek, aby się nie poparzyć.

FOT. BARTEK KLIŚ

Składniki:

- ok. 100 g młodych listków pokrzywy (3 garście)
- 3 ziemniaki, obrane i pokrojone w kostkę
- 1 średnia cebula, pokrojona w kostkę
- 1 por (biała część pokrojona na plasterki)
- 5 ząbków czosnku
- 2 pietruszki
- 1 marchewka
- 1/4 selera
- 2 litry bulionu warzywnego lub drobiowego
- dobrej jakości oliwa
- 1 łyżka posiekanego koperku
- sól kłodawska
- świeżo mielony czarny pieprz
- sok z cytryny

Przygotowanie:

W większym rondlu rozgrzej oliwę, dodaj czosnek, por, cebulę, podsmaż wszystko, a następnie dodaj pokrojone ziemniaki, marchewkę, seler, pietruszkę i smaż jeszcze 5 minut. Następnie dodaj bulion i gotuj na wolnym ogniu, aż warzywa zmiękną, przez 10–15 minut. Dodaj sól, świeżo mielony czarny pieprz. Dodaj posiekaną pokrzywę i nadal gotuj na małym ogniu, pod przykryciem, przez następne 5 minut. Następnie za pomocą blendera wszystko zmiksuj.

Zupę oprósz posiekanym koperkiem i dopraw do smaku sokiem z cytryny. Smacznego! ©℗

oprac. raw
Gosia Andrzejewicz
jest piosenkarką.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Deszcz

Pada. Nareszcie pada. Przyroda odżyła, ptaki latają szczęśliwe, wreszcie zrobiłam użytek z kaloszy. Znajomi wysyłają mi radosne komunikaty, że pada, i pytają, czy się cieszę. Moja obsesja na punkcie deszczu i wody znana jest bowiem nie od dziś. Od ponad 20 lat (czyli mniej więcej wtedy, kiedy stałam się właścicielką kawałka ziemi) związek między ilością opadów a stanem przyrody stał się obiektem moich drobiazgowych obserwacji. W gruncie rzeczy interesuje mnie nie tylko mój ogród, drożyzna wynikająca z susz, lecz także – niech to zabrzmi górnolotnie – kondycja przyrody w Polsce. Wydaje mi się, że jesteśmy w tej kwestii obszarem szczególnie poszkodowanym. Przynajmniej ostatnio.

Moje wspomnienie z dzieciństwa – skakanie po kałużach i przez kałuże, w zimie odkopywanie ścieżek ze śniegu, lepienie bałwana, łyżwy na zamarzniętej sadzawce. Odśnieżanie, ta uciążliwa czynność, która wtedy wydawała się przykrą koniecznością. W tym roku z entuzjazmem rzuciłam się na szuflę, żeby oczyścić dojście do furtki z tej niewielkiej ilości śniegu, która zaszczyciła Warszawę jeden jedyny raz tej zimy.

Moja obsesja na punkcie braku wody wyraża się także w tym, że strofuję wszystkich naokoło, którzy moim zdaniem wylewają niepotrzebnie wodę z kranu przy różnych okazjach. Woda w Polsce zawsze była tania i nikt jej nie

FOT. ADOBE STOCK

szanował. I tak zostało. Przy zmywaniu leciała sobie z kranu cały czas, pod prysznicem można było stać pół godziny. Niedawno w gabinecie lekarskim pani doktor, myjąc ręce, odeszła, odebrała telefon, odbyła rozmowę, a woda cały czas leciała z kranu. Zerwałam się i zakręciłam kran.

Czy teraz coś się zmieni, kiedy susza stała się tak nagłośnionym problemem? Wciąż wydaje mi się, że jedyne, czego się boimy, to drogiej żywności. A czy np. nie trzeba myśleć o tym, że z naszej strefy klimatycznej znikną świerki, które potrzebują wysokich wód gruntowych? Przez Wisłę przejdziemy w kaloszach...

Nie odpowiadam za bezsensowne melioracje lat 60., osuszanie bagien i regulację rzek. Nie mam wpływu na to, co państwo zrobi teraz, żeby zwiększyć retencję. Mam wpływ tylko na to, co sama zrobię. Po prostu oszczędzam wodę. Nie mam dmuchanego basenu w lecie, który zużywa tysiące litrów. Pod prysznicem namydlam się i spłukuję. Samochód może być trochę brudniejszy. Dwie dwustulitrowe beczki magazynują u nas deszczówkę, którą potem podlewam kwiaty.

To chyba nic nowego: bez wody nie ma życia ani roślin, ani zwierząt, ani nas. ©℗

eprasa.pl c4e9f02f92

TEST „DO RZECZY": MOTO G8 POWER

Znakomity czas pracy na baterii, niezła wydajność i bardzo dobry stosunek ceny do jakości – to największe zalety smartfona Motoroli z dolnej półki cenowej.

Smartfon wygląda przeciętnie. Niczym szczególnym nie zachwyca. Z pewnością nie jest najlżejszym (waży aż 197 g) ani najcieńszym z telefonów dostępnych na rynku (jego wymiary to 155,95 x 75,84 x 9,63 mm). G8 Power ma za to wyjątkowo mocną baterię o pojemności aż 5000 mAh. W czasach, gdy większość flagowców trzeba ładować codziennie, Moto G8 Power przy normalnym użytkowaniu potrafi wytrzymać bez prądu trzy, a czasem nawet cztery dni. Maksymalny czas czuwania podawany przez producenta wynosi aż 37 dni (tego jednak już nie zdążyliśmy przetestować). Ładowanie tak pojemnego akumulatora zajmuje zaś niecałe trzy godziny.

Wyświetlacz IPS o przekątnej 6,4 cala ma rozdzielczość Full HD+, czyli 2300 x 1080 pikseli. Jakość wyświetlanego obrazu jest dobra. Co prawda czerń nie jest tu tak czarna jak w smartfonach z ekranami OLED, ale zapewne mało kto zwróci na to uwagę.

Tylny aparat fotograficzny składa się z czterech modułów: głównego o rozdzielczości 16 Mpix i jasności f/1.7, teleobiektywu (8 Mpix, f/2.2), obiektywu macro (2 Mpix, f/2.2) oraz ultraszerokokątnego 118 stopni (8 Mpix, f/2.2). Jak na tę półkę cenową G8 Power robi poprawne zdjęcia. Chociaż do efektów uzyskiwanych przez flagowce za ponad 5 tys. jest mu daleko, to podczas robienia zdjęć w dobrym oświetleniu kolory są żywe i prawidłowo odwzorowane, a fotografie ostre i zazwyczaj pozbawione szumów. Testowany model pozwala także na filmowanie nawet w rozdzielczości 4K Ultra HD, a kręcenie krótkich filmików ułatwia cyfrowa stabilizacja obrazu. Smartfon nie nadaje się jednak ani do kręcenia filmów, ani do robienia zdjęć po zapadnięciu zmroku – szumów jest dużo, detali za mało.

Bardzo sprawnie działa za to – wygodnie umieszczony z tyłu obudowy – czytnik linii papilarnych. Plusem tego modelu jest też możliwość obsługi dwóch kart nanoSIM jednocześnie lub jednej karty nanoSIM i jednej karty microSD o pojemności do 512 GB.

Wady? Sercem G8 Power jest ośmiordzeniowy procesor Snapdragon 665 oraz 4 GB pamięci RAM. Wielkość pamięci na dane wynosi 64 GB, ale po odliczeniu danych systemowych użytkownik do dyspozycji ma nieco ponad 50 GB. Na papierze taka konfiguracja nie zachwyca.

Z pewnością dla wymagających graczy ten model się nie nadaje. Jeżeli jednak ktoś potrzebuje jedynie smartfona do częstego dzwonienia, przeglądania Internetu, oglądania teledysków na YouTube czy seriali na Netflixie, to G8 Power powinien być wystarczający. Co prawda podczas testu zdarzały się krótkie zakłócenia w płynności działania, ale nie były one na tyle długie czy częste, aby dyskwalifikowały G8 Power.

Kolejny minus: producent w zestawie nie dołącza słuchawek. W najniższej półce cenowej jest to jednak wada tylko teoretyczna. Słuchawki i tak nie byłyby najlepszej jakości, a za to G8 Power wyposażony jest w całkiem przyzwoite wbudowane głośniczki oraz tradycyjne wejście słuchawkowe 3,5 mm.

G8 Power nie jest wodoodporny, jest jedynie odporny na zachlapania – można więc go bez strachu używać np. w deszczu, choć od basenu lub wanny lepiej trzymać go już z daleka. Dla mnie najpoważniejszą wadą jest jednak brak NFC, co znacząco utrudnia np. dokonywanie płatności smartfonem w sklepach.

Jeśli się weźmie pod uwagę wszystkie zalety i wady, to telefon ten oferuje bardzo dobry stosunek ceny do jakości. A kosztuje 999 zł. ©℗

Jacek Przybylski

„ZAKRZYWIONY" SMARTWATCH

Design imponujący, funkcyjność też całkiem niezła. Na rynek wchodzi właśnie Amazfit X Curved Smartwatch, czyli smartfon z zakrzywionym ekranem i z funkcją śledzenia pracy serca w trybie 24 h. Od razu mały plus: zastosowana w gadżecie litowa bateria wytrzymuje, jak twierdzi producent, cały tydzień bez konieczności doładowywania. Nieźle wypada też ekran z wysoką jasnością i rozdzielczością 326 PPI HD, co mocno zwiększa wyrazistość obrazu na wyświetlaczu.

Dzięki zakrzywieniu ekranu na opasce mieszczą się większy dotykowy ekran i zarazem więcej równie dotykowych podekranów funkcyjnych. A jakich? Gadżet nie tylko monitoruje pracę serca, lecz także dzięki systemowi czujników stan układu krążenia i poziom stresu. Oczywiście sen, kondycję fizyczną (co już jest w tego rodzaju urządzeniach standardem), geolokalizację. Liczy spalone kalorie w zależności od rodzaju wybranych ćwiczeń i umożliwia odbieranie wiadomości. Przypomina o zaplanowanych zadaniach. Aha, i ma wmontowane dwa kompatybilne systemy geolokalizacji. Urządzenie zamawiać można na portalu Indiegogo, koszt ok. 500 zł, a dostawa w sierpniu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZIMNA KAWA W 5 MINUT

Moda na kawę parzoną na zimno, czyli „cold brew coffee", nie przemija. Teraz można ją mieć w warunkach domowych w ciągu pięciu minut. A wszystko to dzięki urządzeniu o nazwie SONIC DUTCH, które do zaparzania zimnego napoju kofeinowego wykorzystuje innowacyjną technologię fal dźwiękowych.

To w praktyce oznacza też, że urządzenie nie tylko przygotowuje dobrą kawę, lecz także z dołączonych głośników odtwarza muzykę. Wystarczy wybrać w telefonie odpowiednią aplikację, połączyć się z urządzeniem za pomocą Bluetooth, uruchomić program parzenia kawy, no i odpalić odpowiednią playlistę. Cena gadżetu to ok. 1,2 tys. zł, więc kawiarka do tanich nie należy. Zamawiać można na portalu Kickstarter, a dostawa w sierpniu. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl c4e9f02f92

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Ja chcę płacić!

Nie wiem, jak koronawirus zmieni świat. Wiem, jaka rewolucja dokona się za jego sprawą w moim życiu. Otóż jestem gotów płacić za dobre treści w Internecie.

Internet przyzwyczaił nas, że wszystko, co się w nim pojawia, jest za darmo. Portale, media społecznościowe, komunikatory – to wszystko dostawaliśmy za nic. W efekcie materiały dziennikarskie w sieci zazwyczaj sprowadzają się do relacjonowania, co Mietek albo Żenewiew napisali na Twitterze. I że w związku z tym „internauci są oburzeni", a „niedoszła żona byłego chłopaka Dody przerwała milczenie". W dodatku na wiodących portalach wiadomości o liczbie zmarłych w Bergamo sąsiadują z fotkami dekoltów, opatrzonymi tytułami w stylu: „Bardzo skąpa kreacja. Przesadziła?". Czasem aż chciałoby się powiedzieć, że to nie przystoi, ale zalatywałoby to strasznym stetryczeniem.

Za darmo są też media społecznościowe. Rzadko można czerpać z nich jednak wiedzę o świecie. Częściej o tym, jak szkodliwe są szczepionki, a sieć 5G mordercza. Plus stały zestaw o zbrodniczym Kaczorze lub zdradzieckim Tusku. Plus powtarzanie opinii, które inni już powtórzyli wcześniej po tych, którzy je sformułowali jeszcze wcześniej.

Ale… Ale podczas narodowej kwarantanny, która polegała w moim przypadku głównie na poszukiwaniu kresów Internetu, odkryłem, że są w tym Internecie miejsca naprawdę cenne. Na przykład natrafiłem na pisany na Facebooku codzienny raport Marcina Kędzierskiegoz Klubu Jagiellońskiego pt. „Nie znam się na epidemiach". Cykl imponował wiedzą, analitycznym trudem, głębią hipotez, rzetelnością, wielopłaszczyznowym spojrzeniem na sprawy, rozległością wizji, brakiem politycznych emocji. W dodatku autor podawał jeszcze inne teksty czy opracowania, które warto było przeczytać. I to wszystko bez cycków obok, na które fajnie jest czasem popatrzeć, ale nie wtedy, kiedy chcesz się skupić.

I właśnie podczas jednego z odcinków „Nie znam się na epidemiach" zrozumiałem, że chętnie zapłacę za takie treści. Owszem, szukając podobnych, trafiłem na kilku obsesjonatów, z czego – prawdę mówiąc – zdałem sobie sprawę odrobinę za późno. Jednak funkcjonują w sieci ludzie (oprócz Kędzierskiego np. Jacek Bartosiak czy Tomasz Rożek), których warto wspierać, bo pomagają nam zrozumieć coraz bardziej skomplikowany świat. Niestety, tradycyjne media, ratując się przed ostatecznym upadkiem, dają nam produkty coraz tańsze lub przytakują swoim odbiorcom, o czym zresztą nie ma sensu po raz enty pisać, bo to dość jałowe.

Zatem jestem gotów płacić za wiedzę udostępnianą w Internecie. Analizy, warsztaty, szkolenia, proszę bardzo. Warto wydać parę złotych, żeby nieco mniej wiedzieć o tym, kogo i czym zszokował Maciek Stuhr. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Fałszywki i pieniądze w walizkach

Jeśli zastanawiają się państwo, jak na chińskim rynku medycznym zamówić kilka milionów maseczek albo 200 respiratorów, to odpowiedź brzmi prosto, choć brutalnie: walczyć i naginać zasady. W rzeczywistości pandemicznej o czas produkcyjny i towar trzeba się bowiem bić nie tylko z setkami potencjalnych pośredników, lecz także z innymi rządami. Właśnie w ten sposób gra również polski wywiad, przeprowadzając operacje „podbierania" dostaw, równocześnie oferując „usługi" zakupów sprzętu medycznego „pod fałszywą flagą" państwom, które nie prowadzą relacji dyplomatycznych z Chinami. A następnie odsprzedawania go po wyższych cenach.

Ten model przestaje jednak działać, gdy na horyzoncie pojawia się konkurent wyższej wagi. Na przykład USA. – Amerykanie potrafią podjechać na lotnisko i kupić materiały medyczne gotowe do załadowania na samolot, proponując cenę o 50 proc. wyższą – zdradza mój rozmówca, ujawniając, że zdarzyło się tak również w przypadku jednego z polskich transportów, przejętego chwilę przed odprawą. Oczywiście podobne praktyki to nie tylko specjalność Amerykanów, którzy potrafią podkupować towary za pomocą służb wykorzystujących tworzone na potrzeby importu firmy będące ekspozyturą CIA. W medycznym zapleczu Państwa Środka działają o wiele bardziej niebezpieczni gracze, w tym złożone głównie z Rosjan, Bułgarów i Chińczyków „mafie medyczne". Jak wygląda model ich funkcjonowania? Według ustaleń polskich służb pośrednicy rezerwują za łapówki czas produkcyjny w fabryce masek albo kombinezonów, a następnie odsprzedają go z zyskiem zdesperowanym nabywcom, którzy nie mają innego wyjścia.

Choćby z tego powodu oraz szerzącej się skali przestępstw gospodarczych w epoce koronawirusa państwo chińskie wprowadziło dodatkowe restrykcje. Ogłoszono m.in. brak możliwości płacenia gotówką. – Pomimo zakazów zakupów gotówkowych zawsze pod fabryką potrafi się znaleźć ktoś z walizką i oferować odkup „na miejscu" – słyszę. W Chinach kwitnie również handel fałszywymi certyfikatami medycznymi, zdarzają się przypadki podrabiania ich autentyczności, fałszowania składu tkanin maseczek, dodawania do sprzedawanej partii towaru niższej jakości czy po prostu próby sprzedaży towaru bez wymaganej certyfikacji. Czego uczy nas ta sytuacja? Być może banalnej prawdy, że w obliczu prawdziwych kryzysów trzeba liczyć przede wszystkim na siebie. Bo właśnie tak robią dzisiaj największe mocarstwa świata, nie oglądając się na boki w moralnych rozterkach. ©℗

eprasa.pl c4e9f02f92

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

W cudzych butach

Do Obór jeździła większość pisarzy – ze względu na wysokie państwowe dotacje były bardzo tanie. Oprócz Obór był też w PRL dom pracy twórczej, o wiele bardziej luksusowy, wyłącznie dla wybranych, dla nowej już elity, nowego „grand monde'u". Znajdował się w XVII-wiecznym barokowym pałacu Radziwiłłów. Ostatnim ordynatem był książę Janusz Radziwiłł, który w styczniu 1945 r. razem z żoną i dziećmi, a także z rodzinami kilku innych arystokratów, został aresztowany przez NKWD i wywieziony do łagru w Krasnogorsku, do wyizolowanej zony, gdzie trzymano ich trzy lata, bez wyroku, prawa do korespondencji. Nieludzkich warunków nie przeżyła żona księcia Janusza. Do swoich posiadłości nie mogli się nawet zbliżyć, książę Janusz zamieszkał więc na Saskiej Kępie „w czymś w rodzaju stróżówki i suteryny" – jak mówił – a jego dzieci u swojej dawnej niani. Zagrabiony przez komunistów Nieborów został oddziałem Muzeum Narodowego oraz domem pracy twórczej, któremu dyrektorował przez blisko pół wieku „wszechmocny i nienaruszalny dyktator" Stanisław Lorentz (jak nazywał go w swoim „Spacerowniku po Muzeum" Jacek Dehnel). Zasługi Lorentza dla ratowania podczas okupacji naszych zabytków, nie tylko arrasów, są niepodważalne. Jednak Nieborów był (nie tylko według Dehnela) jego prywatnym folwarkiem, własną rezydencją, do której zapraszał tylko swoich znajomych i przyjaciół. Chociaż w założeniu mieli tu gościć twórcy o niekwestionowanym dorobku, w praktyce przyjeżdżali wyłącznie krewni i znajomi królika, czyli dyrektora Lorentza: jego rodzina, żona, siostra, córki (jedna z nich ze swoim chłopcem), a także m.in. Zofia Nałkowska, Zofia i Tadeusz Brezowie, Maria Dąbrowska, Irena i Jan Parandowscy z późnym synem Piotrem, Antoni Słonimski, Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki, Jan Brzechwa, Władysław Bieńkowski, były minister oświaty, i jego żona Flora, pisarka, z dwójką dzieci, Irena Szymańska i Ryszard Matuszewski. A także przywożeni służbowymi chevroletami partyjni i rządowi dygnitarze, głównie od kultury, m.in. Stefan Żółkiewski, Włodzimierz Sokorski, Józef Tejchma, Lucjan Motyka. Byli też goście przyjeżdżający do pałacu wyłącznie na święta i niedzielne pałacowe obiady, np. polędwicę wołową podawaną – jak zanotowała Dąbrowska – „na starej radziwiłłowskiej porcelanie z prymulami w szklanym koszu, ze srebrnymi bażantami i przepiórkami jako sosjerkami i solniczkami".

Nikt nie widział nic złego w bywaniu w cudzych domach podczas nieobecności gospodarzy. Wskoczyli ochoczo w cudze buty, w ich ciepłe jeszcze łóżka, pomagając komunistom w wymianie elit. Poczuli się bowiem nową elitą, nowymi właścicielami Nieborowa, których naśladowali, odgrywając wyższe sfery. Oni, a zwłaszcza ich dzieci spędzające tu często wakacje, uczyli się jeździć konno, korzystając z bogatych nieborowskich stajni, polowali, zwykle na zające, i to – ku zgorszeniu radziwiłłowskiej jeszcze służby – w Boże Narodzenie lub Wielkanoc. Po obiedzie palili w palarni kubańskie cygara. Przy antycznych stolikach rżnęli do nocy w kierki oraz brydża i to na pieniądze. Życzyli sobie, aby obsługująca ich przy stole służba nosiła białe rękawiczki.

Z nieukrywaną niechęcią traktowali „stonkę", czyli zwiedzające pałac grupy wycieczkowe, które miały im przeszkadzać w twórczej pracy, choć mało kto się nią zajmował. Wielu gości zjawiało się z psami, które brudziły zabytkowe fotele i kanapy. Czytali prywatną korespondencję Radziwiłłów, której – mimo wielu próśb – nie oddano właścicielom i była teraz własnością muzeum, czyli ogólnonarodową.

Na wizytę Radziwiłłów w Nieborowie komuniści pozwolili dopiero w 1964 r. i to wyłącznie ze względu na dobro stosunków polsko-amerykańskich. Nie mogli odmówić Stanisławowi, synowi Janusza, który był szwagrem prezydenta Johna Kennedy'ego – ożenił się z się Lee Bouvier, siostrą Jaqueline Kennedy. Radziwiłłowie mogli przyjechać tylko incognito, ale i tak wszyscy się dowiedzieli. Goście pochowali się po pokojach, ale w całym Nieborowie było wielkie poruszenie. Służba biegała, żeby ich zobaczyć. „Szeptała gorączkowo: Książę przyjechał! Książę przyjechał!" – notowała Maria Dąbrowska. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl c4e9f02f92

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY **TYGODNIK „DO RZECZY"**

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

NOWOŚĆ!

W PREZENCIE **KSIĄŻKA**

RADOSŁAW SIKORA
„NIE TYLKO HUSARIA. NIEZNANE OBLICZE POLSKIEJ ARMII"

~~357 ZŁ~~ > **141,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 216 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c4e9f02f92

Zadbaj o **bezpieczeństwo** swoje i innych

ORLEN

Płyn do dezynfekcji i maseczki dostępne na stacjach ORLEN

Unikalna maseczka ochronna wielokrotnego użytku

19,90 zł | 1 szt.

59 zł | 3 szt.

Płyn do higienicznej dezynfekcji rąk

15 zł | 1 l

60 zł | 5 l

WYBIERAJ POLSKICH PRODUCENTÓW

Produkty dostępne na stacjach. Oferta ważna do wyczerpania zapasów.

eprasa.pl c4e9f02f92